

**Rosamunde
Pilcher**

Karuzela

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Matka stojąc pośrodku zalanego wrześniowym słońcem saloniku zawołała: ^

— Ty chyba postradałaś rozum, Prue!

Wyglądała jak ktoś, kto za chwilę ma wybuchnąć płaczem, wiedziałam jednak, że tak się nie stanie, łyzy uszkodzić by mogły jej bezbłędny makijaż, wywołać obrzęk powiek i opadnięcie kącików ust oraz uwydatnić nietwarzowe zmarszczki. Rozdrażniona czy rozżalona, matka nie płakała nigdy. Dbałość o wygląd przedkładała ponad wszystko. Stała teraz oddzielona ode mnie szerokością dywanika, jak zwykle nieskazitelnie ubrana — w malinoworóżowym wełnianym kostiumiku, białej jedwabnej bluzce, z elegancką bransoletą i złotymi, wpiętymi w uszy, kolczykami. Prezentowała się doskonale w wymuska-nej fryzurze ułożonej w wijące się wokół głowy pukle przyprószonych siwizną włosów.

Wyraźnie zmagала się ze sobą, by opanować sprze-czne, niszczące urodę emocje: gniew, macierzyńską troskę i — w głównej mierze — gorycz zawiedzionych nadziei. Zrobiło mi się jej naprawdę żal.

— Daj spokój, mamó, przecież świat się od tego nie zawali.

Wypowiedziane przeze mnie słowa zabrzmiały mi w uszach fatalnie i chyba istotnie nie był to najwłaściwszy komentarz.

— Pierwszy raz w życiu wydawałaś się poważnie zajęta prawdziwie stosownym konkurentem...

— Ależ, droga mamo, „stosowny konkurent” to okropnie staroświeckie wyrażenie...

— On jest ujmujący, stateczny, ma solidną posadę i pochodzi z dobrej rodziny. Ty już sobie liczysz dwadzieścia trzy lata i czas najwyższy, żebyś się ustatkowała, wyszła za męża, urodziła dzieci i miała własny dom.

^— Nawet mi się jeszcze nie oświadczył, mamo!

— Naturalnie, że nie. Chce to uczynić w odpowiedni sposób: zabrać cię do swojego rodzinnego domu i przedstawić matce. Niewątpliwie o to mu właśnie chodzi. Nie możesz się chyba dopatrywać niczego niewłaściwego w jego postępowaniu? Przecież wystarczy tylko rzucić na was okiem, a od razu widać, że on jest w tobie zakochany do szaleństwa.

— Nigel niejest zdolny do szaleństwa w żadnej postaci.

— Doprawdy, nie wiem, czego ty szukasz, Prue!

— Niczego nie szukam.

Podobne rozmowy odbywałam z matką tak często, że swoje kwestie znałam słowo po słowie, jakbym wcześniej wykuła rolę na pamięć.

— Mam wszystko, czego pragnę: pracę, którą lubię; małe własne mieszkanko...

— Chyba tej jednopokojowej klitki nie nazywasz mieszkaniem?

— ... i wcale nie chcę innej formy stabilizacji.

— Dwadzieścia trzy lata! Ja w twoim wieku byłam już cztery lata mężatką:

„I rozwiodłaś się dwa lata później” — miałam na końcu języka, ale zatrzymałam tę uwagę dla siebie. Takich rzeczy, nawet w złości, nie mówi się mojej matce. Wiem, że ma stalową wolę, jest twarda jak żelazo i prawie zawsze potrafi dopiąć swego, ale równocześnie sprawia wrażenie osoby kruchej i nieodpornej na ciosy, a jej wygląd — delikatna budowa, ogromne błękitne oczy, urzekająca ko-

biecość — każe zdusić w sobie kierowane do niej złościwości.

Otworzywszy więc usta zamknęłam je zaraz bez słowa i tylko patrzyłam na nią bezradnie. Ona mierzyła mnie wzrokiem pełnym wyrzutu, lecz nie czyniła mi żadnych wymówek. Po raz chyba tysięczny pomyślałam ze zrozumieniem o moim ojcu, o tym, że wiem, dlaczego zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wzięli ślub, bo ona miała dla niego nieodparty urok, on zaś był dla niej dokładnie tym, kogo szukała, odkąd po raz pierwszy uświadomiła sobie, że istnieje coś takiego jak różnica płci.

Moim ojcem był Hugh Shackleton. Kiedy poznał matkę, pracował w londyńskim banku handlowym położonym w City i wiódł ustatkowane życie mając przed sobą obiecującą przyszłość. W mieście czuł się jednak jak ryba bez wody. Jego rodzina pochodziła z Northumberland, wychowywał się na farmie zwanej Wichrowym Pustkowie, gdzie położone na zboczach pastwiska schodziły do krawędzi chłodnych wód Morza Północnego, a zimowe sztormy niosły lodowate podmuchy wprost z dalekiego Uralu. Ojciec nigdy nie przestał kochać swej rodzinnej ziemi, wciąż za nią tęsknił. Farmą zarządzał jego starszy brat, który zginął tragicznie w wypadku na polowaniu gdy miałam prawie pięć lat. Ojciec pojechał na pogrzeb, zatrzymał się w domu rodzinnym przez pięć dni, a potem wrócił do Londynu z gotowym postanowieniem. Oznajmił, że chce zrezygnować z pracy, sprzedać dom w mieście i przenieść się z powrotem do Wichrowego Pustkowie.

Zamierzał zostać farmćrem.

Sprzeczki i kłótnie, łzy i wzajemne oskarżenia rodziców tojedno z moich najwcześniejszych, nieszczęśliwych wspomnień. Matka imała się wszelkich sposobów, byle zmusić ojca do zmiany decyzji, jednak pozostał nieugięty. W końcu nie zawahała się postawić sprawę na ostrzu noża — jeśli on chce wracać do Northumberland, musi tam udać się sam. Ku jej zdumieniu mąż tak właśnie postąpił. Być może sądził, że

żona z córką pojedą za nim, lecz moja matka była równie upartą jak on. Nie minął rok, a byli już po rozwodzie. Nasz dom przy Paulton Square został sprzedany, a my przeprowadziłyśmy się do mniejszego, w okolice Parson's Green. Ja naturalnie zostałam z matką, ale każdego roku wyjeżdżałam na kilka tygodni do Wichrowego Pustkowie, aby nie tracić kontaktu z ojcem. Po pewnym czasie on ożenił się po raz drugi z nieśmiałą, rozmiłowaną w koniach wiejską dziewczyną, noszącą tweedowe, wiecznie wypchane na siedzeniu spódnice, a jej czysta, usiana piegami twarz nie wiedziała, co to puder. Stworzyli bardzo udane stadło. Nadal są szczęśliwą parą, a ja się cieszę ich szczęściem.

Matka nie potrafiła zaakceptować tej sytuacji. Nie polubiła rodziny męża, a motywów jego postępowania wciąż nie mogła pojąć, mimo upływu lat. Zresztą nigdy go nie rozumiała. Wyszła za niego, bo — jej zdaniem — pasował do wzorca męskości, jaki podziwiała, a nie zadała sobie trudu, by zgłębić, co naprawdę się kryje pod powierzchowną warstewką urzędowego garnituru w prążki. Nie czuła potrzeby odsłaniania ukrytych głębin. A Shackletonowie odznaczali się zaiste szeregiem zaskakujących cech, z których większość — ku zgrozie matki — stała się moim dziedzictwem. Stryjek nie tylko z powodzeniem gospodarował na roli, ale odnosząc pewne sukcesy zasłynął jako muzyk-amator, ojciec w wolnym czasie tkął przepiękne gobeliny, a ich siostra Phoebe okazała się prawdziwą buntowniczką. Utalentowana malarka, o artystycznej duszy i oryginalnym charakterze, była osobą tak beztrąsko traktującą przyjęte kanony postępowania, że moja matka z trudem znajdowała z nią wspólny język.

Lata swej młodości Phoebe spędziła w Londynie, wszakże po dojściu do wieku średniego otrząsnęła z butów miejski kurz, wyjechała do Kornwalii i zamieszkała w Penmarron z pewnym rzeźbiarzem, uroczym mężczyzną nazwiskiem Chips Armitage. Nie zawarli małżeństwa, jak sądzę dlatego, że żona Chipsa nie chciała mu dać rozwodu, ale przez wiele

lat wiedli naprawdę szczęśliwy żywot. Po śmierci artystyjego niewielkrgotycko-wiktoriański domek tytułem spadku przeszedł na własność Phoebe. Mieszka w nim do tej pory.

Phoebe jest moją matką chrzestną, zatem mama nie mogła całkowicie zerwać z nią stosunków, pomimo pewnej „skazy towarzyskiej”, jaką stanowił nieślubny związek. Co pewien czas obie z matką byłyśmy więc zapraszane do małego domku w Penmarron. Wprawdzie z listów Phoebe wynikało dobitnie, że wolałyby gościć u siebie tylko mnie, ale matka w latach mojego dzieciństwa zawsze towarzyszyła mi w tych wizytach. Obawiała się, bym nie uległa wpływowi ekscentrycznego trybu życia artystów, a także wierzyła, że jeśli nie może pognać Shackletonow, to musi z nimi żyć w zgodzie.

Swoją pierwszą podróż do Kornwalii odbywałam pełną lęku. Byłam tylko dzieckiem, ale już zdawałam sobie sprawę, że matka i ciocia Phoebe mają ze sobą niewiele wspólnego. Bałam się, że dwa tygodnie upłyną na sprzeczkach i chwilach dokuczliwego milczenia. Nie doceniłam jednak zaradności Phoebe; w mig opanowała sytuację przez wprowadzenie mojej matki do kręgu znajomych pani Tolliver. Owa pani mieszkała opodal Penmarron w domu zwanym White Lodge i miała niewielkie, konwencjonalne kółko przyjaciół, którzy z przyjemnością powitali nową, stałą uczestniczkę wieczorków brydżowych i kameralnych przyjęć.

Dzięki temu sprytnemu pociągnięciu ciotki matka mile spędzała czas przy kartach, aja i Phoebe mogłyśmy swobodnie spacerować po plaży, na długie godziny ustawiać sztalugi przy starym falochronie, czy też oddalając się od brzegu odbywać przejażdżki w należącem do Phoebe sfatygowanym volkswagenie, wykorzystywanym przez nią jako ruchome studio. Mogłyśmy także wspinać się po porośniętych wrzosem zboczach wędrując bez celu po okolicy zalanej białym, migotliwym blaskiem odbitym wprost od morskiej wody.

Wbrew poczynaniom matki, ograniczającej kontakty z Phoebe, osobowość ciotki wywarła ogromny wpływ na

moje życie. Oddziaływanie w sferze podświadomości zwolniło we mnie odziedziczony po przodkach talent do rysowania, a bezpośrednie rady Phoebe, nawet naciski, utwierdzały mnie w postanowieniu odbycia studiów na akademii sztuk pięknych we Florencji. Zaowocowało to potem uzyskaniem posady w galerii Marcusa Bernsteina na Cork Street.

Matka nadal niezbyt przychylnym okiem patrzyła na moją zażyłość z ciotką. Nawet i teraz przyczyną naszej sprzeczki była Phoebe. Kilka miesięcy temu pojawił się w moim życiu Nigel Gordon. Po raz pierwszy ktoś nie należący do artystycznej braci wzbudził moje umiarkowane zainteresowanie, więc kiedy przyprowadziłam go do domu, matka nie kryła swojego zachwytu. On traktował ją szarmancko, nawet z lekka z nią flirtował i przynosił kwiaty, a gdy zaprosił mnie do Szkocji, bym poznała jego rodzinę, zachwyt matki nie miał granic. Kupiła mi parę krótkich, zapinanych pod kolanami spodni do noszenia na wrzosowiskach i wyraźnie widziałam, że jej wyobraźnia już pracuje na pełnych obrotach. Byłam pewna, że matka układa w myślach zamieszczanego zwyczajowo w „Timesie” ogłoszenia o zaręczynach, wybiera ozdobne zaproszenia na ślub i widzi w fantazji szereg obrazów uroczystości weselnych, w których ja, odziana w śnieżnobiałą suknię zaprojektowaną *tak, aby się ładnie* prezentowała z tyłu, odgrywam główną rolę.

Ale w ostatniej chwili Phoebe położyła kres tym wszystkim miłym matczynym mrzonkom. Złamała rękę i zaraz po powrocie ze szpitala zadzwoniła do mnie z prośbą, bym przyjechała dotrzymać jej towarzystwa. Nie chodziło bynajmniej o to, że nie potrafi sobie sama dać rady, lecz że nie będzie mogła prowadzić samochodu. Przymusowe przywiązanie do jednego miejsca aż do chwili zdjęcia gipsu było dla Phoebe nie do zniesienia.

Słuchając przez telefon jej głosu odczułam zadziwiająco ulgę, a dopiero później przyznałam się sama przed sobą, że

w głębi duszy z niechęcią myślałam o wyjeździe na północ i wizycie u Gordonów. Nie byłam jeszcze gotowa do poważnego związku z Nigelem. Podświadomie pragnęłam jakiejś rozsądnej wymówki, by móc się wykręcić z tego zobowiązania. I oto wpadł mi w ręce idealny pretekst, podany wprost, jak na talerzu. Bez chwili wahania obiecałam Phoebe, że przyjadę. Potem zawiadomiłam Nigela, że nie będę mogła towarzyszyć mu w podróży do Szkocji, a teraz oznajmiłam to matce.

Była zrozpaczona, jak zresztą się należało spodziewać.

— Kornwalia... z Phoebe. — Wymówiła te słowa tonem desperacji, jakby miała mnie tam spotkać śmierć najgorszego rodzaju.

— Muszę jechać, mamó. Wiesz przecież, jaki z niej beznadziejny kierowca, nawet kiedy ma zdrowe obie ręce.

Lekkim tonem próbowałam zmusić matkę do uśmiechu, jej jednak daleko było do wesołości.

— To tak nieuprzejmie odwoływać wizytę w ostatniej chwili. Drugi raz już cię nie zaproszą. I co sobie pomyśli matka Nigela?

— Napiszę do niej. Jestem pewna, że zrozumie.

— Będiesz przebywać z Phoebe... nikogo stosownego nie spotkasz... bo kogóż ty możesz u niej spotkać oprócz niedomytych studentów czy dziwacznych kobiet odzianych w robione na drutach poncza?

— Może zjawi się pani Tolliver z jakimś odpowiednim dla mnie konkurentem.

— To nie jest temat do żartów!

— Ale to moje życie — odparłam spokojnie kładąc nacisk na słowo „moje”.

— Stara śpiewka. To samo mówiłaś wynosząc się do tej wstrętnej sutereny w Islington... pomyśleć tylko, ze wszystkich dzielnic wybrałaś Islington!... i kiedy...

— Jest bardzo modna — wtrącałam.

— ... i kiedy zapisywałaś się do tej okropnej akademii...

— Ale przynajmniej w ten sposób zdobyłam doskonałą posadę. Musisz to przyznać.

— Powinnaś wyjść za męża. Wówczas nie musiałybyś pracować.

— Nawet jako mężatka i tak nie zrezygnowałabym z pracy.

— Ależ, Prue, to przyszłość nie dla ciebie. Pragnę, byś wiodła godziwe życie.

— Myślę, że mam godziwe życie.

Dłuższą chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy. Potem matka główno westchnęła, zrezygnowana i najwyraźniej śmiertelnie urażona. A ja wiedziałam, że to oznaka końca kłótni. Na razie.

— Ja ciebie nigdy nie zrozumiem — dodała jeszcze matka patetycznym tonem.

— Zatem nie próbuj. — Podeszłam do niej i objęłam ją ramionami. — Rozchmurz się i kochaj mnie nadal. Przyślę ci widokówkę z Kornwalii.

Podróż do Penmarron postanowiłam odbyć pociągiem, a nie samochodem. Rano następnego dnia po sprzeczce z matką pojechałam taksówką na dworzec Paddington, odszukałam właściwy peron i wagon. Miałam bilet z miejscówką, lecz w pociągu nie było kompletu pasażerów; druga połowa września to okres, kiedy po letnim szczyście raptownie ustaje najazd urlopowiczów na wybrzeże Kornwalii. Skończyłam właśnie upychać bagaż na półeczce i zajęłam miejsce, gdy usłyszałam pukanie do okna. Podniósłszy oczy ujrzałam na peronie mężczyznę z teczką w jednej, a bukieciem kwiatów w drugiej ręce. Nigel. Zdziwiłam się najego widok.

Kiedy wyszłam z wagonu, Nigel zbliżył się do mnie z nieśmiałym uśmiechem. ,

— Prue. Już myślałem, że cię nie znajdę.

— Co ty tu robisz, na miłość boską?

— Przyszedłem cię pożegnać i życzyć ci *bon voyage*.
— A wyciągając przed siebie bukiet drobnych złocistych chryzantem dodał: — Przyniosłem ci również to.

Mimo woli ogarnęło mnie wzruszenie. Domyśliłam się, że jego przybycie na stację było wspaniałomyślnym gestem przebaczenia i wskazówką dla mnie, iż rozumie, dlaczego go zawiodłam. Ta jego postawa sprawiła, że wyraźniej niż dotąd odczułam, jak nieładnie się zachowałam w stosunku do niego. Wzięłam kwiaty ujęte w sztywną otoczkę z białego ozdobnego papieru i zanurzyłam w nich twarz. Cudownie pachniały.

— Jest dziesiąta. Czy ó tej porze nie powinienes już siedzieć za biurkiem? — spytałam.

Pokręcił głową.

— Nie muszę się śpieszyć.

— Dają ci wolną rękę? Nie wiedziałam, że jesteś aż tak ważną personą w firmie.

— Istotnie, niejestem — uśmiechnął się szeroko — lecz to wcale nie oznacza, że muszę, ściśle przestrzegać godzin rozpoczynania pracy. Zadzwoiłem do biura i powiedziałem, że będę później, bo mam coś do załatwienia.

Miał poważną, dojrzałą twarz. Włosy już zaczęły mu się przerzedzać na czubku głowy, ale gdy się uśmiechał tak jak teraz, wyglądał chłopięco i uroczo. Jęłam się zastanawiać, czy aby mam dobrze w głowie dobrowolnie rezygnując z towarzystwa tego przystojnego faceta na rzecz samotnej podróży do Kornwalii, gdzie czeka mnie tylko obowiązek opieki nad pełną zaskakujących pomysłów ciotką. Czyżby mimo wszystko matka miała rację?

— Przykro mi, że ci sprawiłam zawód. Wczoraj wysłałam list do twojej matki.

— Może innym razem... — powiedział Nigel wielkodusznie. — Bądźmy w kontakcie. Daj mi znać, kiedy wracasz do Londynu.

Wiedziałam, że będzie czekał, jeśli go o to poproszę, gotów wyjść po mnie na dworzec i jakby nigdy nic podjąć wątek naszego związku.

— Dobrze.

— Mam nadzieję, że twoja ciotka szybko wyzdrowieje.

— Ona nie jest chora. To tylko złamana ręka.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

— No cóż... — odezwał się w końcu Nigel. — Do widzenia. Szczęśliwej drogi. —; Pochyliwszy się pocałował mnie w policzek. Było to jednak bardziej pospieszne cmoknięcie, aniżeli prawdziwy pocałunek.

— Dzięki, że przyszedłeś. I dziękuję za kwiaty.

Cofnął się o krok, uniósł rękę w jakimś nieokreślonym pożegnalnym geście, odwrócił się i odszedł. Odprowadzałam go wzrokiem, gdy się przeciskał przez ruchomą ciżbę bagażowych, podróżnych z walizami, wózków transportowych. Przy barierce odwrócił się po raz ostatni. Pomachaliśmy do siebie na pożegnanie. Wróciłam do przedziału, położyłam bukiet na półeczce bagażowej i ponownie zajęłam swoje miejsce. Żałowałam, że doszło do spotkania z Nigelem, bo teraz w moich myślach zapanował zamęt.

Byłam wprawdzie nieodrodną Shackletonówną, ale od czasu do czasu przypadkowe refleksje, które rodziły się w moim umyśle, pasowały jak ulał do szablonu rozumowania matki. Tak właśnie stało się tym razem. Muszę być szalona, dumałam, nie chcąc przestawać z Nigelem, związać się i spędzić z nim reszty życia. Zwykle na samą myśl o stabilizacji wierzyłam jak narowista klacz, jednak w tej chwili, kiedy siedząc w pociągu rozmyślałam o przyszłości, perspektywa ta raptem wydała mi się ogromnie pociągająca. Poczucie bezpieczeństwa — właśnie to mógłby mi zapewnić ten zasługujący na zaufanie mężczyzna. Na nim naprawdę mogłabym polegać. Zaczęłam sobie wyobrażać życie w solidnym, mieszczańskim domu, częste wyjazdy na urlopy do Szkocji, pracę tylko wtedy, gdy będę miała na to ochotę, a nie z konieczności zdobycia pieniędzy. Pomyślałam o własnych dzieciach...

— Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? — usłyszałam jakiś głos.

— Proszę...? — Podnosząc wzrok ujrzałam w przejściu pomiędzy fotelami jakiegoś mężczyznę. Trzymał w ręku walizkę, a obok stała chudziutka, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, ciemnowłosa, w okularach o szklach okrągłych niczym sowie oczy.

— Tak, wolne.

— To dobrze — odparł nieznajomy wciskając walizkę na półkę. Sprawiał wrażenie, że nie jest w nastroju do wymiany grzeczności, a pewne zniecierpliwienie w jego sposobie bycia skłoniło mnie, bym prośbę o ostrożne potraktowanie moich chryzantem zachowała dla siebie. Ubrany był, podobnie jak Nigel, w garnitur typowy dla urzędnika — granatowy, w cieniutkie białe prążki. Ubranie źle na nim leżało, jakby ostatnio nadmiernie przybrał na wadze — chyba pozwalał sobie na zbyt obfite służbowe obiadki. Ruch unoszenia walizki na półkę odsłonił fragment jego kosztownej koszuli opinającej mu się na brzuchu tak, że guziki ledwo wytrzymywały naprężenie. Kiedyś być może był przystojnym facetem, ale teraz miał zbyt nalane policzki, niezdrowo czerwoną cerę, a ciemne, lekko siwiejące włosy opadały mu niedbale na kołnierz — może chciał sobie w ten sposób zrekompensować ich niedostatek na czubku głowy.

— Siadaj tutaj — nakazał dziewczynce.

Posłuchała przycupnąwszy ostrożnie na samej krawędzi fotela. Ścisnęła w rękujakis komiks, a pod pachą torebkę z czerwonej skórki zawieszoną na długim pasku. Krótka obcięta fryzura okalała bladą dziecięcą twarzyczkę odsłaniając smukłą szyjkę. Krótkie włosy, okulary oraz wyraz stoickiego cierpienia nadawały jej wygląd małego chłopca; przypominała mi widzianych na peronie malców skrzepowanych nowymi ubrankami, połykających łyzy, kiedy ich potężnie zbudowani ojcowie wmawiali im, że w szkole z internatem będzie bardzo miło.

— Dobrze schowałaś bilet?

Kiwnęła główką.

— Babcia wyjdzie po ciebie na stację.

Ponownie przytaknęła bez słów.

— No cóż... — Przeciągnął dłonią po włosach z tyłu głowy. Najwyraźniej pragnął już odejść. — To chyba wszystko. Dasz sobie radę.

Kolejne skiniecie głowy. Dziecko i mężczyzna spoglądali na siebie bez uśmiechu. On skierował się do wyjścia, ale przystanął, jakby jeszcze sobie o czymś przypomniał.

— Masz... — Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl portfel z krokodylej skóry i wyciągnął dziesięciofuntowy banknot. — Będiesz musiała coś zjeść. W stosownej porze idź do wagonu restauracyjnego i zamów sobie lunch.

Dziewczynka, wzięwszy pieniądze, wpatrywała się weń bez słowa. Nadal siedziała nieruchomo.

— A więc, do widzenia.

— Do widzenia.

Wyszedł. Mijając okno zwolnił, pomachał na pożegnanie ręką i posłał dziecku zdawkowy uśmiech. Potem zniknął z pola widzenia spiesząc zapewne kujakiemuś efektownemu samochodowi, który go zawiezie do bezpiecznego, męskiego świata biznesu.

Stwierdziwszy w duchu, że facet był okropny, zaczęłam zachodzić w głowę, dlaczego takiemu niesympatycznemu osobnikowi powierzono delikatne zadanie odprowadzenia małej dziewczynki na stację. Siedziała teraz przy mnie cichutko jak myszka. Po chwili sięgnęła po torebkę, odsunęła zamek błyskawiczny i włożyła do środka dziesięć funtów. Chciałam zagadnąć ją przyjaźnie, ale kiedy spostrzegłam, że jej oczy za szkłem okularów zasnuwane są mgiełką łez, postanowiłam zachować dyskretne milczenie. Po chwili pociąg ruszył i wkrótce dworzec został poza nami.

Otworzyłam „Timesa”, przejrzałam tytuły i przeczytawszy wszystkie ponure aktualności z miłym uczuciem ulgi przeszłam do działu informacji o sztuce. Od razu znalazłam to, czego szukałam — reportaż z wystawy malarzkiej otwartej przed kilkoma dniami w galerii Petera Chastala.

Autorem wystawianych prac był młody artysta Daniel Cassens, którego kariera interesowała mnie głównie z tego względu, że w wieku dwudziestu lat przez cały rok mieszkał w domku ciotki Phoebe i wraz z Chipsem zajmował się rzeźbą. Nigdy nie poznałam go osobiście, ale Phoebe i Chips zawsze wyrażali się o nim z sympatią, a kiedy wyjechał do Ameryki, ciotka śledziła jego sukcesy zachłannie i entuzjastycznie, jakby był jej własnym synem.

Daniel dużo przebywał za granicą; kilka lat spędził w Ameryce, potem przeniósł się do Japonii, gdzie go zauroczyła pozorna prostota sztuki orientalnej.

Najnowsza wystawa Daniela była właśnie owocem wieloletniego pobytu artysty na Dalekim Wschodzie. W swej entuzjastycznej recenzji krytyk wręcz unosił się w zachwytach nad spokojem, jakim urzekły go prace Daniela Cassensa, wyrażał podziw dla doskonałej techniki malowania akwarel, chwalił dbałość o szczegóły.

„... To kolekcja jedyna w swoim rodzaju” — pisał na zakończenie — „Te komplementarne płótna niczym fasety klejnotu tworzą równie olśniewającą całość. Naprawdę warto uszczknąć godzinkę ze swoich codziennych zajęć i odwiedzić galerię Chastala. Na pewno nie będzie to czas stracony, a satysfakcja — gwarantowana”.

Phoebe wpadnie w zachwyt, pomyślałam ciesząc się ze względu na nią. Złożyłam gazetę i wyrzawszy przez okno stwierdziłam, że przedmieścia Londynu już zostały w tyle, a my przejeżdżamy przez tereny wiejskie. Dzień był wilgotny; opasłe chmurzyska toczyły się ciężko po niebie odsłaniając tu i ówdzie skrawki kryształowo czystego błękitu. Drzewa zmieniały barwę i zaczynały tracić pierwsze liście. Traktoryna polach ciąży pługiem ziemię, a mijane w pędzie przydomowe ogródki pyszniły się fioletem jesiennych asterów.

Przypomniałam sobie o mojej małej towarzyszcze podróży; odwróciłam więc wzrok od okna chcąc sprawdzić, co porabia. Nie otworzyła jeszcze komiksu ani nie rozpięła

kurtki, lecz oczy miała już suche i sprawiała wrażenie nieco spokojniejszej.

— Dokąd jedziesz? — zagaіłam rozmowę.

— Do Kornwalii — odparła.

— Ja też. A gdzie się zatrzymasz?

— U mojej babci.

— Na pewno miło spędzisz czas. —*— Za chwilę jednak zmarszczyłam brwi z namysłem. — Słuchaj, przecież jest już rok szkolny. Nie powinnaś być w szkole?

— Tak, ale chodzę do szkoły z internatem, a przedwczoraj eksplodował kocioł i dyrektorka odesłała nas do domów. Chyba na tydzień, dopóki awaria nie zostanie usunięta.

— Coś takiego! Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało?

— Nie, ale nasza wychowawczyni, panna Browrigg, musiała się położyć do łóżka na cały tydzień. Przełożona powiedziała, że to szok.

— Nic dziwnego.

— No to ja wróciłam do domu, ale zastałam tam tylko ojca. Mama jest na Majorce. Pojechała tam pod koniec wakacji. Ojciec jest bardzo zajęty, no to ja muszę mieszkać z babcią.

W jej głosie dało się wyczuć kompletny brak entuzjazmu dla tej perspektywy. Starałam się wymyślić parę słów otuchy lub coś zabawnego, co mogłoby ją rozweselić, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Tymczasem ona wzięła komiks i ostentacyjnie zabrała się do czytania. Rozbawiła mnie swym zachowaniem, ale nie chcąc jej peszyć zachowałam powagę. Otworzyłam swoją książkę i też zaczęłam czytać. Podróż upływała nam w milczeniu, aż do chwili, gdy na korytarzu pojawił się kelner z informacją, że w wagonie restauracyjnym można już zamawiać lunch.

Odłożyłam książkę.

— Idziesz coś zjeść? — spytałam pamiętając o jej dziesięciu funtach w torebce.

— Ja... ja nie wiem, dokąd się udać. — Wyglądała na zawstydzoną aż do bólu.

— Chcesz pójść ze mną? Ja się wybieram, możemy zjeść lunch razem.

Najej buzi odmalowała się ulga przemieszana z wdzięcznością.

— Mogłabym? Mam pieniądze, ale nigdy dotąd nie podróżowałam pociągiem sama i nie potrafię sobie ze wszystkim poradzić.

— Wiem, pierwszy raz zawsze wszystko jest trochę skomplikowane. No, pospieszmy się, bo stoliki już będą zajęte.

Ramię w ramię kroczyłyśmy chybotliwym korytarzem aż do wagonu restauracyjnego; zajęłyśmy dwuosobowy stół zastawiony świeżym, białym obrusem i ozdobiony wazonikiem z kwiatkami.

— Trochę mi gorąco — odezwała się dziewczynka.
— Czy mogłabym tu zdjąć kurtkę?

— Sądzę, że to dobry pomysł.

Kelner pospieszył z pomocą małej pasażerki, złożył jej kurtkę i przewiesił przez oparcie krzesła. My zaś rozłożyłyśmy karty oferowanych dań.

— Jesteś głodna? — spytałam.

— Tak. Śniadanie jadłam tak okropnie dawno!

— Gdzie mieszkasz?

— W Sunningdale. Do Londynu ojciec przywiózł mnie samochodem. Jechaliśmy cały ranek.

— Ojciec?! Ten pan, który cię odprowadzał, to twój ojciec? — Przecież jej nawet nie pocałował na pożegnanie.

— Tak. Pracuje w londyńskim biurze. W City. On się nie lubi spóźniać do pracy. — Nasze oczy spotkały się, ale ona szybko uciekła wzrokiem w bok.

- To typowe dla mężczyzn — rzekłam kojąco. — Babcia do której jedziesz, to matka ojca?

— Nie. Ona jest matką mojej mamy.

— A ja wybrałam się z wizytą do ciotki — ciągnęłam gawędziarskim tonem. — Złamała rękę i sama nie może prowadzić samochodu, więc ją muszę w tym wyręczyć. Mieszka na samym krańcu Kornwalii, w wiosce Penmarron.

— Penmarron? Ja też jadę do Penmarron!

— Co za traf!

— Nazywam się Charlotta Collins. Jestem wnuczką pani Tolliver. To moja babcia. Czy znają pani?

— Tak, ale niezbyt dobrze, natomiast moja matka często grywała z nią w brydża. A moja ciotka to Phoebe Shackleton.

Twarzyczka dziewczynki rozjaśniła się na te słowa. Po raz pierwszy miała sprawiała wrażenie zwykłego, podniekowanego dziecka. Otworzyła szeroko oczy — za szkłami okularów wyglądały na jeszcze większe — a usta uchylone w zachwyconym westchnieniu odsłaniały zęby jakby zbyt duże do jej wąskiej buzi.

— Phoebe! To moja najlepsza przyjaciółka! Zawsze kiedy przyjeżdżam do babci, chodzę do Phoebe na herbatę i robimy razem różne rzeczy. Nie wiedziałam, że złamała rękę. — Spojrzała na mnie. — A pani... a tyjesteś może Prue?

— Zgadza się — odpowiedziałam z uśmiechem. — Skąd wiesz?

— Tak sobie myślałam, że skądś znam twoją twarz. Widziałam twoją fotografię w saloniku Phoebe. Zawsze uważałam, że wyglądasz ślicznie.

— Dziękuję.

— A Phoebe, kiedy do niej przychodziłam, opowiadała mi o tobie. Lubię bywać u niej na herbacie; jest wtedy inaczej niż u innych dorosłych, bo babcia pozwala mi iść samej. Zawsze bawię się karuzelą zrobioną ze starego gramofonu.

— To była moja zabawka. Chips zmajstrował ją dla mnie.

— Ja nie znałam Chipsa; umarł w latach, których nie pamiętam.

— A ja nigdy nie poznałam twojej matki.

— Przyjeżdżaliśmy z mamą do babci prawie każdego lata.

— Ja zazwyczaj bywałam tam podczas Świąt Wielkanocnych, niekiedy w Boże Narodzenie, chyba dlatego nigdy nie skrzyżowały się nasze drogi. Nie znam nawet imienia twojej matki.

— Annabelle. Z domu Tolliver, a teraz Collins.

— Masz braci i siostry?

— Tylko jednego brata. Michaela. On ma piętnaście lat i chodzi do szkoły w Wellington.

— A w Wellington nie rozerwał się kocioł?

Była to próba nadania pewnej lekkości naszej rozmowie, ale Chłopta nie zareagowała uśmiechem.

— Nie — zaprzeczyła z powagą.

Przeglądałam menu i rozmyślałam o pani Tolliver. Wywołałam w pamięci obraz wysokiej, raczej zachowującej chłodny dystans osoby, zawsze niezwykle starannie ubranej; siwe włosy miała schludnie ułożone, fałdowane spódnice uprasowane, a długie, wąskie trzewiki wyczyszczone do połysku i lśniące niczym kasztany. Pomyślałam ojej posesji, zwanej w okolicy White Lodge, w której ma się teraz zatrzymać Chłopta i zastanawiałam się przez chwilę, czym też taki dzieciak może się zająć w tym wymuskany ogródku i spokojnym, utrzymywanym we wzorowym porządku domu.

Rzuciłam okiem na dziewczynkę i spostrzegłam, że ze zmarszczonym czołem stara się wybrać jakieś danie. Sprawiała wrażenie smutnej i opuszczonej. To chyba wcale nie jest zabawne być wysłaną do domu tylko dlatego, że rozwalił się kocioł. Do pustego domu, gdzie nikt nie czeka, bo matka przebywa za granicą, a nie ma nikogo innego, kto by mógł zająć się dzieckiem. To chyba nie jest wcale zabawne być wsadzoną do pociągu i odesłaną na drugi koniec kraju do babki. Zapragnęłam nagle, aby pani Tolliver była pulchna i macierzyńska, o wydatnym, ciepłym biuście, dziergająca

z upodobaniem ubranka dla lalek i bez przymusu grywająca w dziecięce gry planszowe.

Charlotta podniosła wzrok i zauważyła, że się jej przyglądam.

— Nie wiem, co wybrać — westchnęła bezradnie.

— Przed chwilą twierdziłaś, że jesteś bardzo głodna. Może spróbujesz wszystkiego po trochu? — zażartowałam.

— Fajnie. — Zamówiła na początek zupełną jarzynową, sztukę mięsa i lody. — Jak sądzisz — zwróciła się do mnie po dłuższej chwili — czy starczy mi pieniędzy jeszcze na coca-cole?

Podróż koleją do Kornwalii ma chyba w sobie coś z magii. Wiem na pewno, że nie jestem jedyną osobą, która z chwilą gdy pociąg przetacza się przez stary most na drugi brzeg rzeki Tamar odnosi wyjątkowe wrażenie przekraczania bram jakiejś czarownej, nieznannej krainy.

Wielokrotnie przebywając tę trasę powtarzałam sobie, że kiedyś czar nie zadziała, ale zawsze jest tak samo. I na dobrą sprawę nie można określić, skąd się bierze to niezwykle uczucie. Może czarodziejska siła tkwi w kształtach domków skąpanych w różnym blasku popołudniowego słońca, w osobliwości maleńkich poletek czy wyniosłości wiaduktów zawieszonych ponad głębokimi, cienistymi wąwozami? A może rzucają urok pierwsze odległe błyski morskiej toni? Lub nazwy mijanych w pędzie malutkich stacyjek zapożyczone od imion świętych pańskich? Głosy bagażowych na peronie w Truro?

Do stacji St. Abbatt dotarliśmy za piętnaście piąta. Kiedy pociąg wjeżdżał na peron, obie z Charlottą stałyśmy przy drzwiach gotowe do wyjścia, z walizkami w rękę; ja trzymałam ponadto mój bukiet chryzantem, które, sądząc z wyglądu, nie najlepiej zniosły naszą podróż. Gdy wysiadaliśmy z wagonu, uderzył w nas podmuch zachodniego wiatru, niosący zapach morza — słony i silny. Liście

rosnących na peronie palm łopotały na wietrze niczym stare, wystrzępione parasole; bagażowy otworzywszy bramkę kontrolną przepychał przez nią skrzynię oburzonych, rozgdakanych kur.

Wiedziałam, że ma po mnie przyjechać pan Thomas; to właściciel jedynej taksówki w Penmarron, Phoebe powiadomiła mnie przez telefon, że go wynająła. Czekał przy pomoście dla podróżnych okutany w grube palto, jakby już nadeszła zima. Głowę ozdobił nabytym na wyprzedaży kapeluszem noszącym na sobie ślady lepszej przeszłości. Kiedy nie jeździł taksówką, zajmował się hodowlą świń, wszakże do tego zajęcia używał innego kapelusza — dobrze wysłużonego, z grubego filcu. Rzadko komu zdarzyło się ujrzeć pana Thomasa bez nakrycia głowy. Phoebe, która ma nieco rabelaisowskie poczucie humoru, zaczęła kiedyś snuć rozważania, jaki kapelusz nakłada pan Thomas idąc do łóżka ze swą połówicą, lecz gdy moja matka wydeła usta, spuściła oczy i nie okazała śladu rozbawienia, ciotka przestała roztrząsać tę kwestię.

Pani Tolliver nigdzie nie było widać. Czułam, że Charlotte ogarnął niepokój.

— Może twoja babcia czeka po drugiej stronie pomostu.

Nasz pociąg właśnie odjechał, mogłyśmy więc przesukać wzrokiem sąsiedni peron, ale jedyną na nim osobą była jakaś gruba kobieta z torbą na zakupy.

— Pani Tolliver pewnie siedzi w samochodzie na placu przed dworcem. Jest za chłodno, żeby stać na wietrze.

— Mam nadzieję, że o mnie nie zapomniała — bąknęła Charlotta.

Sytuacja wyjaśniła się dopiero po nadejściu pana Thomasa.

— Dzień dobry, moja droga — powiedział podchodząc i biorąc z mych rąk walizkę. — Jak się masz? Miło cię tu znów widzieć. Dobrą miałaś podróż? — I nie czekając na odpowiedź zwrócił się do dziewczynki. — Ty jesteś ta mała od pani Tolliver? To dobrze. Mam was obie podwieźć na

miejsce. Najpierw tę małą do White Lodge, potem ciebie do domku panny Shackleton. Razem jechałyście?

— Tak. Spotkałyśmy się w pociągu.

— Twoja ciotka sama chciała wyjechać po ciebie, ale nie radzi sobie z autem przez tę przeklętą rękę. Podaj mi walizkę. — Obrócił się do Charlotty. — Będzie mi łatwiej nieść dwie zamiast jednej.

Tak obciążony ruszył ciężkim krokiem i zaczął się wspinać na drewniane schody pomostu; my szłyśmy za nim w milczeniu. Odezwałam się dopiero w taksówce, której wewnątrz jak zwykle ciut zalatywało lekkim odorem świń.

— Mam nadzieję, że pani Tolliver nie złamała ręki — rzekłam z odrobiną sarkazmu.

— Ma się dobrze. Nic złego jej się nie stało, tylko uznała za zbyt ciężkie wyjeżdżać po wnuczkę, skoro ja i tak wybieram się po ciebie.

Kończąc zdanie zabrał się za uruchomienie swojego pojazdu; silnik dwa razy kichnął, w skrzyni biegów coś zazgrzytało, ale maszyna po chwili ruszyła pod górę traktem wiodącym do głównej drogi.

Zirytowana wsunęłam się w głąb fotela. Być może pomysł żeby dziewczynka zabrała się razem ze mną, istotnie był najpraktyczniejszy, ale z całą pewnością, gdyby pani Tolliver osobiście przyjechała po wnuczkę, powitanie by wypadło serdeczniej. Mogła się chyba pofatygować, przecież to tylko dwie mile!

Charlotta odwróciła ode mnie oczy i wyglądała przez okno; podejrzewałam, że walczy ze łzami. Nie miałam jej tego za złe.

— To był dobry pomysł z tą taksówką. Możemy pobyć razem jeszcze trochę, nie uważasz? — Starałam się powiedzieć to z przekonaniem, tonem pełnym entuzjazmu.

— Chyba tak — odparła, ale nie odwróciła wzroku od okna.

Cóż, choć tak się sprawy potoczyły, najważniejsze, że cel podróży był blisko. Samochód zjeżdżał główną drogą w dół

porośniętego dębami zbocza, obok dawnej siedziby dziedzica, aż do wsi. Tu wszystko było takie jak zawsze: szeregi domków i sklepików, stacja benzynowa, miejscowy pub. Minęliśmy jakiegoś starego człowieka z psem, kroczącego wolno poboczem. Skręciliśmy w boczną uliczkę prowadzącą w kierunku kościoła i morza, zostawiliśmy za sobą zagajnik wiekowych dębów, farmę z zabudowaniami o dachach pokrytych łupkową dachówką i w końcu dotarliśmy do otwartej bramy White Lodge.

Pan Thomas z okropnym zgrzytem zredukował bieg i skręcił na dziedziniec. Krótka alejka ocieniona rozłożystymi drzewami przywiodła nas ku kwietnym klombom i kępom przekwitłych hortensji. Okrążywszy kwiaty wjechaliśmy na wyżwirowany podjazd. Dom był z kamienia, pobielony i solidny. Po ścianie pięła się wistaria aż do górnych okien, a do drzwi frontowych prowadziły kamienne schodki. Wysiedliśmy z taksówki całą trójką, a pan Thomas wszedł po schodkach i zadzwonił. Nagły podmuch wiatru porwał garść opadłych liści, zakręcił nimi w powietrzu i rzucił je nam do stóp. Po krótkiej chwili drzwi domku stanęły otworem i pojawiła się w nich pani Tolliver. Była taka sama jak w moich wspomnieniach: szczupła i elegancka, ze starannie uczesanymi siwymi włosami. Schodziła po stopniach z twarzą ułożoną w stosowny uśmiech powitania.

— Jesteś już Charlotte — Nachyliła się energicznie i pocałowała dziewczynkę. Potem znów wyprostowała się na całą wysokość. Ja nie należę do osób niskich, ale ona górowała nade mną. — Miło mi znów cię zobaczyć, Prue. Nie miałaś chyba nic przeciw temu, żeby jechać taksówką wspólnie z Charlottą?

— Ależ skąd. Spotkałyśmy się w pociągująz na dworcu w Londynie i całą podróż odbyłyśmy razem.

— To miło. Charlotto, czy to twoja walizka? Wejdz do środka. Umyjesz ręce i wypijemy herbatę. Pani Curnow upiekła biszkopt. Spodziewam się, że lubisz biszkopt.

— Tak — przytaknęła dziewczynka, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonywająco. Prawdopodobnie nie znosiła ciast tego typu. Z pewnością wolałaby zjeść na podwieczorek paluszki rybne i frytki.

— ... mam nadzieję, Prue, że zastaniesz ciotkę w dobrym zdrowiu. A może wpadniesz kiedyś na lunch? Jak się ma twoja matka?

— Dziękuję, dobrze.

— Opowiesz mi wszystko przy jakiejś okazji. Chodźmy, Charlotta.

— Do widzenia, Prue — powiedziała dziewczynka.

— Cześć. Przyjdź do nas.

— Przyjdę.

Stojąc obok taksówki czekałam, aż babcia z wnuczką wejdą na szczyt schodków. Pani Tolliver niosła walizkę, a dziewczynka podążała za nią wciąż ściskając w ręku swój komiks. Nie odwróciła się pomachać mi na pożegnanie. Po chwili zniknęła za zamkniętymi drzwiami.

ROZDZIAŁ DRUGI

To nie było w porządku, że małą, wrażliwą dziewczynkę spotkało takie chłodne przyjęcie, podczas gdy na mnie, dwudziestotrzyletnią kobietę, całkowicie zdolną pewnie stać na własnych nogach, czekał przytulny Holly Cottage i kochająca Phoebe. Przed domkiem ciotki nie było podjazdu, jedynie łata żwiru. Przydomowy ogródek Phoebe ginał w masie dalii i chryzantem, a drzwi wejściowe stały otworem dla wieczornej bryzy. Z górnego okna wystawała na zewnątrz różowa zasłonka łopocząca na wietrze niczym żywy człowiek machający ręką w geście entuzjastycznego pozdrowienia. Kiedy tylko taksówka skręciła do bramy, pojawiła się Phoebe we własnej osobie. Lewą rękę krępował jej gips, za to ruchami prawego ramię wylewnie demonstrowała radość powitania. Tak niespodziewanie ruszyła biegiem w naszym kierunku, że pan Thomas omal jej nie potrafił.

Jeszcze samochód na dobre się nie zatrzymał, a ja już tonęłam w jednorękim uścisku Phoebe. Odwzajemniałam jej się z podwójnym zapałem, ściskając ją za nią i za siebie.

— Moja kochana! — zapiszczała z radości. — Jesteś aniołem! Nie wierzyłam, że uda ci się przyjechać. Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Prawie dostaję kręćka próbując samej poruszać się po okolicy. Nie potrafię nawet wsiąść na rower...

Śmiejąc się wypuściłam ją z objęć i obie równocześnie cofnęłyśmy się o krok, patrząc na siebie z najwyższym zadowoleniem. Spoglądanie na Phoebe to zawsze przyjemność. Phoebe jest już dobrze po sześćdziesiątce, lecz z jej wyglądu trudno odgadnąć wpływ mijającego czasu. Od lat wygląda tak samo i ubiera się tak samo.

Miała na sobie grube skarpety, masywne buty i spraną dżinsową spódnicę. Na wierzch wdziała męską koszulę i ciepłą kamizelkę (chyba po Chipsie), szyję ozdobiła kilka złotych łańcuszkami i obwiązała kraciastym szalikiem. Na głowę, oczywiście, nasadziła kapelusz.

Kapelusze nosiła zawsze — z szerokim rondem, wysoką główką, raczej zawadiackie. Nosiła je, gdy malowała w plenerze, by chronić oczy przed słońcem i zimnym, białym lśnieniem kornwalijskiego światła. Stały się one tak bardzo jej częścią, że nierzadko zapominała, że ma je na głowie. Dzisiejszy był ciemnobrązowy, ozdobiony szarymi piórkami mew zatkniętymi za otok zrobiony ze wstążki. W łaskawym cieniu ronda poznaczone siatką zmarszczek oblicze Phoebe jaśniało i uśmiechało się do mnie. Uśmiech odsłaniał zęby równe i białe jak u dziecka i podnosił blask oczu w kolorze bławatka. Ten blask rywalizować mógł tylko z połyskiem kolczyków ze srebra i turkusów, zwisających po obu stronach jej twarzy.

— Oszukałaś mnie, Phoebe. Powinnaś mieć zboląłą minę, a jesteś promienna i piękna jak zawsze.

— Co za bzdury! Słyszysz pan, panie Thomas? Ona nazywa mnie piękną! Jest chyba niespełna rozumu albo ślepa! Co to? Aha, twoja walizka. A te zwiędłe kwiaty po co? Nie chcę tu żadnych badyli! — Wymachując sfatygowanym bukietem roześmiała się ponownie. — Niech mi pan przyśle rachunek, panie Thomas. Nie mogę panu zapłacić od razu, bo gdzieś mi się zawieruszyła torebka.

— Ja zapłacę, Phoebe.

— Ani mi się waży. Zrobię to później, a pan Thomas nie ma nic przeciwko mądej zwłóce, prawda?

Taksówkarz zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, i wsiadł do auta, chcąc odjechać, ale ona poszła za nim i wsadziwszy głowę przez otwarte okno spytała o bolącą nogę jego żony. Kiedy zaczął jej rozwlekle i szczegółowo opowiadać o cierpieniach małżonki, w połowiejego wywodu doszła widać do wniosku, że ma dość, bo przerwała mu w pół słowa.

— Cieszę się, że jej już lepiej — rzekła stanowczo, wysuwając głowę z okna.

Pan Thomas zastopowany nagle w pełnym toku relacji nie stracił jednak głowy; nie od dziś znał pannę Shackleton i jej dziwactwa. Bez dalszych komentarzy zapuścił motor i jego stara taksówka przyskajac żwirem spod kół wyjechała za bramę i zniknęła za zakrętem.

— No to teraz chodźmy do domu — zaproponowała ciotka biorąc mnie pod rękę. — Chcę usłyszeć wszystkie nowinki.

Przez otwarte drzwi weszłyśmy do środka ramię w ramię. W holu zatrzymałam się, rozejrzałam wokół siebie i z przyjemnością stwierdziłam, że nic się nie zmieniło. Wyfroterowana do połysku podłoga była zarzucona dywanikami, drewnianych schodów wiodących na piętro nie przykryto żadnym chodnikiem, a pobielone ściany zdobiły, jak zwykle, pozawieszane na chybił trafił nieduże olejne obrazki namalowane przez Phoebe.

Dom pachniał terpentyną, dymem drzewnym, olejem lnianym, czosnkiem i różami. Ale jego największy urok stanowiła atmosfera beztroski i lekkości, którą tworzyły pastelowe kolory ścian, koronkowe firanki, słomiane dywaniki, polerowane drewno. Nawet w samym środku zimy tutaj zawsze czuło się powiew lata.

— Boże mój — westchnęłam z głębi duszy chłonąc całą sobą tę cudowną atmosferę domku. — Boże mój, jak dobrze tu wrócić!

— Przygotowałam ci twój stary pokój — oznajmiła Phoebe i zostawiwszy mnie samą odeszła do kuchni. Wie-

działam, że spędzi tam dobrą chwilę na próbach uratowania przywędłych kwiatów od Nigela, mimo iż swoich ma pełen ogród. Podniosłam walizkę i udałam się na piętro do pokoiku, który uważałam za własny od wczesnego dzieciństwa. Gdy otworzyłam drzwi, podmuch chłodnego wiatru wtargnął do środka przez szeroko otwarte okno. Upuściwszy walizkę na podłogę wychyliłam się poza parapet, by ogarnąć wzrokiem znajomy widok.

Była pora odpływu; w wieczornym powietrzu czuło się woń wodorostów. Mieszkając w Holly Cottage nie da się uciec od zapachów morza. Domek stoi na stromym trawiastym zboczu wznoszącym się nad swego rodzaju zatoczką utworzoną przez przypływ morza. Wcina się ona w ład niczym wielkie jezioro napełniane bądź opróżniane każdego dnia w odwiecznym rytmie przypływów i odpływów.

Poniżej domu ciągnie się szeroki murowany falochron, po którym ongiś biegła jednotorowa bocznica kolejowa prowadząca do pełnej życia stoczni. Stocznię zlikwidowano, tor zdjęto, ale mur pozostał, twardy i solidny jak skała. Przy wysokim stanie przypływu woda podchodzi niemal do wierzchołka, tworząc latem wspaniałe miejsce do pływania. Przy odpływie zaś odsłaniają się całe akry piachu usianego nielicznymi skałami, z których smętnie zwisają wodorosty. Płytkie kałuże wody błyszczą tu i ówdzie, z piasku sterczy kilka wraków łodzi, zostały na zimę wyciągnięte na brzeg dawo temu, a z niewiadomych powodów nigdy już nie wypłynęły w morze.

Ogród, położony po stronie południowej, jest zaskakująco duży. Nieregularna płaszczyzna trawnika przecięta gdzieś wzdłuż kwiatową rabatką opada w dół opierając się o graniczny żywopłot. W środku żywopłotu wycięto bramę, nad którą spięte pędy eskalarii tworzą łuk nadając ogrodowi urokliwie staroświecki wygląd. Z prawej strony, u stóp wysokiego ceglanego muru, przy którym Chips Armitage hodował drzewka brzoskwiniowe, założono spory ogród

warzywny. Na jego krańcu artysta zbudował swoje studio, niemal niewidoczne z domu.

Mogłam teraz dostrzec tylko szary dach i siedzącą na nim samotną rybitwę. Akurat gdy na nią patrzyłam, rozłożyła skrzydła i wydawszy skierowany w niebo wyzywający krzyk wzbiła się w powietrze, szybując nad mokrą, pustą plażę.

Uśmiechnęłam się; zamknęłam okno, bo ciągnął przez nie wieczorny chłód i zeszłam na dół do ciotki.

Usiadłyśmy przy kominku oddzielone tylko szerokością dywanika, grzejąc się w ciepłe płonącej w palenisku głowni. Światło za oknem stopniowo przygasało przechodząc w cienie wieczoru. Na przewoźnym stoliku stał duży, brązowy czajnik na herbatę, ceramiczne ręcznie malowane filiżanki i spodeczki, talerz świeżo upieczonych biszkoptów, żółciutkie wiejskie masło i domowy dżem z wiśni.

— Chyba nie robiłaś tych wypieków sama? Co, Phoebe? Masz przecież sprawną tylko jedną rękę.

— Istotnie. To Lily Tonkins przygotowała je dla mnie dziś rano. Poczciwa kobieta, przychodzi codziennie i obejmuje rządy w kuchni. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że z niej taka wspaniała kucharka.

— A w jakich okolicznościach złamałaś rękę?

— W bardzo głupich. Poszłam do pracowni Chipsa poszukać starych arkuszy rysunkowych. Wiedziałam, że leżą na górnej półce biblioteczki, wspięłam się więc na fotel, nie podejrzewając, że w drewnie zagnieździły się korniki. Już się chyba domyślasz, co się stało... noga fotela odpadła, a ja gruchnęłam na ziemię jak długa! — Zaniosła się grzmiącym śmiechem, jakby to był najlepszy kawał stulecia. Na głowie wciąż miała kapelusz z piórkami. — Szczęściem, że ucierpiała tylko noga fotela, nie moja, bo mogłam się pozbierać i pójść do domu. Pomyślnym trafem akurat przyjechał listonosz z popołudniową pocztą. Podrzucił mnie do szpitala, a tam założyli mi ten obmierzły gips.

— Moja ty biedaczko.

— Och, nie użalaj się nade mną. Nic mnie nie boli, tylko ta cała sytuacja jest uciążliwa i wściekam się, bo nie mogę prowadzić samochodu. Jutro jadę do szpitala na badanie kontrolne... nie wiem, co oni sobie wyobrażają, że dostanę gangreny, czy co?!

— Zawiozę cię.

— Nie musisz, bo obiecali przysłać po mnie karetkę. Nigdy dotąd nie jechałam karetką i raczej cieszy mnie perspektywa takiej przejażdżki. Co u Delii, ma się dobrze?

Delia to moja matka; odparłam, że u niej wszystko w porządku.

— Jak ci upłynęła podróż? — Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ciotka przypomniała sobie o umowie z panią Tolliver w sprawie przywiezienia jej wnuczki. — O, mój Boże, zapomniałam spytać o Charlotte Collins. Czy pan Thomas pamiętał, żeby ją zabrać z dworca?

— Tak.

— Całe szczęście. Moim zdaniem pani Tolliver z powodzeniem mogła się osobiście wybrać po to biedne dziecko, ale ona uważała, że to nie ma sensu, skoro pan Thomas i tak jedzie po ciebie.

— Ja także sądzę, że powinna sama po nią wyjechać.

— A jak to przyjęła ta biedna kruszynka?

— Sprawiała wrażenie odrobinę spiętej. Z kompletnym brakiem entuzjazmu mówiła o wizycie u babki. Trochę ożywienia wykazała jedynie na wzmiankę o tobie; ona cię uwielbia.

— Zabawne. Należałoby sądzić, że powinna chcieć się zadawać raczej z rówieśnikami. Co prawda w naszej wiosce nie ma dzieci w jej wieku, ale gdyby nawet były, ta mała i tak trzymałaby się osobno. Kiedy spotkałam ją po raz pierwszy, spacerowała po plaży całkiem sama. Tonem dorosłego człowieka wyjaśniła mi, że wyszła sobie na przechadzkę. Zaprosiłam ją wtedy na herbatę, a potem już często do mnie przychodziła. Fascynowały ją moje rysunki, obrazy i szkice. Podarowałam jej szkicownik i komplet flamastrów; okazało

się, że ma wrodzony talent i bujną wyobraźnię. Przepada też za rozmaitymi powiastkami z życia; dosłownie zamieniała się w słuch, kiedy opowiadałam jej o Chipsie, o mnie i naszych szalonych pomysłach. Takie zainteresowanie u dzieciaka to naprawdę coś niezwykłego.

— Wiesz, Phoebe, ja nie wiedziałam, że pani Tolliver ma wnuczkę. Prawdę mówiąc nie przypuszczałam nawet, że ma córkę, bo nie sądziłam, że jest mężatką. Jakoś się nigdy nie mówiło o jej mężu. Co się z nim stało?

— Umarł, dość dawno temu. Gdy Chips i ja sprowadziliśmy się tutaj, onjeszcze żył i rodzina Tolliverów prowadziła dom na wysokiej stopie. Bentley w garażu, dwóch ogrodników, kucharka i pokojówka... wiesz, te rzeczy. Annabelle była rozpieszczana do niemożliwości, pozwalano jej na wszystko, typowajedynaczka. Pewnego dnia Tolliver dostał nagle ataku serca, przewrócił się przy siódmym dołku na polu golfowym i już się z tego nie wykaraskał. Potem się dla nich wszystko odmieniło. Pani Tolliver nie opowiadała o swoich kłopotach... onajest najbardziej skryta ze znanych mi osób... ale duży samochód został sprzedany i widać było, że przeprowadzono generalną redukcję wydatków domowych. Annabelle, kształcona w niesłychanie ekskluzywnej szkole w Szwajcarii, musiała wrócić do domu i pójść do zwykłego liceum, którego nie cierpiała. Wydaje mi się, że tę zmianę swojego losu odebrała jako policzek od życia.

— Jaka onajest?

— Annabelle? Buzia bardzo ładna, lecz ani krzty rozumu. Kiedy wyszła za mąż i urodziła syna, rokrocznie przyjeżdżała tu na lato do matki. Zawsze wtedy kręciło się koło niej trzech, czterech spragnionych wrażeń absztyfikantów. Na każdym przyjęciu była wprost oblegana przez mężczyzn. Ciągnęli do niej jak muchy do miodu.

— Ona jest teraz na Majorce. Dowiedziałam się od Charlotty.

— Wiem, słyszałam o wszystkim. Panią Tolliver zirytowała bardzo wiadomość o awarii kotła. Oburzała się na takie

porządki szkolne, co to dopuszczają używanie niesprawnych urządzeń. Ja byłam przerażona na wieść o tym, co się stało... mogło przecież dojść do wypadku i śmierci dzieciaków... ale ją chyba bardziej martwiła perspektywa przyjazdu wnuczki. Mam wrażenie, iż ona uważa, że córka powinna wrócić i sama się zająć swoim dzieckiem.

— Ale babka chyba lubi Charlotte?

— Spodziewam się — przytaknęła Phoebe na swój beztroski sposób. — Natomiast prawdą jest, że nigdy zbyt nie interesowała się dziećmi, a Charlotta chyba ją nudzi. Sama nigdy nie zajmowała się wychowaniem córki i teraz mając u siebie wnuczkę po prostu nie wie, co z tym fantem zrobić.

Wiatr na dworze przybrał na sile i łomocząc okiennicami okręzał ze świstem narożniki domu, ale pokój, w którym siedziałyśmy, był ciepły i jasny od blasku tańczących płomieni. Sięgnęłam po czajnik z wrzątkiem stojący w mosiężnym schowku blisko ognia w kominku i ponownie napełniłam filiżanki.

— A mąż Annabelle?

— Leslie Collins? Nie znosiłam go, okropny facet.

— Też mi się nie spodobał. Nawet nie pocałował córki na pożegnanie. W jakich okolicznościach poznali się z Annabellą?

— Kiedyś zatrzymał się w hotelu „Zamek” w Porthkeris wraz z trzema kolegami po fachu. Jest maklerem giełdowym, czy kimś w podobnym stylu. Pracuje w londyńskim City. Nie wiem, w jaki sposób doszło do spotkania, ale gdy tylko zobaczył Annabelle, wpadł po uszy.

— Ale on ją chyba nie pociągał?

— Ależ tak, w pewnym sensie. Potrafił jej zaimponować. Sypał pieniędzmi na prawo i lewo, rozbijał się szykownym ferrari. ,

— Zakochała się w nim?

— Skądże znowu! Nie kochała go ani przez chwilę. Annabelle kocha tylko siebie, jednak on mógł jej dać

wszystko, czego pragnęła od życia. No i chciała uciec od biedy. A matka rzecz jasna zachęcała ją gorliwie do tego małżeństwa. Wydaje mi się, że pani Tolliver nigdy nie wybaczyła mężowi, że pozostawił rodzinę w kłopotach finansowych, i była zdecydowana dobrze wydać córkę za mąż.

Zadumałam się na chwilę, potem dolałam sobie herbaty i rozparłam się wygodnie na poduszkach starego, przepastnego fotela.

— Chyba wszystkie matki są takie same — odezwałam się po chwili.

— Tylko mi nie mów, że Delia też cię popycha do bogatego zamążpójścia!

— Och, nie. Ale jest pewien mężczyzna... ten, który dał mi chryzantemy... — I opowiedziałam ciotce o Nigelu Gordonie, zaproszeniu do Szkocji i stanowisku matki w tej sprawie.

Phoebe słuchała z sympatią, a kiedy skończyłam, zawyrokowała:

— Z twego opisu wynika, że to miły chłopak.

— Jest sympatyczny. W tym problem. Nawet bardzo sympatyczny, ale moja matka już się szykuje do uruchomienia weselnych dzwonów, stale mi przypomina, że mam już dwadzieścia trzy lata i powinnam założyć rodzinę i mieć dzieci. Gdyby nie była w tym tak nachalna, może i wyszłabym za niego.

— Nie wolno ci go poślubić, dopóki nie będziesz pewna, że nie możesz bez niego żyć.

— W tym sęk. Potrafię sobie wyobrazić życie bez niego. I przychodzi mi to z łatwością.

— Każdy z nas czego innego oczekuje od życia. Twojej matce najbardziej zależy na poczuciu bezpieczeństwa. Tym się jedynie kierowała przy wyborze męża... i patrz, co z tego wyszło. Nie miała czasu, a może i ochoty, aby tego człowieka dobrze poznać przed owym spektakularnym przemarszem wzdłuż kościelnej nawy do ołtarza. Ale ty nie jesteś do niej

podobna, należysz do osób szczególnych. Tobie trzeba więcej niż to, żeby mąż przynosił ci kwiaty i płacił twoje rachunki. Jesteś inteligentna i utalentowana, a kiedy na dobre zwiążesz się z mężczyzną, musi to być ktoś, kto potrafi cię rozbawić. Wiem, że to dla ciebie absolutnie konieczne, wierz mi. Chips i ja śmiałyśmy się cały czas, nawet gdy nam doskwierała bieda, nie odnosiliśmy sukcesów, a ja nie miałam z czego zapłacić w sklepiku za jedzenie. Brak nam było pieniędzy, ale śmiech zawsze mieliśmy na podorzędu.

Uśmiechnęłam się do moich wspomnień o ich wspólnym życiu.

— Jeśli mowa o Chipsie, to czy wiesz, że jego uczeń, Daniel Cassens, ma wystawę w galerii Chastala? Dziś rano czytałam, w „Timesie” entuzjastyczną recenzję.

— Ja też czytałam. To takie ekscytujące! Chciałam nawet wybrać się do Londynu na otwarcie wystawy, ale akurat złamałam tę głupią rękę i lekarz zakazał mi podróżować.

— Czy on jest w Londynie? Chodzi mi o Daniela.

— Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się teraz obraca. Prawdopodobnie nadal siedzi w Japonii. A może w Meksyku lub innym równie zwariowanym miejscu. Ogromnie chciałabym obejrzeć jego wystawę. Może gdy będę się trochę bardziej nadawać do życia, to wybierzemy się do Londynu, co? Będzie zabawnie, nie uważasz? Znow mam na co czekać!

Tej nocy miałam dziwny sen. Śniło mi się, że przebywałam na jakiejś tropikalnej wyspie obrzeżonej palmami i białą piaszczystą plażą. Panował upał. Szłam po plaży zbliżając się coraz bardziej do spokojnego i przejrzystego jak szkło morza. Chciałam popływać, ale gdy weszłam do wody, sięgała mi zaledwie do kostek. Brodziłam i brodziłam w tej płyčynie, aż w pewnej chwili raptownie straciłam grunt pod nogami. Zaczęłam płynąć. Toń była ciemna jak atrament, a prąd silny niczym rwąca rzeka. Czułam, że mnie porywa, niosąc ku horyzontowi coraz dalej i dalej od brzegu. Próbowalam zawrócić do plaży, lecz nie potrafiłam pokonać

siły prądu. Zaniechałam walki i pozwoliłam się nieść w bezkres wody i nieba, a uczucie unoszenia było tak cudowne, że nie dbałam o to, czy powrócę.

Obudziwszy się miałam Wciąż przed oczami najdrobniejsze szczegóły snu. Leżąc w łóżku rozmyślałam o kryształowo czystym morzu i spokoju, jaki mnie ogarnął, gdy płynęłam w ciepłej, niezmaconej wodzie. Każdy sen ponoć mają jakieś znaczenie, zastanawiałam się zatem, jak moje senne marzenie mógłby wyjaśnić ktoś, kto się zawodowo zajmuje interpretacją snów. Potem przyszło mi na myśl, że był to sen o śmierci. Pomyślałam o tym jednak spokojnie i bez lęku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesny ranek zamienił się w piękne przedpołudnie. Przedpołudnie świeże i jasne. Błękitne niebo usiane było dużymi białymi obłokami, które wiatr pędził od strony Atlantyku. Słońce to wyglądało, to znów się chowało za chmury, a woda przypląwu z wolna wypełniała zatoczkę; pełzła po piasku zalewając dołki i kałuże, by w końcu, około jedenastej, dosięgnąć muru falochronu.

Phoebe udała się na umówioną wizytę do szpitala, wieziona z fasonem miejscowym ambulansem. Na tę podróż założyła inny kapelusz: czarny, welwetowy, przewiązany szaliczką z grubegojedwabiu. Przez okno karetki machała mi dłonią tak entuzjastycznie, jakby wybierała się na dłuższą wycieczkę; Miała wrócić dopiero na lunch. Zaoferowałam swoje usługi w przygotowaniu posiłku, ale Lily Tonkins od rana krzątająca się po domku oświadczyła, że już włożyła do piecyka pieczeń jagnięcą. Wobec takiej odprawy postanowiłam się wycofać. Wzięłam szkicownik, węgiel rysunkowy, jabłko z patery z owocami i wyszłam na dwór.

Czas szybko mijał, dochodziła jedenasta, rześkie powietrze cięły krzyki mew. Słońce rzucało błyski na marszczoną lekkim powiewem wodę zatoczki. Siedziałam na trawiastym stoku wznoszącym się powyżej falochronu. Pobieźny szkic bezpieczeństwa kutrów miałam już gotowy, kończyłam rysować szczegóły luku, gdy usłyszałam turkot porannego

pociągu. Z wykopu kolejowego biegnącego za domkiem Phoebe wynurzyła się krótka kolejka kursująca z Porthkerris i podjechała do stacyjki przy nadbrzeżu. Po chwili postoju lokomotywa wydała ostry gwizd, pociąg ruszył i za zakrętem zniknął mi z pola widzenia.

Tak pochłaniało mnie zachowanie właściwych proporcji zniekształconych w mylących odbłaskach odbitych od wody, że prawie nie zwracałam uwagi, co się wokół działo. Kiedy jednak podniosłam wzrok, by się lepiej przyjrzeć kilowi sterczącej rufą do góry łodzi, kątem oka uchwyciłam jakiś ruch. Spoglądając w tamtą stronę zauważyłam samotną postać zmierzającą w moim kierunku. Człowiek ten szedł od stacji kolejowej, przypuszczałam zatem, że wysiadł z pociągu i przeszedł przez tory. Teraz podąża szlakiem nie używanej bocznicy. Nie było w tym nic osobliwego; ludzie dość często podróżowali pociągiem z Porthkerris do Penmarron, by później przebyć spacerkiem trzymilową powrotną trasę biegnącą malowniczo na krawędzi klifu.

Straciłam zainteresowanie rysowaniem; odłożyłam szkicownik, sięgnęłam po jabłko. Patrzyłam na nieznanego. Był to wysoki mężczyzna, długonogi, swobodnie stawiający duże kroki. Jego ubranie z początku stanowiło dla mnie tylko zamazaną biało-niebieską plamę, ale kiedy się przybliżył, mogłam rozróżnić szczegóły stroju. Miał na sobie dżinsy i jasną, spłowieła koszulę, na to narzucił biały, robiony na drutach żakiet, w rodzaju tych, jakie ludzie przywożą sobie z urlopu w Irlandii. Poły rozpiętego żakieta powiewały na wietrze, podobnie jak końce czerwono-białej chustki związanej na szyi. Z gołą głową, ciemnowłosy, nie sprawiał wrażenia, że się spieszy, ale dzielący nas dystans pokonywał ze znaczną prędkością.

Wyglądał jak ktoś, kto wie, dokąd zdąży.

Dotarł już do krańca muru; zatrzymał się na moment i dłonią osłoniwszy oczy przed blaskiem popatrzył na skrzącą się w słońcu wodę. Po chwili podjął wędrówkę i wtedy mnie spostrzegł. Wlepiąłem w niego wzrok siedząc

w wysokiej trawie z jabłkiem w ręku. Sądziłam, że minie mnie ze zdawkowym „dzień dobry”, lecz gdy się ze mną zrównał, przystanął. Stał zwrócony plecami do morza, z głową odchyloną do tyłu i rękami schowanymi w kieszeniach obszernego żakietu. Powiew wiatru rozwichrzył mu ciemne włosy.

— Cześć — przemówił.

Miał chłopięcy głos, postawę młodzieńczą, ale szczupłą, śniada twarz nie była obliczem chłopca; poznaczona wyraźnymi bruzdami wokół ust i głęboko osadzonych oczu, należała do mężczyzny.

— Cześć — odparłam.

— Piękny dzień.

— W samej rzeczy. — Skończyłam jabłko i odrzuciłam w bok ogryzek. Jakaś rybitwa błyskawicznie nurkując złapała go w locie i odfrunęła unosząc zdobycz, by ją zjeść w odosobnionym miejscu.

— Właśnie wysiadłem z pociągu.

— Domyśliłam się. Zamierza pan wracać pieszo do Porthkerris?

— Nie, właściwie nie. — Zaczął się wspinać w górę zbocza i zmierzając w moim kierunku kluczył pomiędzy krzewami jeżyn i kępami orlicy. Dotarwszy do miejsca, gdzie siedziałam, opadł obok mnie na trawę i wyciągnął przed siebie długie, szczupłe nogi. Jego płócienne buty były przetarte na palcach, a rozgrzany słońcem żakiet wydzielał woń owiec, jakby go wydziergano z surowej wełny.

— Może pan się przejść krawędzią klifu, jeśli pan chce.

— Aha. Ale nie chcę. — Rzucił okiem na mój leżący w trawie szkicownik i nim zdążyłam zareagować, wziął go do ręki. — Bardzo ładne.

— Takie tam, gryzmoły.

— Wcale nie. — Oglądał rysunek jeszcze chwilę, później bez słowa odłożył go na miejsce. — Jest coś fascynującego w obserwowaniu przypływu, bo to właśnie pani robi, prawda?

— Od godziny.

Poszperał w obszernej kieszeni żakietu i wyciągnął płaskie pudełko cygar, zapalniczki i jakąś broszurkę o pozaginanych rogach, najwyraźniej zniszczoną od częstego czytania. Gdy dostrzegłam, że to *Ginąca Kornwalia* pióra Daphne du Maurier zapłonęła we mnie iskierka ciekawości. Na etykietce zapalniczki zauważyłam napis: *Zamek-Hotelw Porthkerris*. Poczułam się niczym detektyw na tropie i pomyślałam, że już dużo wiem o tym człowieku.

On tymczasem zapalił cygaro. Miał piękne dłonie: wąskie, z długimi palcami uformowanymi na końcach w regularne łuki. Nadgarstek jednej ręki opinał mu zwykły, tani zegarek, a na drugim błyszczał łańcuszek spleciony ze złotych ogniwi, masywny, chyba bardzo stary i drogi.

Kiedy schował do kieszeni cygara i zapalniczkę, spytałam:

— Zatrzymał się pan w Zamku?

Podniósł na mnie wzrok pełen zdziwienia i uśmiechnął się.

— Jak to pani odgadła?

— Metodą dedukcji. Bystre oko i zapalniczki.

— Ach, tak. Rzeczywiście. No cóż, spędziłem w tym hotelu ubiegłą noc, jeśli to można nazwać zatrzymaniem. Przybyłem wczoraj z Londynu.

— Ja też. Przyjechałam pociągiem.

— Ja niestety nie. Zabrałem się okazją. Nie znoszę prowadzić samochodu. Nie cierpię aut. Zdecydowanie wolałbym siedzieć sobie w przedziale i wyglądać przez okno albo czytać książkę. To nieskończenie bardziej cywilizowane zajęcie. — Ułożył się wygodniej podpierając się na ręce zgiętej w łokciu. — Spędza tu pani urlop, odwiedza kogoś czy mieszka na stałe?

— Jestem tu z wizytą.

— Zatrzymała się pani we wsi?

— Tak, a właściwie tutaj.

— Jak to tutaj?

— W tym domku opodal. Tu w górze.

— W Holly Cottage? — Zaczął się śmiać. — Czy pani mieszka u Phoebe?

— Zna ją pan?

— Naturalnie. Właśnie dlatego tu jestem. Idę do niej w odwiedziny.

— Nie zastanie jej pan w domu, ambulans ją zabrał do szpitala. Nic się złego nie dzieje — dodałam pospiesznie na widok jego przerażonej miny. — To nie zawał ani nic w tym stylu. Złamała rękę, założono jej gips, a dziś doktor chciał rzucić okiem, czy złamanie dobrze się goi.

— Odetchnąłem z ulgą. Naprawdę z nią wszystko w porządku?

— W najzupełniejszym. Wraca do domu na lunch.

— To dobrze. A kim pani jest? Pielęgniarką czy też może jedną z wiecznie kręcących się przy Phoebe studentek?

— Nie, ja jestem wiecznie kręcącą się przy Phoebe bratanicą.

— Czyżby Prue?

— Nie inaczej. A pan? — spytałam marszcząc brwi.

— Daniel Cassens.

— Daniel? Przecież pan jest w Meksyku — zdziwiłam się całkiem bez sensu.

— W Meksyku? Dlaczego w Meksyku? Jak długo żyję nie byłem w Meksyku!

— Phoebe tak powiedziała... w Meksyku albo innym równie zwariowanym miejscu.

— No, proszę. W istocie byłem na Wyspach Dziewiczych, na jachcie z paczką amerykańskich znajomych, ale ktoś powiedział, że zbliża się huragan, więc zdecydowałem, że czas najwyższy ulotnić się stamtąd. Potem żałowałem, bo w Nowym Jorku zostałem zasypany lawiną telegramów od Petera Chastala, który mi urządził wystawę w Londynie i wzywał mnie na otwarcie.

— Słyszałam o wystawie. Pracuję dla Marcusa Bernsteina. To rzeczywiście najbliższe sąsiedztwo galerii Chastala. Czytałam też recenzję z pańskiej wystawy i sądzę, że odniósł

pan sukces. Phoebe też czytała ten artykuł. Ogromnie się przejęła.

— Cała Phoebe.

— Był pan na otwarciu?

— W końcu udało mi się przyjechać. W ostatniej chwili uległem Chastalowi i złapałem samolot do kraju.

— W końcu? Dlaczego pan zwlekał do końca? Większość ludzi za nic nie chciałaby stracić takiej okazji. Pompa, szampan, gratulacje, pochlebstwa...

— Nie znoszę swoich wystaw. To najgorsza forma ekshibicjonizmu. Jak wystawianie swoich dzieci na pokaz i przetarg. Te wszystkie oczy, natrętne spojrzenia... Czuję się od tego chory. *

Rozumiałam go.

— Mimo wszystko był pan na otwarciu?

— Tak, wpadłem na chwilę, ale w przebraniu. Nasadziłem na głowę kapelusz z dużym rondem i założyłem ciemne okulary. Musiałem chyba wyglądać jak szurnięty szpieg. Wytrzymałem tam tylko pół godziny, a kiedy Peter nie patrzył, wymknąłem się chyłkiem i schroniłem w jakimś pubie, by podumać nad tym, co dalej robić. Tam wdałem się w pogawędkę z pewnym facetem, postawiłem mu piwo, a kiedy powiedział, że jedzie do Kornwalii, zabrałem się z nim na łebka, i wylądowałem tu wczoraj wieczór.

— Dlaczego nie zatrzymał się pan u Phoebe?

Pytanie zadałam odruchowo i natychmiast tego pożałowałam. On uciekł wzrokiem w bok, zerwał garstkę trawy i milczał, obserwując jak wiatr wydmuchuje mu z palców pojedyncze źdźbła.

— Nie wiem — odparł po chwili. — Z wielu powodów. Ważnych i błahych. *

— Ale pan wie, że ona by pana przyjęła z otwartymi rękami?

— Tak. Jednak minęło tyle lat. Jedenaście, od mego ostatniego pobytu. Wtedy Chips jeszcze żył.

— Pracowaliście razem, prawda?

— Przez rok. Kiedy umarł, byłem w Ameryce. Mieszkałem u pewnych przypadkowo spotkanych ludzi, właścicieli winnicy. List od Phoebe długo mnie szukał, lecz gdy go w końcu dostałem, i tak nie chciałem wracać do kraju. Hołdowałem wówczas zasadzie, że jeśli człowiek nie dowie się lub nie przyjmie do wiadomości informacji o śmierci swoich bliskich, to będą oni żyć wiecznie. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że Chips nie żyje, postanowiłem więc niejechać do Kornwalii i uniknąć konfrontacji z rzeczywistością. Niestety umieranie jest częścią życia, potem przyswoiłem sobie tę prawdę. Wtedy jeszcze w to nie chciałem wierzyć.

Przypomniałam sobie karuzelę, którą zrobił dla mnie Chips, jego roześmianą twarz, zapach fajki.

— Ja też go kochałam.

— Jego wszyscy kochali. Był takim dobrym człowiekiem. Pracowałem z nim nad rzeźbą, ale nauczyłem się też od niego wiele o życiu, a to dla dwudziestolatka jest nieskończenie ważne. Do ludzi odnosiłem się inaczej niż moi rówieśnicy, może dlatego, że nigdy nie poznałem swojego ojca. Chips wypełnił tę lukę. Dał mi poczucie tożsamości. — Wiedziałam, co ma na myśli, bo podobną ostoją dla mnie była Phoebe. — W drodze z Londynu zastanawiałem się, czy jadąc tutaj postępuję słusznie, bo nie zawsze dobrze jest wracać do miejsc, gdzie człowiek przeżył młodość i snuł marzenia. No i miał ambicje.

— Przeciwnie, jeśli mu się te marzenia ziściły i zaspokoił ambicje. A w pana przypadku tak się chyba stało. Sukces wystawy Chastalajest dobitnym dowodem. Podobno wręcz rozchwytywano pańskie obrazy. Wykupiono wszystkie. Ten sukces to dla pana solidna podstawa pewności siebie.

— A jeśli mi trzeba nieco braku tej pewności?

— Sukces i niepewność... cóż, nie można mieć wszystkiego.

Umilkliśmy. Dochodziło południe i słońce grzało mocno. Słychać było cichy szmer wietrzyka, plusk fali ude-

rzającej o mur falochronu, szum pojazdów na odległej estakadzie po drugiej stronie zatoczki. Na plaży stadko mew biło się o kawałek śniętej ryby.

— Wie pani, dawno temu przed naszą erą, w epoce brązu, ta zatoczka była ujściem rzeki. Tędy wpływały łodzie kupców docierających tu aż ze wschodnich rejonów Morza Śródziemnego, obciążone po burty wszelkimi skarbami Lewantu.

Uśmiechnęłam się.

— Również czytałam *Ginącą Kornwalię* — powiedziałam.

— To fascynujące. — Wyjął książkę, otworzył na chybił trafił, a broszurka rozłożyła się na najczęściej czytanej stronie. Zaczął czytać na głos:

/ dziś uważnemu obserwatorowi, który przycupnie wśród wydm i kęp przybrzeżnej trawy, by posiać spojrzenie tam, gdzie na powierzchni morza wyróżnia się barwą smuga płycizn, rozigrana wyobraźnia wyczarować może wizerunek płaskodennego statku o dumnie wzniesionym dziobie, wpływającego pod pełnymi żaglami do ujścia rzeki.

Zamknął książkę.

— Chciałbym mieć taką bujną wyobraźnię. Potrafię niestety dostrzegać jedynie rzeczywistość i próbuję ukazywać ją na płótnie w sposób, w jaki mi się jawi.

— Czy pan tę książkę wszędzie wozi ze sobą?

— Nie. Trafiłem na nią w pewnej księgarni w Nowym Jorku i już po przeczytaniu jej po raz pierwszy wiedziałem, że kiedyś, któregoś dnia, wrócę do Kornwalii. To kraina, której wspomnienie nigdy człowieka nie opuści, ona przyciąga jak magnes, tu się musi wracać.

— Ale, na miły Bóg, dlaczego Zamek, jakby nie było innych możliwości?!

Zmierzył mnie pełnym rozbawienia wzrokiem.

— Dlaczego? Sądzi pani, że nie pasuję do atmosfery tego hotelu?

Oczyrna duszy ujrzałam bogatych Amerykanów, namiętnie grywające w brydża kobiety wystrojone w szykowne kostiumiki, graczy golfowych i orkiestrę specjalnie dobraną, by dogadzała gustom ludzi z tak zwanego lepszego towarzystwa.

— Nie bardzo.

— Wiem. — Roześmiał się głośno. — Nie był to zbyt szczęśliwy wybór, ale tylko ten hotel pamiętałem z dawnych czasów, a za bardzo padałem z nóg, żeby wyruszyć na poszukiwanie innego lokum. Odczuwałem skutki różnicy czasów po przelocie przez Atlantyck, byłem zmęczony Londynem, znużony wszystkim. Pragnąłem jedynie zwalić się na łóżko i spać przez tydzień. Ale dzisiejszego ranka obudziłem się świeżutki jak skowronek. Od razu pomyślałem o Chipsie i wiedziałem, że muszę zobaczyć się z Phoebe. Złapałem pociąg do Penmarron, a potem spotkałem panią. To wszystko.

— Teraz pójdzie pan ze mną do domu i zostanie na lunchu — powiedziała stanowczo. — Mamy w lodówce wino, a Lily Tonkins piecze w piecyku kawałek jagnięcia.

— Lily Tonkins? Nadal przychodzi?

— Prowadzi Phoebe dom, sprząta i gotuje.

— Mój Boże, całkiem zapomniałem o istnieniu Lily — westchnął. Po raz drugi sięgnął po mój szkicownik, lecz tym razem nie budziło to mego sprzeciwu. — Jest pani nie tylko bardzo ładna, ale i utalentowana — zauważył.

— Nie mam wielkiego talentu — zaprzeczyłam. Uwagę o mojej urodzie postanowiłam zostawić bez komentarza. — Z tego względu zatrudniłam się u Marcusa Bersteina. Zdążyłam już doświadczyć na własnej skórze, że ze swojej twórczości artystycznej nie utrzymam się przy życiu.

— Bardzo rozsądne podejście — pochwalił mnie. — Niewielu ludzi potrafi zdobyć się na krytyczną ocenę wobec siebie.

Odwróciwszy się plecami do słońca razem pokonywaliśmy pochyłość zbocza. Daniel pierwszy przekroczył furtkę w żywopłocie i szedł przede mną stawiając ostrożnie kroki i uważnie rozglądając się w obie strony, w czym mi trochę przypominał psa węchem szukającego drogi w dobrze znanym sobie kiedyś terenie. Po chwili zatrzymał się i wpatrzył we fronton domu. Zwróciłam wzrok w tym samym kierunku próbując spoglądać jego oczyma i starając się zauważyć zmiany, jakie mogły zajść w ciągu jedenastu lat. Jednak dla mnie wszystko było znajome i takie samo jak zawsze. Gładka ściana, gotyckie okna i drzwi ogrodowe wychodzące na ceglany taras. W glinianych doniczkach rosły pelargonie nadal obsypane kwiatami, a sfatygowane krzeselka ogrodowe Phoebe nie zostały jeszcze schowane na zimę.

Wprowadziłam Daniela do środka. Przez uchylone drzwi kuchni dolatywała smakowita woń smażonego mięsa. Przy kuchennym stole stała Lily Tonkins zajęta siekaniem świeżej mięty. Kiedy stanęłam w progu, przerwała swoje zajęcie.

— Jest już Phoebe? — spytałam.

— Wróciła pięć minut temu. Poszła na górę zmienić buty.

— Przyprowadziłam gościa na lunch. Nie będzie z tym kłopotu?

— Wiesz, że w tym domu zawsze jest dużo jedzenia. To twój znajomy?

Stojący za mną Daniel pokazał się Lily.

— To ja, Daniel Cassens.

Lily aż usta otwarła ze zdumienia. Odłożyła nóż i przycisnęła dłoń do swej chudej piersi, podkreślając tym gestem, jaki przeżyła szok.

— Wielkie nieba! Daniel Cassens! Jak zjawia z przeszłości! Chyba przeleciało już ze dwanaście lat. Co ty tu robisz?

— Chciałem się z tobą zobaczyć.

Podszedł do niej i cmoknął ją w policzek. Lily zachichotała piskliwie i oblała się rumieńcem.

— Ty łobuzie! Wróciłeś jak zły szeląg. Poczekaj tylko, co powie panna Shackleton, kiedy cię ujrzy. My tu wszyscy myślały, żeś całkiem o nas zapomniał. — Głos jej się łamał z podniecenia.

Kornwalijczycy dość często popełniają błędy językowe, lecz Lily zdarzało się to tylko w stanie najwyższego napięcia. -

— Czy wiesz, że złamała rękę, biedaczka? Całe rano była w szpitalu, ale doktor podobno powiedział, że wszystko wygląda dobrze. Poczekaj tutaj, jaja zawołam.

Zniknęła w holu, a po chwili usłyszeliśmy, jak woła donośnym głosem, żeby panna Shackleton zeszła na dół, bo tu czeka miła niespodzianka.

Daniel wyszedł naprzeciw Phoebe, ja wolałam zostać w kuchni, czułam, że mogę wybuchnąć płaczem, gdy będę świadkiem tego spotkania. Jednak to niejako, a Phoebe zaczęła ronić łzy. Nigdy dotychczas nie widziałam jej płaczącej i choć były to tylko łzy radości, widać było, jak silne targają nią emocje. A potem wszyscy na powrót znaleźliśmy się w kuchni, na stole stanęła butelka wina, a Lily, zapominając o siekaniu mięty, poszła przynieść szklanki. Zwykły dzień przerodził się w prawdziwe święto.

Daniel spędził z nami całe popołudnie. W tych późnych godzinach dnia atira nie była już tak łaskawa jak wcześniej. Ciężkie chmury płynęły nad ziemią gnane od strony morza wzmagającymi się porywami wiatru, przelatowały krótkotrwałe deszcze, zrobiło się zimno. Jednak te zmiany pogody nie obchodziły nas wcale; siedzieliśmy pod dachem przy ogniu, godziny płynęły na pogawędce i wspominkach przerywających sobie nieustannie Phoebe i Daniela, którzy na wyścigi chcieli opowiedzieć wszystko, co się im zdarzyło w minionych jedenastu latach.

Ja rzadko mogłam coś wtrącić do rozmowy, ale mi to nie przeszkadzało, bo słuchanie ich sprawiało mi dużą radość. Czułam się im bliska nie tylko jako ktoś znajomy, lecz także i z tego względu, że moje zainteresowania i praca wiązały się ze wszystkim, o czym szła rozmowa. Wymieniali nazwiska, które znałam; dyskutowali o wystawach, na których byłam; omawiali obrazy, które kiedyś oglądałam. Kiedy Phoebe opowiadała o Lewisie Falconie mieszkającym obecnie koło Lanyon, przypomniałam go sobie, bo przed dwoma laty pomagałam urządzić jego wystawę u Marcusa Bersteina.

W pewnej chwili rozmowa zesłała na temat Chipsa; mówiliśmy o nim niejako o kimś, kogo już od sześciu lat nie ma pośród żywych, lecz tak, jakby w każdej chwili miał wejść do naszego jasno oświetlonego saloniku, usiąść w swym sfatygowanym fotelu i przyłączyć się do dyskusji.

W końcu Daniel spytał Phoebe o jej obrazy. Chciał się dowiedzieć, nad czym teraz pracuje. Najpierw roześmiała się w swój typowy, lekceważący siebie sposób, twierdząc, że nic nowego nie może pokazać, ale naciskana przez nas przyznała nareszcie, że kilka płócien skończyła ubiegłego roku. Daniel z miejsca zerwał się na nogi i zażądał pokazania prac. Phoebe wzięła klucz, założyła pelerynę i wraz z Danielem udała się do pracowni Chipsa.

Nie towarzyszyłam im w tej szczególnej wyprawie. Zbliżała się piąta, Lily Tonkins poszła już do domu, zatem sama zajęłam się przygotowaniem podwieczorku. Ustawiłam na tacy przybory do parzenia herbaty, pokroiłam ciasto i zdjęłam pusty czajnik z kominka, żeby go napełnić wodą z kranu.

Kuchenny zlew w domku Phoebe znajduje się pod oknem, z którego rozciąga się widok na zatoczkę. Dziś świat zasnuwała deszczowa mgiełka. Chmury wciąż nisko wisały nad ziemią, a ich ołowianą barwę odbijały kałuże pozostawione przez odpływ w mokrym piasku plaży. Rytm przypływów i odpływów tworzył schemat czasu.

Ogarnął mnie filozoficzny spokój i poczułam się naraz bardzo szczęśliwa. To wrażenie szczęścia dopadło mnie znienacka, niczym nieoczekiwane uniesienia zapamiętane z dzieciństwa. Rozejrzałam się dokoła, jakby źródło tej pozbawionej rozsądku euforii miało mieścić się w pobliżu. W znajomej kuchni nagle postrzeżałam wszystko z niezwykle wyostrzoną percepcją; każdy zwykły sprzęt zdawał mi się swojski i piękny zarazem.

Pomyślałam o Danielu i Phoebe szperających po kątach zakurzonej pracowni Chipsa. Cieszyłam się, że z nimi nie poszłam. Wprawdzie Daniel mi się spodobał — jego piękne ręce, dźwięczny głos, ciemne oczy — lecz miał w sobie także coś niepokojącego. Nie byłam pewna, czy chcę być niepokojna. „Jest pani nie tylko bardzo ładna, ale i utalentowana” — rzekł. Nie jestem przyzwyczajona do komplementów. Moje włosy mają niezbyt określony kolor, usta są za szerokie, nos mam zadarty. Nawet Nigel Gorclon, który — jeśli wierzyć matce — jest we mnie zakochany, nigdy mi nie powiedział, że jestem bardzo ładna. Świetna dziewczyna, tak by mnie może określił — ale nigdy ładna. Zastanawiałam się przez chwilę, czy Daniel jest żonaty, zaraz jednak roześmiałam się z samej siebie, że kierunek mych myśli jest tak boleśnie oczywisty i że dokładnie takie pytanie mogłaby mu zadać moja matka. Ten odruch autoironii przerwał urok niezwykłego postrzegania i kuchnia Phoebe przybrała na powrót swoje zwykłe oblicze. Stała się tyko schludnym, starannie wysprzątanym przez Lily Tonkins pomieszczeniem. ^

Skończyliśmy pić herbatę i Daniel zerknąwszy na zegarek oznajmił, że musi już iść.

— Chciałabym, żebyś zatrzymał się u mnie — powiedziała Phoebe. — Czemu nie miałbyś się tu wprowadzić? Idź po swoje rzeczy i wracaj.

On jednak się nie zgodził.

— Lily i tak ma przy was pełne ręce roboty.

— Ale zobaczymy się jeszcze, prawda? Zostajesz na dłużej?

Daniel wstał od stołu.

— Dzień lub dwa. — Zabrzmiało to wymijająco.

— Przyjdę was jeszcze odwiedzić.

— A jak wrócisz do Porthkerris?

— Jest tu chyba jakiś autobus...

— Odwiozę cię — zaproponowałam. Zwracaliśmy się już do siebie po imieniu. — Stąd do przystanku jest prawie mila, a wciąż leje, więc przemokniesz na wylot.

— Nie sprawi ci to kłopotu?

— Skądże znowu!

Pożegnał się z Phoebe, a potem usadowił się obok mnie w starym, poobijanym gruchocie mojej ciotki, który z zachowaniem największej ostrożności wyprowadziłam tyłem z garażu. Zostawiliśmy Phoebe w drzwiach domku. Stała na tle padającego z tyłu światła i machała zdrowym ramieniem życząc nam szczęśliwej drogi, jakbyśmy wyruszali na długodystansowy rajd. Jadąc w strugach deszczu drogą pnącą się do góry minęliśmy klub golfowy i dotarliśmy do głównej szosy.

— Dobrze jeździsz — rzekł Daniel z nutą podziwu w głosie.

— Ty chyba też to potrafisz, przecież w dzisiejszych czasach każdy umie prowadzić samochód.

— Tak, mam prawo jazdy, ale nie cierpię siadać za kierownicą. I jestem kompletnym ignorantem względem czegokolwiek, co wiąże się z mechaniką samochodową.

— Miałeś kiedyś auto?

— Miałem. Takie jedno w Ameryce... w Ameryce każdy ma auto... alejakoś nigdy nie czułem się w nim dobrze. Nie było nowe, kupiłem je z drugiej ręki, potwornie wielkie bydlę, długie jak autobus, z chłodnicą przypominającą gigantyczne organki, z ogromnymi lampami i sterzącymi fallicznie rurami wydechowymi. Miało, a jakże, automa-

tyczną skrzynię biegów, elektryczne sterowanie opuszczania i podnoszenia szyb i rzekomo superwspaniały gaźnik. Bałem się tego monstrum jak diabli. Trzy lata byłem jego właścicielem, zanim się go w końcu pozbyłem, a przez ten cały czas nauczyłem się jedynie włączać i wyłączać ogrzewanie.

Parsknęłam śmiechem i w tej samej chwili przypomniałam sobie, jakiej rady udzieliła mi Phoebe. „Kiedy na dobre zwiążesz się z mężczyzną” — mówiła — „musi to być koniecznie ktoś, kto cię potrafi rozbawić”.

Nigel nie umiał pobudzić mnie do śmiechu, za to wspaniale sobie radził z samochodami. Tyłe że większość wolnego czasu spędzał z głową schowaną pod maską swojego wozu albo plackiem leżał pod spodem, a konwersacja ze mną sprowadzała się jedynie do kolejnych próśb o podanie kluczy francuskich.

— Nie można osiągnąć biegłości we wszystkim — westchnęłam. — Wzięty malarz wcale nie musi być w dodatku świetnym mechanikiem. Może po prostu to się nie łączy — dodałam pocieszającym tonem.

— Ale Phoebe potrafiła godzić różne sprawy. Za to ją zawsze podziwiałem. Ona ma iskrę Bożą, malujejak marzenie i poświęcając się sztuce mogłaby zdobyć spory rozgłos, ale z radością podporządkowała swój talent potrzebie stworzenia domu dla siebie i Chipsa... i w gruncie rzeczy dla wszystkich tych nieopierzonych artystów, którzy z nimi mieszkali, pracowali i nauczyli się od nich tak wiele. Borykający się z życiem młodzi adepci sztuki zawsze znajdowali schronienie w Holly Cottage. Mogli liczyć na obfity i smaczny posiłek, czystą pościel, ciepły kominek. Ja to wiem z własnego doświadczenia. Takiej wygody i bezpieczeństwa się nie zapomina, to kształtuje człowieka i utrwala w nim dobre wzorce na resztę życia. W dużej mierze tojej zasługa... Phoebe. Kochana Phoebe, jest mi bardzo bliska.

Z cudowną satysfakcją słuchałam, jak ktoś nareszcie ujmuje w słowa to, co zawsze myślałam o Phoebe, a czego nigdy nie potrafiłam jasno wyrazić.

— Dla mnie ona też jest najważniejsza — przyznałam. — Byłam pogodnym dzieckiem i rzadko płakałam, ale kiedy musiałam wyjeżdżać z Kornwalii i rozstać się z Phoebe, zawsze zalewałam się łzami. Jednak moje dziecięca żalność nigdy nie trwała długo; gdy na powrót znalazłam się w domu, we własnym pokoju i wśród znajomych sprzętów, wszystko wracało do normy. Żal mijał, a ja znów zaczynałam zajmować się swoimi, sprawami... głównie wydzwanianiem do moich licznych przyjaciółek. Czy to nie dziwne?

— Nie ma w tym nic dziwnego. Twoje łzy były bezpośrednią, reakcją na brak poczucia bezpieczeństwa, kiedy się znalazłaś na styku dwóch różnych światów. Taka sytuacja zawsze rodzi zagrożenie bądź sprawia, że człowiek czuje się nieszczęśliwy.

Przez chwilę rozważałam jego słowa. To, co mówił, miało sens.

— Chyba masz rację — przytaknęłam.

— Mimo wszystko nie potrafię wyobrazić sobie siebie zapłakanej, tylko jako beztroską i szczęśliwą dziewczynkę.

— Faktycznie, miałam beztroskie dzieciństwo. Moi rodzice wprawdzie się rozwiedli, ale jako mądrzy i inteligentni ludzie starali się chronić mnie przed stresem, ja zaś będąc wówczas bardzo małym dzieckiem nie wszystko rozumiałam z rodzinnego konfliktu, więc i nie zostawił on we mnie trwałego urazu.

— Na szczęście.

— Owszem. Zawsze też czułam się chciana i kochana. Czegóż więcej dziecku potrzeba?

Droga zaczęła opadać w dół i skręciła w stronę Porthkeris. W wieczornym mroku daleko w dole lśniły przed nami koraliki portowych świateł. Przez szeroko otwartą bramę ogrodzenia otaczającego tereny hotelowe wjechaliśmy w krętą, wysadzaną dębami aleję. Prowadziła obok kortów tenisowych, pola golfowego, aż na szeroki wyżwirowany podjazd oświetlony teraz potokami świateł wylewających się

przez okna i obrotowe, szklane drzwi frontowe. Wprowadziłam samochód w lukę pomiędzy porsche a jaguarem i wyłączyłam silnik.

— Czuję się trochę nieswojo. Nigdy tu nie byłam. Żaden z moich znajomych nie jest na tyle bogaty, by mnie tutaj zaprosić.

— To chodź teraz, postawię ci drinka.

— Nie jestem odpowiednio ubrana.

— Ja też nie. Chodźmy.

W otoczeniu arystokratycznych sąsiadów nasz sfatygowany pojazd wyraźnie się odcinał sprawiając wrażenie brudniejszego i bardziej pospolitego aniżeli w rzeczywistości. Wysiedliśmy i Daniel wprowadził mnie do wnętrza hotelu. W środku było okropnie gorąco, puszysto od dywanów i pachniało grubą forszą. O tej godzinie, kiedy pora picia herbaty już dawno minęła, a na koktajle było jeszcze za wcześnie, hol niemal kompletnie świecił pustkami. Tylko jakieś starszawe małżeństwo oglądało telewizję, a samotny mężczyzna ubrany w strój do golfa przerzucał strony gazety.

Portier w pierwszej chwili obrzucił nas nieprzychylnym wzrokiem, lecz rozpoznawszy Daniela natychmiast przybrał zawodowo uprzejmą postawę.

— Dobry wieczór, panu.

— Dobry wieczór. — Daniel skinął głową i skierował się prosto do baru. Ja jednak nie poszłam za nim, gdyż będąc w tym hotelu po raz pierwszy chciałam sobie wszystko dokładnie oglądnąć. W głębi holu ujrzałam mały pokój zastawiony stolikami, które chyba miały służyć do pisania listów. Obok, przez otwarte podwójne drzwi, zobaczyłam przeładowane meblami wnętrze urządzonej jako salon do gry w karty. Przy płonąącym kominku cztery kobiety siedziały wokół brydżowego stolika. Przystanąłam u drzwi, gdyż scenka ta przyciągnęła moje oko swoistym stylem, przypominając sztuki z lat trzydziestych. Odniosłam wrażenie jakbym to wszystko widziała już wcześniej na scenie: długie zasłony z ciężkiego brokatu, wyściełane krzeselka, ułożone

starannie kwiatowe dekoracje. Nawet stroje kobiet zdawały się z powodzeniem pasować do tamtego okresu: kaszmirowe żakiety, sznury prawdziwych pereł, zrobiona z kości słoniowej długa cygarniczka, w której jedna z dam paliła papierosa.

— Dwa bez atu.

— Prue, no chodźże wreszcie — ponaglił mnie Daniel cofając się parę kroków.

Akurat miałam ruszyć za nim, gdy siedząca twarzą do mnie kobieta podniosła oczy znad swoich kart. Spotkałyśmy się wzrokiem i — choć nie od razu — rozpoznałam w niej panią Tolliver.

— Prue. — Sprawiała wrażenie, jakby ucieszyła się ze spotkania, ale jakoś trudno mi było uwierzyć, że to szczerą radość. — Co za niespodzianka!

— Witam panią.

— Co ty tu robisz?

Nie miałam wcześniej zamiaru podchodzić do tych kobiet, a tym bardziej wdawać się w pogawędkę, ale zaskoczona nieoczekiwanym rozwojem sytuacji nie potrafiłam wymyślić niczego, co by mi pomogło wymigać się od rozmowy.

— Ja... ja... rozglądam się. Nigdy tu przedtem nie byłam.

Weszłam do saloniku; towarzyszki pani Tolliver patrzyły na mnie z uśmiechem na twarzy, ale ich świdrujące oczy nie pominęły żadnego szczegółu w moim wyglądzie: rozwichrzonych wiatrem włosów, starego puloweru i znoszonych dżinsów.

Pani Tolliver odłożyła karty na stolik i przedstawiła mnie znajomym.

— To Prue Shackleton. Znacie chyba Phoebe Shackleton z Penmarron? Prue jest jej bratanicą.

— Ach, tak. Jak miło — odparły panie, każda innym tonem, ale z jednakową niecierpliwością oczekiwania na podjęcie gry.

— Prue była wczoraj taka uprzejma dla Charlotty! Podróżowały razem pociągiem z Londynu.

Kobiety ponownie przyozdobiły twarze uśmiechami, które tym razem miały wyrażać aprobatę. Wówczas uświadomiłam sobie z pewną konsternacją, że przez cały dzień nie poświęciłam dziewczynce ani jednej myśli. Odczułam coś na kształt winy, do uśmierzenia której nie mogłam się przyczynić niestety widok babki dziecka zapewne spędzającej długie godziny przy brydżowym stoliku.

— Gdzie Charlotta? — spytałam.

— W domu. Z panią Curnow.

— Dobrze się czuje?

Zapytana zmierzyła mnie chłodnym spojrzeniem.

— Czy jest jakiś powód, żeby było inaczej?

Zatkało mnie.

— Powód? Nie, chyba nie ima... Pytam, bo w pociągu wydawała mi się niezwykle spokojna i milcząca.

— Zawsze jest taka. Nigdy wiele nie mówi. A w jakim stanie zastałaś Phoebe? Nie dokuczaj jej złamana ręka? No to się cieszę. Czy ona jest tutaj z tobą?

— Nie. Ja tylko kogoś odwiozłam... on mieszka w tym hotelu.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie o Danielu; odwracając się z pewnym zakłopotaniem, że go dotąd nie przedstawiłam pani Tolliver, rozpoczęłam prezentację:

— Pani pozwoli, to Da...

Z tyłu nikogo nie było. Przed sobą miałam tylko otwarte drzwi i pusty hol.

— Pani przyjaciel tylko rzucił na nas okiem i poszedł sobie — zauważyła jedna z pań, a kiedy na powrót stanęłam do nich przodem, spostrzegłam, że śmieją się wszystkie z tej uwagi jak z dobrego żartu.

— Och, jaka ze mnie gapa. Sądziłam, że jeszcze tu jest — pokryłam zmieszanie uśmiechem.

Pani Tolliver podniosła ze stołu karty i ułożyła je w zgrabny wachlarzyk.

— Miło mi było cię spotkać — zamknęła rozmowę.

Czułam, że się rumienię, choć nie było ku temu żadnego konkretnego powodu. Wybąkałam jakieś zdawkowe pożegnanie i opuściłam salonik.

Powiodłam wzrokiem po holu w poszukiwaniu Daniela, ale śladu po nim nie było. Ujrzałam natomiast w rogu podświetlony szyld z napisem *Coctail Bar*, a kiedy tam weszłam, Daniel jako jedyny klient siedział plecami do drzwi na wysokim barowym stołku.

— Jak mogłeś tak odejść bez słowa?! — napadłam na niego.

— Paniusie grające w brydża nie są w moim typie.

— W moim też nie, ale czasami trzeba rozmawiać z różnymi ludźmi. Wygłupiłam się przez ciebie. Chciałam cię przedstawić, a ciebie nie było, jakbyś się rozwiął w powietrzu. Ta kobieta, którą tam spotkałam, to pani Tolliver.

— Wiem. Wybierz sobie coś do picia.

— Jeśli znasz panią Tolliver, tym gorzej postąpiłeś, że nie podszedłeś się przywitać.

— Mądrzysz się jak autorka podręcznika dobrych manier. Niby dlaczego miałbym sobie głowę zawracać panią Tolliver? Nie, nic nie mów, nie chcę już słuchać nic na ten temat. Wziąłem sobie szkocką. Co ty wybierasz?

— Nie wiem, czy w ogóle coś wezmę! — sarknęłam, nadal zirytowana.

— Sądziłem, że przyszliśmy tu specjalnie na drinka.

— No dobrze, napiję się piwa. Powiedzmy lagera. — Wspięłam się na sąsiedni stółek.

Zamówił dla mnie piwo, a potem oboje pograżyliśmy się w milczeniu. Tylna, zastawiona półkami pełnymi butelek ściana zrobiona była z tafli lustrzanych, w których odbijały się teraz nasze postacie. Daniel zapalił cygaro, a barman stawiając przede mną zamówione piwo rzucił jakąś uwagę o pogodzie. Podsunął nam jeszcze miseczkę orzeszków i oddalił się na drugi koniec długiego konuaru.

— No dobra, już dobra. Przepraszam — odezwał się wtedy Daniel.

— Za co?

— Za ten rzekomy afront uczyniony pani Tolliver i za to, że byłem przykry dla ciebie. Prawdę mówiąc, często bywam przykry. Lepiej żebyś to wiedziała, zanim się zwiążemy przyjaźnią do grobowej deski, taką na życie i śmierć — zażartował z uśmiechem.

— To nie był afront, a ja, jeśli mam być całkiem szczerą, muszę się przyznać, że też nie cierpię tej baby — powiedziała ze skrucą.

— To skąd taka zażyłość?

— Wymiana kilku grzeczności przy brydżowym stoliku to jeszcze nie zażyłość.

— Ale chyba dobrze się znacie?

— Wcale nie. Dobrze zna ją moja matka, która grywała z nią w karty, gdy przyjeżdżałyśmy w odwiedziny do Phoebe, aleja nie. Za to wczoraj poznałam jej wnuczkę, Charlotte Collins, córkę Annabelle. Dziewczynka jechała razem ze mną z Londynu, a że miała dosyć nieszczęśliwą minę, zaproponowałam jej wspólny lunch i pogawędziłyśmy sobie. Powstały pewne... komplikacje... — Nie chciałam wprowadzać Daniela w szczegóły kłopotliwego położenia dziecka. — ...w związku z czym Charlotta nie mogła zostać w internacie i musi spędzić tydzień z babką. Phoebe powiada, że ta mała jest bardzo samotna, często przychodzi do Holly Cottage tylko po to, żeby móc z kimś pogadać.

Daniel palił cygaro bez słowa. Zastanawiałam się, czy go przypadkiem śmiertelnie nie nudzę i szukałam w jego twarzy oznak tłumienia ziewania. Nic jednak na to nie wskazywało. Po prostu siedział ze spuszczonego wzrokiem, podparty łokciem o ladę, a z jego profilu nic nie mogłam wyczytać. Dym z cygara unosił mu się nad głową aromatyczną, spiralną smugą.

Pociągnęłam łyk schłodzonego, smakowitego piwa.

— Zdaniem Phoebe, pani Tolliver nie była zbyt ucieszona przyjazdem wnuczki. Dziewczynka musiała się zabrać ze mną taksówką pana Thomasa, bo babka nawet nie wyszła po nią na stację. Dziś też... siedzi tu sobie pogrywając w brydża, a dziecko zostawiła w domu z gosposią. To niezbyt zabawne towarzystwo dla takiej małej dziewczynki, nie uważasz? Charlotta ma dopiero dziesięć lat i powinna przebywać w towarzystwie rówieśników lub kogoś bliskiego. A babka powinna jej to zapewnić.

— Słusznie — przytaknął po chwili Daniel. Wyjął z ust wypalone do połowy cygaro i zgniótł jego koniec o dno popielniczki z taką siłą, jakby chciał na niej wyładować, złość. Dopił swego drinka, odstawił kieliszek, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, poprosił z uśmiechem:

— Zjesz ze mną lunch? Jutro.

Zaniemówiłam ze zdumienia i nie od razu zdobyłam się na odpowiedź.

— Naturalnie jeśli nie będziesz potrzebna Phoebe — dodał pospiesznie Daniel. — I jeśli ci znów pożyczysz auto.

— Sądzę, że to do załatwienia. Jestem przekonana, że ciotka nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Zapytaj ją po powrocie.

— Dobrze. Jeżeli się zgodzi, mam przyjechać tutaj? Do hotelu?

— Nie. Spotkajmy się w Przybrzeżnej Gospodzie przy przystani. Zamówimy sobie prosty posiłek, popijemy szklanką piwa i, jeśli będzie ładna pogoda, usiądziemy na murze i poudajemy turystów.

— O której?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może o wpół do pierwszej. Odpowiada?

— Zgoda. — Przepełniała mnie radość, że mi zaproponował spotkanie. — A więc o wpół do pierwszej.

— Zatem jesteśmy umówieni. Skończ lagera, to odprowadzę cię do samochodu.

Obrotowe drzwi wyrzuciły nas w nasyconą wilgocią ciemność. Podeszliśmy do auta i Daniel otworzył drzwiczki samochodu, ale zanim zdążyłam wsiąść do środka, położył mi dłoń na karku, przyciągnął do siebie i pocałował mnie w usta. Twarz miał mokrą od deszczu, staliśmy tuż przy sobie i przez chwilę czułam, dotyk jego chłodnego policzka.

Potem powiedzieliśmy sobie „dobranoc” i ruszyłam w drogę do Penmarron. Trasę powrotną przebyłam w stanie oszołomienia i upojenia, jakbym wypiła o wiele więcej niż tylko kufelek piwa.

Wprost kipiałam z ochoty zwierzenia się ciotce ze wszystkiego, miałam też nadzieję -na długą, gruntowną rozmowę o Danielu, pani Tolliver i Charlocie, a tymczasem, kiedy dotarłam do domu, Phoebe drzemała przy kominku. Przebudziwszy się, wyznała, że jest bardzo zmęczona. Ramię dokuczało, gips ciążył, a długi dzień wyczerpała emocjonalnie. Znużenie odbiło się także i na jej wyglądzie — pod szerokim rondem kapelusza twarz wyglądała na wyciągniętą i przygaszoną. Zatem powiedziałam jej tylko, że Daniel zaprosił mnie na lunch, spytałam o pozwolenie i poprosiłam o samochód, a Phoebe, tak jak się spodziewałam, przystała od razu na wszystko. Nie chcąc jej nużyć rozmową poszłam do kuchni, napełniłam szklaneczki winem i usmażyłam jajecznicę. Kolację zjadłyśmy przed kominkiem.

O wpół do dziesiątej, mimo tej stosunkowo wczesnej pory, Phoebe postanowiła położyć się do łóżka. Pomogłam jej wdrapać się po schodach, włączyłam elektrycznie ogrzewany koc i zaciągnęłam zasłony odcinając tym sposobem ciepłe wnętrze od chłodnej ciemności. Kiedy odchodziłam, czytała książkę przy świetle nocnej lampki, ale byłam pewna, że wkrótce zmoży ją sen.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka wstałam bardzo wczesnie i pierwsza byłam na dole. Ponieważ Lily Tonkins przychodziła zawsze dużo później, zaparzyłam kawę, przyrumieniłam grzanki i zniosłam ciotce śniadanie na górę. Phoebe już nie spała, posyłając spojrzenie za okno obserwowała jak promienie słońca zabarwiają poranne niebo na różowo. Kiedy pojawiłam się w drzwiach, odwróciła głowę, a ujrawszy w moich rękach tacę zjedzeniem zawołała ze swą zwykłą energią:

— Prue, mój ty głuptasku, wiesz przecież, że nigdy nie jadam śniadań w łóżku.

— Więc dziś zrobisz wyjątek. — Położyłam jej tacę na kolanach i poszłam zamknąć okno. — Niebo krasne jak jagoda, szykuje się niepogoda — zacytowałam ludowe porzekadło. — Chyba spadnie deszcz.

— Nie kracz, bo wykraczesz. Nie przyniosłaś kawy dla siebie?

— Myślałam, że wolisz, by cię zostawić w spokoju.

— Nie znoszę być zostawiana w spokoju. Lubię gawędzić przy śniadaniu. Idź i przynieś sobie kubek. — Zajrzała do dzbanka. — Zaparzyłaś tyle kawy, że starczy dla dziesięciu. Musisz mi pomóc to wypić. Tylko się nie wykręcaj.

W łóżku, które było w zasadzie niemal jedynym miejscem, gdzie Phoebe nie nosiła jednego ze swoich osobliwych

kapeluszy, wyglądała inaczej: bardziej kobieco, ale starzej i subtelniej. Gęste, kręcone włosy splecione w warkocz przerzuciła na jedną stronę, ramiona otuliła wełnianym szalem. Sprawiała wrażenie zadowolonej i odprężonej.

— Właściwie mogłabyś poleżeć w łóżku jeszcze trochę. Lily Tonkins poradzi sobie sama ze wszystkim, przecież i tak niewiele możesz zdziałać jedną ręką.

— Może tak zrobię — odparła Phoebe lekkim tonem. — Może tak zrobię. A teraz idź i przynieś wreszcie ten kubek, zanim kawa wystygnie.

Przyniosłam sobie nie tylko kubek, ale i talerz płatków. Pałaszowałam je siedząc na skraju wielkiego, rzeźbionego łoża, które Phoebe dzieliła z Chipsem przez tyle grzesznych, ale zarazem szczęśliwych lat. Wszystko, z czego w życiu czerpała prawdziwą uciechę, było albo niemoralne albo tuczące, powiedziała mi kiedyś zanosząc się od śmiechu.

Oboje z Chipsem kierowali się w życiu własnymi zasadami, nie zawsze akceptowanymi przez ogół. Jednak im zawszejakoś wszystko uchodziło płazem. Nawet mieszkając w tej małej wioszczynie, wśród ludzi o niezbyt szerokich horyzontach myślowych, potrafili stawić czoła burzom nieustannych uprzedzeń, pokonując przeciwników siłą charakteru i osobistego uroku. Pamiętam, że kiedy niedomagał organista, Chips zastępował go w kościele, a Phoebe pracowicie piekła nierówno wyrosnięte placki na spotkania w In^stytucie Kobiectym. Opiekowała się także kim tylko mogła i to wcale nie ze względu na własny *image*.

Towarzysząc jej teraz przy prozaicznym zajęciu zjadania grzanek z marmoladą, patrzyłam na nią z miłością. Widać umiała czytać w moich oczach, bo uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Milczałyśmy.

— Dobrze, że wychodzisz z Danielem — powiedziała po chwili. — O której się umówiłaś?

— O wpół do pierwszej, w Przybrzeżnej Gospodzie w Porthkerris, ale nie ruszę się stąd, zanim mi nie obiecasz, że będziesz na siebie uważać.

— Na miłość boską! Nie jestem kaleką przykutą do wózka inwalidzkiego! Możesz mnie śmiało zostawić, ale zastrzegam sobie prawo do wysłuchania szczegółowej relacji. Po powrocie musisz mi opowiedzieć o wszystkim. Po kolei. — Oczy błyszczały jej z uciechy, policzki wydeły się w przekornym uśmiechu i najwyraźniej wróciła do swej zwykłej formy. Uznałam, że skoro jest już w tak dobrej kondycji, wypoczęta i pełna werwy, mogę jej opowiedzieć o spotkaniu z panią Tolliver i pozostałych wydarzeniach wczorajszego wieczora.

— ...i było to takie żenujące, bo myśląc, że Daniel stoi za mną powiedziałam coś głupiego w stylu: „chciałabym, żebyś poznał moją znajomą”, a kiedy się odwróciłam, jego nie było. Ulotnił się. Poszedł do baru.

— Pani Tolliver go widziała?

— Nie mam pojęcia. — Zastanowiłam się. — A czy to ma jakieś znaczenie?

— Niiieee... — zaprzeczyła Phoebe.

— Ejże, coś ukrywasz.

Odstawiła kubeczek po kawie i z pewnym roztargnieniem spojrzała w kierunku okna. Po chwili wzruszyła ramionami i rzekła:

— No cóż, nie wydaje mi się, żeby mówienie teraz o tym mogło komuś zaszkodzić. To wszystko miało miejsce tak dawno temu. Było, minęło. Nic niebezpiecznego, nawet wówczas.

— Niebezpieczeństwo? O czym ty mówisz, na miłość boską?!

— Widzisz... tego roku, gdy Daniel mieszkał z nami... takijeszcz młody... Annabelle Tolliver, a właściwie Collins, przyjechała z Londynu spędzić lato z matką i... no cóż... jakby to ująć... ona i Daniel trochę się ze sobą zabawiali. Odrobinę — dodała pogodnie starając się, by to zabrzmiało zwyczajnie.

Daniel i Annabelle Tolliver. Wybałuszyłam oczy na Phoebe.

— Chcesz powiedzieć, że oni ze sobą chodzili? Ze on czuł do niej miętę?

— Czuć miętę? — zachichotała. — Jakie urocze określenie. Chyba trąci myszką. Niczym „przyodziewek”. Nikt już dziś nie nosi przyodziewku tylko ubranie. „Czuć miętę” nie jest staroświeckie? Nieważne. — Westchnęła i wróciła do tematu. — Niezupełnie. Prawdę mówiąc to Annabelle czuła do niego miętę.

— Przecież była chyba od niego dużo starsza.

— O, tak, co najmniej osiem lat.

— I zamężna.

— Owszem, i to także. Ale mówiłam ci, że jej to w niczym nie przeszkadzało. Miała już dziecko, czteroletniego syna Michaela. Biedny dzieciak, nawet już wtedy był dokładną miniaturką ojca.

— Więc... — Bezustanne dygresje ciotki wcale nie przydawały jasności obrazowi sytuacji. — Więc co się naprawdę wtedy stało?!

— Stało? Wielkie nieba! Nić się nie stało. Chodzili razem na przyjęcia, pikniki na plaży, wspólnie pływali w morzu. Owego lata ona miała jakiś wystrzałowy samochód z podnoszonym dachem, zwykle więc jeździli razem po całej okolicy. Byli piękną parą, aż oczy rwało. Możesz to sobie chyba wyobrazić, Prue?

Mogłam. Aż za dobrze.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że Daniel... — urwałam, bo nie byłam wcale pewna, co mogłabym przypuszczać.

— Nie przypuszczałaabyś, że Daniel był takim towarzyskim typem — dokończyła za mnie Phoebe. — Może i nie, ale z pewnością był atrakcyjnym, młodym mężczyzną. Nadal jest, jeśli chodzi o ścisłość. Musiało mu pochlebiać, że taka kobieta jak ona chętnie spędza z nim swój wolny czas. Mówię ci, to była piękna dziewczyna. Zawsze kręciła się koło niej chmara mężczyzn. Ale Daniel się za nią nie uganiał. On był zawsze bardzo opanowany. Przypuszczalnie własniego spokój tak intrygował Annabelle.

— Jak długo to trwało?

— Całe lato, z małymi przerwami. To był tylko niewinny flirt. Całkowicie nieszkodliwy.

— Co na to pani Tolliver?

— Ona nigdy nie'mówi o swoich sprawach. A poza tym należy do tego pokroju ludzi, co to naprawdę wierzą, że problem nie istnieje, dopóki się go nie dostrzeża. Ponadto być może uważała, że Daniel stanowi najmniejsze zagrożenie.

— A to dziecko... Michael?

— Pamiętam, że kręciła się tu stale jakaś sztywno wykrochmalona niańka, więc obecność syna nie krępowała swobody Annabelle.

— A mąż... ten... ten Leslie Collins? — Z trudem przeszło mi przez gardło to obmierzłe nazwisko.

— Trzymały go w Londynie interesy. Mieszkał tam chyba w jakimś wynajętym mieszkaniu. Nie pamiętam. Zresztą to i tak nieważne.

Przetrawiłam w myślach tę niezwykłą rewelację.

, — Zatem wczoraj wieczór... myślisz, że to dlatego Daniel unikał rozmowy z panią Tolliver?

— Być może. Sądzę jednak, że po prostu nie chciał się wdawać wjałowe pogaduszki z czterema grającymi w brydża paniusiami.

— Ciekawe dlaczego sam mi nie powiedział o wszystkim?

— Niby dlaczego miał to zrobić? Przecież ta sprawa w niczym ciebie nie dotyczy, a dla niego był to tylko błahy epizod. — Dolała sobie kawy i dopowiedziała żywo: — Nie chcesz chyba rozdmuchiwać tego wszystkiego?

— Naturalnie, że nie chcę. Wolałabym jednak, żeby to był ktoś inny, a nie Annabelle Tolliver. Tylko nie ona.

Niebo o poranku krasne jak jagoda — szykuje się niepogoda. Porzekadło porzekadłem, lecz w dniu takim jak ten nie można być pewnym do końca, jaką naprawdę

niespodziankę zgotuje aura. Na razie było ciepło, wiał zachodni wiatr, a jego podmuchy zdzierały liście z drzew, niosły je w "powietrzu i ciskały o powierzchnię usianego białymi grzywami fal morza w kolorze indygo. Po bezwstydnie niebieskim niebie żeglowały wysoko rzadkie obłoki, a powietrze zdawało się świecić swoim blaskiem. Z wierzchołka wzgórza wznoszącego się ponad Porthkerris mogłam sięgnąć wzrokiem hen za latarnię morską, aż do odległego Trevoise Head. Z portu leżącego u stóp wzgórza wypłynął samotny kuter i tnąc dziobem sfałdowaną toń zmierzał ku głębi pod klifem w Lanyon.

Zjeżdżałam stromo w dół wąskimi uliczkami. Większość letników opuściła już miasteczko, tylko nieliczni kręcili się przy kiosku z gazetami, albo wabieni wonią świeżych pasztecików podążali do piekarni uliczką opadającą ku portowi.

Przybrzeżna Gospoda stała w tym samym miejscu już chyba od trzystu z górą lat, przy portowej drodze, opodal starego nadbrzeża, gdzie rybacy zwykli byli wyładowywać złowione sardele.

Samochód zaparkowałam na małym brukowanym placu. Wchodząc do gospody musiałam schylić głowę, tak nisko było szczytniać od dymu nadproże. Po przejściu z jasnego światła dnia wewnątrz wydało mi się bardzo mroczne. W kominku za kratą paliła się nieduża kupka węgla, a siedzący opodal starzec wyglądał tak, jakby przyrósł do podłogi i w tym jednym miejscu spędził całe życie.

— Prue.

Odwróciłam się. Daniel siedział w głębokiej wnęce okiennej nad pustym kuflem, który stał na stole przerobionym ze starej beczki piwa. Podniósł się powoli i wysunął zza stołu.

— Dzień jest zbyt piękny, by go marnować na siedzenie pod dachem. Co ty na to?

— Masz jakieś propozycje?

— Kupmy coś do jedzenia i weźmy ze sobą na plażę.

Opuściwszy gospodę ruszyliśmy przed siebie starą drogą, która przywiodła nas do jednego z takich sklepików, gdzie zda się można nabyć wszystko. Kupiliśmy w nim świeże paszteciki, jeszcze tak gorące, że właściciel musiał je nam owinąć dodatkowo w gazetę, ponadto torbę jabłek, ciasteczka czekoladowe, paczkę papierowych kubków i jedyne, jakie było do wyboru wino, sądząc na oko dość wątpliwej jakości. Kiedy właściciel się zorientował, że zamierzamy je niebawem wypić, dorzucił nam korkociąg.

Naprzeciwko sklepiu po drugiej stronie brukowanej drogi znajdowały się kamienne schody wiodące na plażę.

V Musieliśmy uważać przy schodzeniu, bo stopnie, suche w górnej części, na dole były śliskie i pokryte zielonymi wodorostami. Trwał odpływ. Cofająca się woda odsłaniała zakrzywiony w kształt sierpa pas czystego, żółciutkiego piasku. W gnany wiatrem powietrzu szybowały krzyczące rybitwy, a od strony łodzi, na której pracowało zgodnie kilku mężczyzn, dobiegał stuk młotków i przyciszone głosy.

Odkryliśmy idealne miejsce na zjedzenie posiłku: u stóp sterty skał o zaokrąglonych krawędziach, wygładzonych od wieków impetem fal, osłonięci przed wiatrem, wystawieni na słońce.

Daniel otworzył butelkę wina, potem odpakowaliśmy paszteciki. Poczulałam raptem wielki głód. Tak łapczywie wbiłam zęby w pasztecik, że prawie sparzyłam sobie usta. Drgnęłam gwałtownie i wyleciały mi z rąk duże kawałki parujących okruchów, które prawie natychmiast padły łupem wielkiej, żarłocznej mewy.

— Miałaś wspaniały pomysł z tą wycieczką na plażę — stwierdziłam.

— Zdarza mi się od czasu do czasu — odparł z udaną skromnością.

W duchu porównałam go z Nigelem. Byłam przekonana, że Nigel zaprosiłby mnie na lunch do dobrego lokalu. Siedzielibyśmy teraz zapewne w eleganckiej restauracji hotelu Zamek, przy stoliku zasłanym śnieżnobiałym obrusem,

i w krępującej obecności czekających na skinienie kelnerów prowadzilibyśmy zdawkową rozmowę.

Tymczasem Daniel pociągnął łyk wina prosto z butelki, potrzymał w ustach dla oceny smaku i przełknął.

— Śmiesznie smakuje, ale przynajmniej nie udaję lepszego niż jest — zawyrokował. — Tyle, że wlanie go do papierowych kubków na pewno nie poprawi mu bukietu. Jedynym wyjściem będzie chyba picie z butelki. — Ugryzł spory kęs pasztecika. — Jak się dziś czuła Phoebe?

— Dziś dobrze, ale wczorajszy dzieńją znużył. Położyła się wcześniej, ale kiedy rano zaniosłam jej śniadanie do łóżka, wyglądała na wypoczętą. Obiecała mi, że sobie poleży do południa.

— Co ona by poczęła bez ciebie? Jak to dobrze, że mogłaś przyjechać i otoczyć ją opieką.

— Ależ świetnie dałaby sobie radę i- beze mnie. Lily przecież przychodzi codziennie. Phoebe zależało na czymś zgoła innym, kiedy mnie zapraszała do siebie. Widzisz, Lily nie umie prowadzić samochodu, a moja ciotka nie znosi być uwiązana na miejscu.

— Udało ci się jakoś wyrwać z pracy? Jak Bernstein sobie sam poradzi?

— Bez najmniejszego trudu. I wcale nie zostałam sama, ja i tak miałam wziąć dwa tygodnie urlopu, więc on już zaangażował kogoś na zastępstwo.

— Urlop? Jak to? Nie rozumiem. Z tego, co powiedziałaś przed chwilą, wynika, że twój przyjazd do ciotki nie był niezbędnie konieczny, bo sama by sobie umiała poradzić. A więc mogłaś wyjechać na urlop bez przeszkód, a jednak jesteś tutaj. Nie miałaś żadnych planów wyjazdowych na te dwa tygodnie czy co? Cały wolny czas chciałaś spędzić w Londynie?

— Nie. Zamierzałam wyjechać do Szkocji.

— Do Szkocji? A po cóż, na Boga, do Szkocji?!

— Z wizytą.

— Byłaś tam kiedyś?

— Nie. A ty?

— Jeden raz. Wszyscy mi zachwalali Szkocję, wielokrotnie powtarzali, że tam tak pięknie, ale podczas mego pobytu cały czas tak strasznie lało, że nie byłem w stanie ocenić, czy mówili prawdę. Do kogo się wybierałaś?

— Do znajomych.

— Nie jesteś zbyt wylewna, ale śmiało, możesz mi wszystko powiedzieć, bo i tak będę cię ciągnął za język tak długo, aż wydobędę od ciebie sensowne odpowiedzi. Kryje się za tym chłopak, co?

Nie patrzyłam na niego.

— Czemu od razu chłopak?

— Bo jesteś zbyt atrakcyjna, żeby nie mieć adoratora. No i zrobiłaś wielce mówiącą minę. Zakłopotanej obojętności.

— To sprzeczność pojęć.

— Jak się nazywa?

— Kto?

— Och, przestań udawać skromniśnię. Twój chłopak, oczywiście.

— Nigel Gordon.

— Nigel. Co za imię! To jedno z tych, których nie znoszę.

— Nie jest gorsze od twojego.

— To imię ponure niczym słota. Podobniejak Timothy, Jeremy i Christopher. A, i Nicholas.

— Nigel nie jest ponury.

— A jaki? "

— Sympatyczny.

— Czym się zajmuje?

— Jest agentem ubezpieczeniowym.

— Pochodzi ze Szkocji?

— Jego rodzina wciąż tam mieszka. W Inverness-shire.

— Bardzo dobrze się złożyło, że nie pojechałaś! Strasznie by ci się tam nie podobało. Wielki dom z sypialniami, w których zimno jak w lodówce, i z wyłożonymi mahoniem łazienkami przypominającymi trumny.

— Danielu, pleciesz androny! Piramidalne!

— Nie wyjdiesz za niego, prawda? Za tego górala i agenta ubezpieczeniowego w jednej osobie. Nie rób tego, proszę cię. Nie mógłbym znieść myśli, że chodzisz w kilcie i mieszkasz w jakimś Inverness-shire.

Skręcałam się w duchu ze śmiechu, ale na zewnątrz udało mi się zachować poważny wyraz twarzy.

— Wcale bym nie mieszkała w Szkocji, ale w eleganckim londyńskim mieszkaniu Nigela, w dzielnicy South Kensington. — Resztki pasztecika rzuciłam ptakom i wzięwszy sobie jabłko polerowałam go rękawem, aż załśniło jak lustro. — I nie musiałabym pracować, a to oznacza, że nie musiałabym też codziennie rano zasuwać do firmy Marcusa Bernsteina. A jako niepracująca dama mogłabym sobie robić, co mi się żywnie podoba, czyli, jak znam siebie, dużo malować. I nic by mnie nie obchodziło, czy ktoś kupi moje obrazy, bo miałabym męża gotowego pokrywać wszystkie domowe wydatki.

— Sądziłem, że w swych poglądach jesteś podobna do ciotki. Rozczarowałem się — powiedział Daniel.

— A może od czasu do czasu odzywa się we mnie krew matki? Ona lubi, żeby życie było uporządkowane i bezpieczne. Uwielbia Nigela. Nie może się doczekać, żebym się zdecydowała wyjść za niego. Już by chciała przystąpić do organizowania ślubnych uroczystości. Sam ślub u świętego Pawła w Knightsbridge, przyjęcie w Pavillon Road...

— A miesiąc miodowy w Budleigh Salterton z kompletem kijów golfowych w bagażniku! Prue, z tym małżeństwem... to poważnie? Niemożliwe!

Ugryzłam beztrąsko duży kęs wyglansowanego jabłka.

— A jednak może...

— Ale nie z facetem imieniem Nigel!

Czułam, jak zaczyna ogarniać mnie irytacja.

— Nic o nim nie wiesz. A właściwie cóż ty takiego złego widzisz w zawieraniu małżeństwa?! Wysoko cenisz Phoebe, wysoko ceniłeś Chipsa, a dobrze wiesz, że już wiele lat temu

byliby po ślubie, gdyby Chips mógł dostać rozwód. Niestety, nie dostał i musieli się z tym pogodzić. Tylko dlatego żyli w tym układzie, choć robili to najlepiej jak potrafili, dając sobie radość i szczęście.

— Wcale nie twierdzę, że małżeństwo to coś złego, uważam tylko, że poślubienie niewłaściwej osoby jest czystym szaleństwem.

— Mniemam, że ty nie popełniłeś tego błędu — zauważyłam z przekąsem.

— Faktycznie, nie. Mogę się przyznać do wielu błędów, ale ożenek do nich nie należy. — Wydawał się rozważać taki stan rzeczy. — Jeśli chodzi o ścisłość, nigdy nawet nie myślałem o małżeństwie.

Uśmiechnął się do mnie. Odpowiedziałam tym samym, bo przepełniała mnie radość. Spadła na mnie ta radość bez szczególnych przyczyn, chociaż właściwie istniał powód, tylko jeden — fakt, że Daniel nie był nigdy żonaty. Jednocześnie to, że z nikim się dotąd nie związał, jakoś mnie nie dziwiło, bo wyczuwałam w nim umiłowanie wolności i cygańskiego życia. Doszłam nawet do wniosku, że mu tego zazdroszczę.

— Chciałabym mieć w życiu czas na wszystko — wyznałam.

, — Ty masz czas.

— Tak, ale nie na wszystko. Wpadłam już w pewną rutynę. I lubię tę rutynę. Lubię moją pracę, bo mogę robić dokładnie to, co chcę, darzę sympatią szefa, Marcusa Bernsteina, a mojego zajęcia za nic w świecie nie zamieniłabym na inne. Zdarza się jednak, żejakiegoś szczególnego poranka opadają mnie w drodze do pracy refleksje na własny temat. Dumam wtedy o tym, że mam już dwadzieścia trzy lata, a niewiele osiągnęłam w życiu. Myślę o miejscach, które pragnęłabym zwiedzić... Kaszmir, Wyspy Bahama, Grecję, ruiny Palmyry, San Francisco i Pekin. No i Japonię. Chciałabym zobaczyć te wszystkie miejsca, które ty zaliczyłeś.

— To ruszaj w świat. Od razu.
— Mówisz, jakby to było takie proste.
— Bo takie może być. Życie jest proste, jeśli je takim uczynisz.

— Może brak mi do tego specjalnej odwagi. Ale i tak chciałabym doświadczyć choć w części tego, co ty.

Roześmiał się.

— Nie masz czego żałować. Nie było to wcale takie różowe, jak się wydaje. A przynajmniej nie wszystko. Niekiedy przeżywałem piekło.

— Ale zło nie trwa wiecznie. Teraz ci się wszystko dobrze układa.

— Dręczy mnie niepewność.

— A czego nie jesteś pewien?

— Nie wiem, co dalej robić ze swym życiem.

— To przecież niejest takie przerażające. Zawsze można coś wymyślić.

— Mam trzydzieści jeden lat. W ciągu następnego roku muszę koniecznie podjąć decyzję, co ze sobą począć. Obawiam się dryfowania, nie chciałbym bezwolnie unosić się na fali przez resztę życia.

— A teraz.co chciałbyś robić?

— Chciałbym...

Oparł się plecami o nierówną skałę i przymknął oczy wystawiając twarz do słońca. Wyglądał jak ktoś, kto szuka zapomnienia we śnie.

— Po zamknięciu mojej wystawy chciałbym pojechać do Grecji. Jest tam pewna wyspa, która nazywa się Spetsai. Na tej Spetsai stoi dom, prostokątny i biały, jak kostka cukru. Dom z tarasem wyłożonym płytkami terakoty i doniczkami kwitnącego geranium ustawionymi na szczycie balustrady. Poniżej tarasu znajduje się pomost z przycumowaną łódką o żaglu białym jak skrzydło mewy. To nieduża żaglówka, tylko na dwie osoby. — Słuchałam w milczeniu. Po chwili Daniel otworzył oczy. — Tam chyba pojedę — oznajmił.

— Dobrze zrobisz.

— Przyjedziesz? — Wyciągnął do mnie rękę. — Chciała-
byś przyjechać tam do mnie? Powiedziałaś mi przed chwilą,
że pragniesz zwiedzić Grecję. Przybądź więc i pozwól mi
pokazać ci niektóre z jej wspaniałości.

Ogromnie się wzruszyłam. Położyłam dłoń na jego
wyciągniętej ręce i chłonięłam ciepło palców obejmujących
mi przegub. Jakie to inne, jak przerażająco różne od
oficjalnego zaproszenia Nigeia. Dwa różne światy. Brak
poczucia bezpieczeństwa na styku dwu różnych światów.
Chyba byłam na krawędzi łez.

— Może kiedyś... — powiedziałam głosem matki uspo-
kajającej naprzykrzające się dziecko. — ... może kiedyś
przyjadę.

Niebo zasnuło się chmurami, temperatura spadła. Uzna-
liśmy, że należy wracać. Resztki po pikniku wyrzuciliśmy do
kosza na śmieci wiszącego na słupie pobliskiej latarni
i wolnym krokiem ruszyliśmy w kierunku parkingu. W po-
wietrzu czuło się już zapach deszczu, morze przybrało barwę
ołowianosiną i burzyło się gniewnie.

Niebo o poranku krasne jak jagoda — szykuje się
niepogoda.

Odległość od Penmarron pokonywaliśmy bez pośpiechu.
Ogrzewanie w aucie Phoebe wprawdzie nie działało i było mi
zimno, ale wiedziałam, że w Holly Cottage czeka na mnie
płonący w kominku ogień i być może ciepły placek do
herbaty. Tym razem jednak ta nęcąca perspektywa gorącego
posiłku nie zajęła na dłużej moich myśli; wypełniły je bez
reszty fantazje na temat Grecji. Wyobraziłam sobie domek
na brzegu, żaglówkę z żaglem jak skrzydło mewy i pływanie
w ciemnych wodach Morza Egejskiego, w ciepłej i jak szkło
przejrzystej toni.

Z głębi pamięci nasunęło się wspomnienie.

— Danielu...

— Co?

— Tej nocy, kiedy przyjechałam z Londynu, miałam
sen. O pływaniu. Byłam najakiejś bezludnej wysepce i długo

brodziłam w bardzo płytkiej wodzie. Potem zapadło mi się dno pod nogami i zaczęła głębia, ale woda była tak przezroczysta, że głęboko pod sobą mogłam dojrzeć piasek. Od razu uniósł mnie prąd. Wartki i silny. Czułam się tak, jakbym płynęła w nurcie rwącej rzeki.

Znów powróciło do mnie wspomnienie spokoju i błogiej akceptacji.

— Co się potem stało?

— Nic. Ale to było wspaniałe uczucie.

— To chyba dobry sen. Teraz ci się przypomniał?

Dlaczego?

— Bo myślałam o Grecji. O pływaniu w morzu barwy wina, w wodach Homera.

— Wszystkie sny mają jakieś znaczenie.

— Wiem.

— Z czym ci się tamten kojarzy?

— Chyba ze śmiercią.

Tak sądziłam zanim Daniel pojawił się w moim życiu. Teraz byłam mądrzejsza, wiedziałam, że to nie był sen o umieraniu, lecz o miłości.

Gdy dotarliśmy do Holly Cottage, w domu nie było śladu po Phoebe. Przyjemnie ciepły salonik ogrzany ogniem palącym się na kominku świecił pustkami, a na moje wołanie posłane od schodów ku piętru nie doczekałam się odpowiedzi.

Po chwili jednak dobiegły nas jakieś dźwięki od strony kuchni — odgłos trzaskania szuflad, przestawiania naczyń. Lily Tonkins miotała się wokół stołu zajęta przygotowywaniem rzadkiego ciasta.

— A, jesteście z powrotem — stwierdziła, ujrawszy mnie i Daniela stojących w otwartych drzwiach kuchni. Nie sprawiała wrażenia uradowanej naszym widokiem i najwyraźniej była w jednym ze swoich napadów złego humoru. A Lily naprawdę potrafiła się złościć. Najczęściej wściekała się nie na kogoś w szczególności, ale na cały świat, w tym na swego ponurego małżonka, beczelną ekspedientkę ze skle-

piku spożywczego i na faceta z magistratu, od którego zależała wypłata jej emerytury.

— Gdzie Phoebe? — spytałam.

— Poszła na brzeg — odburknęła nawet nie unosząc oczu znad miski, w której zaczęła ubijać ciasto.

— Miałam nadzieję, że poleży sobie dziś w łóżku.

— W łóżku? — prychnęła Lily odstawiając naczynie ze stukiem, krzyżując na piersi ręce odwróciła się do mnie przodem. — Nie miała okazji wyleżeć się w pościeli. Cały dzień ma na głowie tę małą Collins, już od dziesiątej rano. Zaniósłłam akurat na górę filiżankę herbaty i zabrałam się do polerowania mosiężnych klamek, kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi. „A kogóż to licho niesie” — powiedziałam sobie i poszłam otworzyć. A to była ta mała, i jest do teraz.

— A pani Tolliver?

— Ona nie przyszła. Pojechała do Falmouth na jakiś zjazd... jakiegoś Towarzystwa Ochrony Dziecka, czy Ochrony Kościoła albojeszcze czegoś innego. Taka głupia nazwa. Naprawdę mogę pojąć, że niektórzy ludzie nie lubią zajmować się dziećmi... wiem, że są tacy i owacy... ale ta paniusia jest przecież babką dziewczynki. Tymczasem ona albo gra w karty, albo jeździ gdzieś rozprawiać o ochronie innych dzieci. A przecież ktoś musi zająć się takim małym dzieckiem.

— A gdzie się podziewa pani Currow? Też wyjechała?

— Nie, Betty Currow jest na miejscu, w White Lodge, ale ma przecież swoją robotę. To duży dom i trzeba go utrzymać w porządku. A jak pani Tolliver nie chce sama opiekować się dzieckiem, to niech kogoś najmie, kto by za pieniądze ją w tym zastąpił.

— Więc co tu zaszło?

— Wpuściłam to biedne dziecko i powiedziałam, że panna Shackleton jest jeszcze w łóżku, a ty wysłaś. No to ona poszła do sypialni panny Phoebe i potem usłyszałam ich głosy. Gadały i gadały, obie, a człowiek by nawet nie pomyślał, że ta mała ma tyle do powiedzenia, bo zawsze

dotąd siedziała cichutko, kiedy tu przyszła. Potem zjawiała się na dole, znaczy się, ta dziewczynka, i powiedziała mi, że panna Shackleton wstaje i zaczyna się ubierać. I to mnie zdenerwowało, bo wiem przecież, jak potrzebny jej wypoczynek. Ale poszłam na górę i pomogłam jej się ubrać, a potem ona zeszła na dół zadzwonić do Betty Currow, że zatrzymamy Charlotte na lunch. Na szczęście miałam jeszcze kawałek pieczeni, obrałam parę ziemniaków i zrobiłam krem mleczny, ale to nie w porządku, żeby panna Shackleton z tą jej chorą ręką miała jeszcze na głowie dzieciaka.

Nigdy dotąd nie widziałam Lily w tak gadatliwym nastroju. Martwiła się naturalnie o Phoebe, ale widać było, że przy tym czuje płynącą z dobrego serca troskę o los dziewczynki. Mieszkańcy Kornwalii kochają dzieci, a Lily nie stanowiła wyjątku. Doszła do wniosku, że Charlottajest zaniedbywana i to ją doprowadzało do pasji.

— Szkoda, że nie było mnie tutaj, żeby ci pomóc, Lily.

Daniel, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie, zapytał:

— Dokąd one poszły?

— Nad morze, żeby rysować. To lubią robić, kiedy są razem. Siedzą i rysują, jak dwie stare baby.

Odwróciła się od stołu i podeszła do zlewu, by wyrzcić przez okno. My za nią. Stąd naszym oczom ukazał się widok na zatoczkę. Była na pozór pusta — tylko mewy i mokry piach odsłonięty przez cofające się wody odpływu — ale w oddali, przy końcu falochronu majaczyły zmniejszone przez odległość dwie sylwetki: Phoebe, rozpoznawalna dzięki wielkiemu kapeluszu, i dziecko, w jaskrawofioletowym skafanderku z kapturem. Siedziały na ustawionych bardzo blisko siebie kempingowych krzesełkach. Ten obrazek miał w sobie coś wzruszającego. Kobieta i mała dziewczynka sprawiały wrażenie, jakby w tym samym miejscu tkwiły już od dawna, wyrzucone kiedyś przez morze, zapomniane od świata.

Staliśmy zapatrzeni, gdy nagle o szybę zadzwoniły pierwsze ostre krople.

— No i macie! — zawołała Lily takim tonem, jakby dokładnie przepowiedziała, że tak się właśnie stanie. — Przyszedł ten przeklęty deszcz, a panna Shackleton na pewno nawet go nie zauważy. Kiedy zaczyna to swoje malowanie, zapomina o bożym świecie. Mogę ją wtedy wołać i wołać, aż do utraty tchu, a ona i tak nie słyszy. A teraz biedaczka z tym gipsem na ręce, co też...

Uznałam, że czas najwyższy przerwać ten potok słów.

— Przyrowadzę je — oświadczyłam.

— Zostań. — Daniel powstrzymał mnie kładąc mi dłoń na ramieniu. — Za bardzo leje. Ja pójdę.

— Musisz wziąć pelerynę^j—zawołała za nim Lily, ale on z jakimś znalezionym w holu parasolem już wyszedł na deszcz. Patrzyłam w ślad za nim, jak z wysoko uniesionym nad głową parasolem schodzi pochyłym trawnikiem. Na chwilę zniknął mi z oczu za żywopłotem, lecz pojawił się znowu w polu mojego widzenia, kiedy dotarł do falochronu i równym krokiem zmierzał ku dwóm nie podejrzewającym niczego artystkom.

Obie z Lily jednocześnie odwróciłyśmy się od okna.

— W czym ci mogę pomóc?— spytałam.

— Nakryj w saloniku stół do herbaty.

— Wypijemy ją dziś w kuchni. Tu jest tak ciepło i przytulnie.

— Dobrze. Rób jak uważasz, aja się zabieram za moje naleśniki. — Podniosła miskę i na powrót zaczęła ubijać ciasto. Teraz nie miała już takiej ponurej miny jak poprzednio. Dała upust swoim uczuciom i wyrazniej ulżyło. Aja byłam wdzięczna losowi i za to, bo nie musiałam wysłuchiwać dalszych utyskiwań.

— Wymyślę jakieś zajęcie dla Charlotty na jutro — oznajmiłam. — Może wezmę ją na małą wycieczkę samochodową. Już wcześniej chciałam się nią zająć, tyle że od przyjazdu nie miałam za grosz czasu.

— I dobrze zrobisz. To taka milutka dziewczynka.

— Owszem. Chociaż z tego właśnie powodu czuję się jeszcze bardziej winna, że jej dotąd nie poświęciłam ani chwili.

W kuchni czekał nakryty stół i usmażone naleśniki, w czajniku kipiał wrzątek na herbatę, a oni wciąż nie wracali.

— Och, ten Daniel — gderała Lily. — Kubek w kubek jak one. Zapomniał na pewno, po co tam poszedł, usiadł przy nich, złapał za pędzel i sam zaczął malować.

— Pójdę po nich. — Znalazłam jakąś starą pelerynę ciotki i zniszczoną sztormówkę po Chipsie i tak zabezpieczona przed deszczem ruszyłam do ogrodu. Padało ostro, trawa była mokra i śliska. Kiedy byłam mniej więcej w połowie trawnika, w bramie żywopłotu pojawiła się Phoebe z Danielem. On ścisnął pod pachą składane krzesła, a w drugiej ręce trzymał parasol unosząc go wysoko nad głową Phoebe. Nie licząc kapelusza, jej strój stosowny wyłącznie na słoneczną pogodę teraz przedstawiał sobą żaloszny widok: zapinany na guziki żakiet przesiąkł wilgocią, grube pończochy pokrywało błoto. W zdrowej ręce niosła dużą, uszytą z brezentu torbę z przyborami malarskimi. Pierwsza mnie spostrzegła.

— Hej! Już jesteśmy. Zmokliśmy jak szczury.

— Obie z Lily zachodziłyśmy w głowę, co się z wami stało.

— Charlotta chciała skończyć szkic.

— A gdzie ona jest?

— Gdzieś blisko. Idzie za nami — odparła Phoebe lekkim tonem.

Wyjrzałam za bramę w żywopłocie i zauważyłam dziewczynkę u stóp wzgórza. Tyłem do mnie, pochylona, zaglądała pod gałęzie ociekającego wodą jeżynowego krzewu.

— Chyba po nią pójde — rzekłam zrezygnowana i zaczęłam schodzić w dół po stromym, mokrym stoku. — Charlotto! Chodźże! — zawołałam.

Odwróciła się na dźwięk mego głosu. Mokre włosy ciasno przylegały do czaszki, deszcz zalewał szkła okularów.

— Cóż ty tam robisz?

— Szukam jeżyn. Zdawało mi się, że są, i chciałam zerwać kilka.

— Nie rozglądaj się za jeżynami, tylko chodź do domu na herbatę. Lily usmażyła naleśniki.

— Dobrze. — Wyprostowała się z ociąganiem. Nawet wizja słodkich naleśników nie wydawała się jej pociągać. Irytowało mnie to odrobinę, lecz równocześnie rozumiałam jej niechęć do zakończenia popołudnia spędzonego w atrakcyjnym towarzystwie Phoebe. Pamiętałam siebie samą w wieku Charlotty, kiedy z wewnętrznymi oporami wlokłam się za Phoebe do domu po dniu wspólnie spędzonym na plaży na zbieraniu pierwiosnków lub podróży kolejką do Porthkerris. Po tych wspaniałych przeżyciach powrót do rutynowych codziennych czynności zawsze wymagał pewnego wysiłku. i

— Pociągnąć cię w górę zbocza?

Podawała mi rączkę; chudą, mokrą i zimną.

— Potrzebujesz solidnego wytarcia ręcznikiem i coś gorącego do picia. — Wdrapywałyśmy się zgodnie pod górę. — Miło spędziłaś czas z Phoebe?

— Tak. Rysowałyśmy.

— Nie zauważyłyście, że zaczęło padać?

— Nie od razu. Ale potem moja kartka trochę zamokła i przyszedł ten facet i przytrzymał mi nad głową parasol, tak że mogłam skończyć.

— On ma na imię Daniel.

— Wiem. Phoebe opowiadała mi o nim. On kiedyś mieszkał z nią i Chipsem.

— Jest teraz sławnym artystą.

— To też wiem. Powiedział, że mój rysunek jest bardzo dobry.

— Co rysowałaś?

— Próbowalam naszkicować kilka mew, ale nie chciały usiedzieć najednym miejscu i stale odfruwały, bo one nie znają się na pozowaniu, no to narysowałam obrazek z głowy.

— Sprytnie.

— On mnie pochwalił.

— A nie zapomniałaś rysunku na plaży? Nic nie niesiesz.

— Nie. Ma go Phoebe w swojej torbie.

Zabrakło nam tchu, więc dalej wspinałyśmy się w milczeniu. Dopiero gdy już byłyśmy w ogrodzie powiedziałam:

— Wiele razy zastanawiałam się, co porabiasz. Chciałam do ciebie zadzwonić i zaprosić cię na herbatę, ale byłam tak... zawahałam się szukając właściwego słowa. „Zajęta” wydało mi się niezbyt zgodne z prawdą.

— U babci jest nudno — palnęła Charlotta z dziecięcą bezkompromisową szczerością.

Spróbowałam zrobić wesołą minę.

— To się chyba da zmienić. Może jutro mogłybyśmy się gdzieś razem wybrać? Na wycieczkę, jeśli ja i samochód nie będziemy potrzebni Phoebe.

Charlotta przez chwilę rozważała moją propozycję.

— Jak myślisz, czy Daniel też mógłby z nami pojechać? — spytała.

Gdy tylko przekroczyłyśmy próg kuchni, Lily na poły ze złością, na poły ze śmiechem rzuciła się do Charlotty pospiesznie odpinającej namokniętą wodą kurtkę i ściągając przemoczone buty.

— Naprawdę nie wiem, jak można być tak niemądrym. A panna Shackleton... nie widziałam jeszcze nigdy, żeby ktoś tak przemókł. Kazałam jej pójść na górę i zdjąć te mokre łaszki, ale ona tylko się roześmiała i rzekła, że to nic nie szkodzi. Szkodzi czy nie szkodzi, zobaczymy, jak złapie zapalenie płuc. Na miłość boską, czy wy naprawdę nie czułyście, że pada deszcz?

— Nie od razu — przyznała Charlotta.

Lily wyciągnęła suchy ręcznik, zdjęła dziewczynce okulary i ostrożnie wytarła szkła, a potem delikatnie wsunęła je z powrotem na malutki nosek. Tym samym ręcznikiem zaczęła osuszać dziecku włosy trąc z zapałem, jakby miała do czynienia ze zmoczonym szczeniakiem. I cały czas przy tym

gderała. Wyszłam do holu i powiesiłam sztormówkę nad kaloryferem, żeby wyschła.

Drzwi do saloniku stały otworem. Ogień buzował w kominku, a jego płomienie odbijały się w prętach mosiężnej kraty i we wszystkich wypolerowanych i błyszczących drobiazgach stojących dokoła — miedzianym dzbanie, srebrnej ramce na fotografię, lśniącej wazie. Przed kominkiem, z łokciem na gzymsie, a stopą opartą na kracie, stał Daniel i z zajęciem spoglądał na trzymany w ręku arkusik papieru.

Gdy weszłam, podniósł oczy znad kartki.

— Przeprowadziłam Charlotte. Lily ją wyciera i suszy. Mała została w tyle, bo szukała jeżyn. — Stałam obok niego wyciągając zmarznięte dłonie do błogosławionego ciepła płomieni.

— To jej rysunek. Jest w tym bardzo dobra.

Podał mi kolorowy obrazek, a sam odsunął się od ognia i usadowił wygodnie w starym, przepastnym fotelu Chipsa. Sprawiał wrażenie zmęczonego, brodę opuścił na pierś, nogi wyciągnął przed siebie na całą długość. Przyjrzałam się rysunkowi dziewczynki i od razu zrozumiałam, dlaczego go chwalił. Był to wprawdzie twór dziecka, ale znamionujący poczucie wyobraźni i narysowany czystą linią. Charlotta używała kolorowych pisaków, a klarowne barwy nadawały szkicowi lekkości i pogody, czym mi przypominał niewielkie olejne obrazki malowane przez Phoebe. Na rysunku czerwona żaglówka z wydętym, wypełnionym wiatrem żaglem pruća morskie fale w kolorze kobaltowego błękitu. U steru stała jakaś postać w czapce z daszkiem, a na pokładzie dziobowym siedział duży, wąsaty kot.

— Podoba mi się ten kot — uśmiechnęłam się.

. — A mnie się podoba całość.

— Zabawny i radosny obrazek. I o tyle niezwykły, że moim zdaniem ona nie jest wesołym dzieckiem.

— Wiem, ale radość zawarta w rysunku to dla tej małej dobra zapowiedź na przyszłość.

Oparłam kartkę o stojący na kominku zegar.

— Obiecałam, że zabiorę ją jutro na wycieczkę. Przy babce nie ma zbyt wielu rozrywek. Chyba pojedziemy gdzieś samochodem.

— Bardzo ładnie z twojej strony.

— Ona sądzi, że byłoby zabawniej, gdybyś się z nami wybrał.

— Ona sądzi... — powtórzył Daniel nie wydając się zbyt podekscytowany perspektywą wspólnego wyjazdu. Zastanawiałam się, czy miał dość towarzystwa kobiet w'ogóle, czy też może pomysł spędzenia paru godzin ze mną i Charlottą niezbyt go pociągał. Pożałowałam wypowiedzianych słów. — Masz chyba ciekawsze zajęcia.

— Tak — odparł. — Ale zobaczymy.

Zobaczymy, powiedział. Kiedy byłam dzieckiem, mówili tak do mnie dorośli, doprowadzając mnie tym do pasji, bo tych słów używali wówczas, jeśli nie mogli lub nie chcieli zobowiązywać się do czegoś.

Chips zrobił tę karuzelę dla mnie. Dał mi ją na własność. Powiedział, że jest moja i mogą ją nawet zabrać do Londynu. Nie chciałam. Karuzela była dla mnie częścią Holly Cottage i wolałam mieć ją tutaj.

Schowana była tam gdzie zawsze, na dolnej półce wielkiej francuskiej komody wciśniętej w kąt salonu. Po wypiciu herbaty Charlotta podeszła do komody i wyjęła zabawkę. Przeniosła ją ostrożnie na stolik przed kominkiem.

Chips zmajstrował mi tę karuzelę ze staromodnego gramofonu. Usunął pokrywę i ramię z igłą, wyciął ze sklejki krążek wielkości typowej płyty gramofonowej i nałożył go na obrotowy trzpień. Krążek pomalował na jasnopąsowy kolor, a na obwodzie umocował postacie różnych zwierzątek. Wycięte ze sklejki podręczną laubzegą były także dziełem rąk Chipsa: tygrys, słoń, zebra, kucyk, lew i pies. Pomalowane odpowiednio w pasy lub cętki nosiły na

grzbiecie kolorowe siodełka i miały malutkie cugle wykonane ze złotego sznureczka.

W różne gry mogłam się bawić przy pomocy karuzeli. Niekiedy ustawiona pośród zabawkowych domków i ludzików stanowiła element wesołego miasteczka, innym razem pełniła funkcje cyrku. Przeważnie jednak wykorzystywałam ją zgodnie z przeznaczeniem — do zabawy „w karuzelę”. Kręcąc korbką napędzającą mechanizm i włączając dźwignię, która wprawiała krążek w ruch, rozpoczynałam od bardzo powolnych obrotów, aby — jak mnie nauczył Chips — dać czas pasażerom na wsiadanie i wysiadanie. Potem przyspieszałam aż do takiej prędkości, przy której zacierały się kształty pędzących w koło w szalonym tempie zwierzątek. Właśnie teraz Charlotta wprawiała krążek w bardzo szybki ruch obrotowy, zabawka wirowała niczym wielki kolorowy bąk. Wreszcie mechanizm stopniowo zwalniał, karuzela znieruchomiała. Dziewczynka przycupnąwszy na piętach kręciła powoli krążkiem oglądając każde ze zwierząt po kolei.

— Nie potrafię się zdecydować, które mi się najbardziej podoba.

— Moim ulubieńcem zawsze był tygrysek — powiedziałam. — Spójrz na jego mordkę. Jaka sroga mina!

— Aha. On mi przypomina tygrysa z bajki *Mały Czarny Sambo*. A dlaczego te stare gramofony mogły się obracać szybko albo wolno? Mój ojciec ma adapter stereofoniczny, ale nie ma w nim przełącznika na wolne czy szybkie obroty. Takie przestawienie jest chyba niepotrzebne.

— To była świetna zabawa — wyjaśniała Phoebe. — Zakładało się zwykłą płytę na bardzo wolne obroty, a otrzymany dźwięk był taki, jakby jakiś wielki, gruby Rosjanin śpiewał głębokim basem. Potem wystarczyło przekrócić na wysokie obroty, a z gramofonu wychodziły tony wysokie i piskliwe, jak śpiew myszy.

— Dlaczego? Dlaczego tak się działo?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Phoebe beztrudno uciekła się do określenia stosowanego przez nią zawsze

w sytuacji, kiedy nie znała odpowiedzi na zadane pytanie.

— A ty wiesz? — Charlotta zwróciła się do mnie.

— Niestety nie.

— Może ty? — spytała Daniela.

Daniel był dziwnie milczący. Podczas podwieczorku nie odezwał się ani słowem, a teraz, choć razem z nami obserwował wirowanie karuzeli, wydawał się jakby nieobecny duchem. Wszystkie trzy patrzyłyśmy na niego wyczekująco, ale on nawet nie słyszał, że Charlotta coś do niego mówiła. Ocknął się dopiero, gdy dziewczynka powtórzyła pytanie:

— Może ty, Danielu?

— Co ja?

¹ — Może wiesz, dlaczego muzyka staje się piskliwa, kiedy płyta kręci się szybko, a basowa, kiedy obroty są za wolne?

Zastanawiał się chwilę nad tą kwestią, potem zasugerował, że może chodzi o siłę odśrodkową.

— A co to takiego? — Charlotta zmarszczyła nosek.

— Coś, co sprawia, że twoja suszarka bębnowa odwirowuje bieliznę.

— Ja nie mani suszarki bębnowej.

— No cóż, kiedy dorośniesz, może sobie kupisz i zobaczysz jak działa, a wtedy się dowiesz, czym jest siła odśrodkowa.

Charlotta ponownie zakręciła korbką gramofonu. Karuzela wirowała. Chwilową ciszę przerwał dźwięk stojącego na gzymsie kominka zegara, który nad naszymi głowami wybił piątą godzinę.

— Charlotto, chyba czas na ciebie — powiedziała cicho Phoebe.

— Oj, koniecznie muszę już iść?

— Nie musisz, ale powiedziałam pani Currow, że wrócisz koło piątej.

Dziewczynka zrobiła minę, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

— Nie chcę już wracać i nie mogę, bo przecież pada deszcz.

— Prue cię odwiezie.

— Ojej...

W obawie, że mała zaraz zaleje się łzami rzuciłam pospiesznie:

— I nie zapomnij, że jesteśmy umówione na jutro. Na wycieczkę. Chcesz, żeby po ciebie przyjechać?

— Nie, bo nie znoszę czekania. Zawsze się boję, że ten, na kogo czekam, wcale się nie zjawi. Sama tu przyjdę. Pieszko, Vtak jak dzisiaj. O której mam być na miejscu?

— Może wpół do jedenastej?

— Dobrze.

Daniel wstał z fotela.

— A ty gdzie się wybierasz?

— Na mnie też już pora.

— Byłam pewna, że zjesz z nami kolację. Ze mną i Prue. Lily przygotowała potrawkę z kurczaka...

— Nie mogę... Muszę jeszcze odbyć pewną rozmowę telefoniczną. Obiecałem Chastalowi, że skontaktuję się z Lewisem Falconem, a nic jeszcze nie uczyniłem w tej sprawie.

— No cóż, skoro musisz — powiedziała Phoebe, która zawsze z miejsca akceptowała decyzje innych i nigdy nie próbowała ich podważać. — Zatem zabierz się z Prue. Podwiezie cię do Porthkerris, kiedy tylko odstawi Charlotte do domu.

— Nie masz nic przeciw temu? — spytał Daniel spoglądając na mnie.

— Naturalnie, że nie.

Ale miałam. Jasne, że miałam, bo w głębi duszy buntowałam się przeciw jego odejściu. Pragnęłam, żeby został na kolacji i pobył jeszcze trochę ze mną i Phoebe.

— Do widzenia, Phoebe. — Pocałował ją na pożegnanie, a ona z uczuciem poklepała go po ramieniu. Pozwoliła mu odejść nie zadając pytań.

Oto jaka muszę być, powiedziałam sobie idąc po kurtkę. Jeśli nie chcę stracić jego przyjaźni, tak właśnie powinnam postępować.

Zajęliśmy miejsca w samochodzie, Daniel obok mnie, Charlotta z tyłu. Wkrótce jednak dziewczynka pochyliła się tak bardzo do przodu, że błada plama jej twarzy zawiśła między nami.

— Dokąd jutro pojedziemy, dokąd? — dopytywała się.

— Jeszcze nie wiem. Nie zastanawiałam się. A może ty masz jakieś ulubione miejsce?

— Nie, ale mogłybyśmy się wdrapać na Skadden Hill. Tam są jeżyny. Szczyt wzgórza jest usiany skałkami i na jednej z nich znajduje się odcisk stopy olbrzyma. Naprawdę. Prawdziwy odcisk ogromnej stopy.

— Może wybrałybyście się do Penjizal? — zaproponował Daniel.

— Co tam jest ciekawego?

— Ścieżka na klifie, a przy niskim poziomie przypływu tworzy się u brzegu duży głęboki basen, ulubione miejsce igraszek fok.

Charlotta w jednej chwili zapomniała o Skadden Hill. Skalne odciski stóp nie wytrzymały konkurencji z igraszkami fok.

— Jedźmy tam! Właśnie tam! Ja jeszcze nigdy nie widziałam fok z bliska!

— Nawet nie wiem, gdzie leży to Penjizal — zaproponowałam.

— Daniel może pokazać nam drogę. Pojedziesz z nami, Danielu? Pokażesz nam drogę? Wybierz się z nami, wybierz! — Okładała go piąstkami w ramię, żeby zwrócić na siebie całą jego uwagę.

Daniel nie od razu odpowiedział, na wyrażone z taką pasją zaproszenie. Domyślałam się, że czeka na moją reakcję, która pozwoliłaby mu znaleźć jakąś wymówkę, ale ja, z egoistycznych pobudek, zachowałam milczenie. Przez zalewaną strugami wody szybę wpatrywałam się wprost

przed siebie, obserwowałam błotnistą drogę, patrzyłam na dęby, których wyniosłe, chłostane deszczem sylwetki czerniały na tle nieba.

— Danielu, proszę. No, proszę... — nie przestawała naciskać go Charlotta.

— Może... — wykrztusił w końcu.

Nie zadowolila jej taka mglista obietnica i dalej nie dawała za wygraną.

— Może? To znaczy tak czy nie?

— Cóż, zgoda — odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem. — To znaczy tak.

— Och, jak to dobrze! — Klasnęła w ręce. — Prue, co mam zabrać ze sobą? Kalosze?

— Słusznie. I jakąś pelerynę na wypadek deszczu.

— Zrobimy sobie piknik, dobrze? Nawet jak będzie padać.

— Pomyślmy i o pikniku. Przygotuję coś do jedzenia. Lubisz kanapki z szynką?

— Tak i coca-cole.

— Nie sądzę, żeby u Phoebe w domu była cola.

— Nie szkodzi. Chyba u babci trochę się znajdzie, a jeśli nie, to polecę do wsi i kupię. Można ją dostać w miejscowym sklepiu.

Tymczasem dotarliśmy do White Lodge. Skręciłam przez bramę na podjazd i podjechałam od frontu pod same schodki. Dom, przesłonięty zasłoną deszczu, z ciemnymi oknami i szczelnie zamkniętymi drzwiami, sprawiał wrażenie opuszczonego. Daniel wysiadł i pomógł Charlocie wygramolić się z tylnego siedzenia, stał przy niej patrząc na nią z wysoka. Ona ścisnęła w rękę narysowany przez siebie obrazek, który tuż przed naszym wyjściem z domu Phoebe zdjęła z gzymsu kominka i podała jej ze słowami: „Trzymaj, bo zapomnisz zabrać swoje dzieło. Może je ofiarujesz babci?”

Charlotte wszakże wyciągnęła teraz rękę z rysunkiem do Daniela.

— Chciałbyś go sobie zatrzymać? — spytała nieśmiało.
— Bardzo. Czy jednak nie przeznaczyłaś go dla babci?
— Nie. Ona i tak by go nie wzięła.
— W takim razie biorę. Dziękuję ci. Będę go sobie wysoko cenił.

— No, to zobaczymy się jutro. Do widzenia. Dziękuję za podwiezienie, Prue.

Patrzyliśmy, jak wspinając się na schodki podchodzi do wejścia. Kiedy Daniel na powrót sadził się w samochodzie, uchyliły się drzwi frontowe i w smudze światła, które wbiło się klinem w półmrok deszczowego popołudnia, pojawiła się pani Tolliver. Machnęła nam ręką w geście ni to pożegnania, ni podziękowania i wciągnęła wnuczkę do środka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zjeżdżaliśmy do Porthkerris. Krótki dystans, jaki dzielił White Lodge od miasteczka, pokonywaliśmy w kompletnym milczeniu. Niekiedy cisza zapadająca pomiędzy dwójgim ludzi jest kojąca, czasami krzyczy głośniejsz niż słowa, a jeszcze kiedy indziej staje się pełna napięcia i skrępowania. I właśnie taką była teraz. Pragnęłam przerwać to krępujące milczenie i rozpocząć choćby błąhą rozmowę, lecz nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, które by mogły trafić do tego wysokiego, milczącego nieznanomego, siedzącego obok mnie jak ktoś całkiem obcy. Dłoń, w której nadal trzymał podarunek od Charlotty, złożył na kolanach i wpatrywał się w okno spoglądając na mokre szarozielone pola, na kamienne ogrodzenia, deszcz. Tak jakby nie było nic do powiedzenia.

Zajechaliśmy wreszcie przed hotel i jak poprzedniego dnia ustawiłam auto na parkingu pośród pojazdów drogich marek. W to ponure popołudnie nawet elegancki Zamek, w którym zaledwie kilka okien jaśniało światłem odbijanym w morzu kałuż, przypominał opuszczony, tonący statek.

Wyłączyłam silnik i czekałam w milczeniu, aż Daniel wysiadzie. Deszcz, bębnił o dach samochodu, wył wicher wiejący od morza i z oddali dobiegał stłumiony łoskot fal przybojowych bijących o brzeg. To były jedyne odgłosy otaczającego nas świata.

Daniel odwrócił głowę i spojrział na mnie.

— Wejdiesz?

Zapraszał mnie? Dlaczego? Nie potrafiłam domyślić się, z jakich to robi pobudek.

— Nie. Ty masz podobno skontaktować się z Lewisem Falconem, a ja powinnam już wracać.

— Proszę cię — powiedział nagłaco. — Chciałbym z tobą porozmawiać.

— O czym?

— Napijemy się czegoś.

— Ależ, Danielu...

— Proszę cię, Prue — powtórzył.

Wyłączyłam światła i wysiadłam. Obrotowe drzwi znowu wepchnęły mnie do przegrzanego, wyłożonego dywanami wnętrza. Dziś, pewnie ze względu na nie pogodę, w holu zgromadziło się sporo hotelowych gości. Siedzieli przy stolikach — czytali gazety, gawędzili ze sobą, niektóre panie zajęte były dzierganiem na drutach. W powietrzu wisiała gęsta nuda późnego popołudnia. Daniel skierował się wprost do baru, ale chyba ze względu na zbyt wczesną porę lokal był jeszcze zamknięty.

— Jasna cholera! — zaklął tak głośno, że zwrócił na siebie uwagę siedzących i kilka par ciekawskich oczu skierowało się w naszą stronę.

Zdałam sobie sprawę, że w swych codziennych, wielce niestosownych do tego miejsca strojach odcinamy się bardzo, od otoczenia. Daniel miał na sobie swoje znoszone dżinsy i sweter z ciemnej, grubej wełny, a ja byłam w starej, pamiętającej lepsze czasy niebieskiej kurtce, a rozczochrane od wiatru włosy z pewnością nie poprawiały mojego wyglądu.

— I tak nie chcę drinka. — Pragnęłam jedynie odejść.

— Aleja muszę się napić. Chodź, pójdziemy do mojego pokoju.

Nie czekając na odpowiedź ruszył w górę szeroką klatką schodową przeskakując po trzy stopnie. Ponieważ za późno

było na inną reakcję, poszłam za nim, mimo świadomości, że nasze postępowanie wzbudza ogólną ciekawość. Wiedziałam, że wszyscy będą podejrzewać najgorsze, ale tak mnie zmartwiło zachowanie Daniela, że nie dbałam o nic.

Pokój mieścił się na pierwszym piętrze, przy końcu długiego, szerokiego korytarza. Daniel wyjął z kieszeni klicz i wszedł pierwszy zapalając światło, a kiedy i ja znalazłam się w środku stwierdziłam, że wynajęto mu jedno z najlepszych pomieszczeń hotelowych, z widokiem na pole golfowe. Teren do gry w golfa wznosił się łagodnie ku kępie zarośli, ale hotel stał na wzgórzu na tyle wysoko, że przy dobrej pogodzie z okna pokoju Daniela można było dostrzec ponad koronami drzew linię horyzontu na styku wdy i nieba. Dziś morze zasłaniała kurtyna deszczu, ale przez otwarte okno wpadały porywy morskiej bryzy poruszając długie zasłony, które łopotały na wietrze niczym źle ustawione żagle.

Daniel zamknął okno i od razu ustał gorączkowy taniec zasłon. Powiodłam wzrokiem po dużym, wygodnie urządzonej pokoju, o zaskakującym umeblowaniu, które nadawało mu wygląd zbliżony bardziej do sypialni w zadbanym wiejskim domku aniżeli do bezosobowego hotelowego wnętrza. Był tu nawet kominek z wiszącym nad nim gustownym lustrem, wyściełane fotele i dopasowana do nich toaletka. Na niskim stoliczku stał telewizor, a przy ścianie nieduża lodówka. Gzyms kominka ozdobiono bukietem świeżych kwiatów, a przy szerokim dwuosobowym łóżku postawiono okrągły koszyk kolorowych owoców.

Daniel włączył elektryczne ogrzewanie i w czeluści kominka natychmiast rozjarzyły się fałszywe główne. Do tej pory trzymał w ręku rysunek Charlotty, ale teraz ustawił go pieczołowicie obok kwiatów na kominku. W lustrze ujrzałam odbicie spokojnej twarzy Daniela.

Obserwowałam go i czekałam.

— Ona jest moją córką — oznajmił.

Z tyłu za jego lustrzanym wizerunkiem zobaczyłam własny: bladą plamę twarzy, ręce głęboko schowane w kie-

szeniach kurtki i całą postać zniekształconą na skutek jakiejś skazy w szkłe tak, że wyglądałam upiornie, niczym topielica.

Raptem słowa nie chciały mi przejść przez gardło.

— Charlotta? — Był to zaledwie szept.

— Tak. To moje dziecko. — Odwrócił się od kominka i spojrzał mi w oczy.

— Dlaczego mi to mówisz?

— To moje dziecko — powtórzył.

— Och, Danielu!

— Widzisz, w przeszłości miałem romans z jej matką. Nie kochałem Annabelli, była żoną innego, miała już syna, czyli okoliczności zdawały się nie sprzyjać nawiązaniu bliższego związku. A jednak, jakby na przekór rozsądkowi, stało się. Charlotta jest owocem szaleństwa, któremu uległem owego długiego, upalnego lata.

— Wiem o tym, to znaczy wiem o tobie i Annabelli.

— Phoebe ci powiedziała — ni to zapytał, ni stwierdził.

— Tak.

— Przypuszczałem, że ci powie, a prawdę mówiąc, nawet byłem tego pewien.

Spoglądaliśmy sobie w oczy. Mój umysł miotał się bezładnie jak przerażony królik w pułapce bez wyjścia. Starałam się usilnie przypomnieć sobie słowa, jakich użyła Phoebe określając zażyłość Daniela i Annabelle. To ona czuła do niego miętę... Daniel się za nią nie uganiał, był zawsze bardzo spokojnym człowiekiem... Tylko nieszkodliwy flirt.

— Sądziłam... myślałam... to znaczy nie zdawałam sobie sprawy...

— Sądziłaś, że to zaledwie banalna miłośćka — zakończył za mnie moje nieskładne tłumaczenia. — Zawsze chciałem, aby w oczach Phoebe i Chipsa moja przygoda uchodziła za mało znaczącą, w istocie nie była wcale taka niewinna.

— Czy... czy jesteś całkiem pewien, że to twoja córka?

— Od chwili, gdy dziś po południu ujrzałem ją przy falochronie, nie mam żadnych wątpliwości. Prue, zbladłaś jak chusta. Chyba jednak napijemy się oboje.

Pustym wzrokiem patrzyłam jak otwiera lodówkę, wyjmując lód, wodę mineralną i butelkę alkoholu.

— Ja nie chcę whisky.

— Nie mam nic innego. — Odkręcił zakrętkę.

— Ona nie jest ani trochę do ciebie podobna — wyjąkałam.

— Do Annabelli też nie. Mam wszakże zdjęcie mojej matki, gdy była w wieku Charlotty — dziewięciu, dziesięciu lat. Podobieństwo jest uderzające. Charlotta to wykapaną babcią.

— Wiedziałaś, że Annabelle spodziewa się twego dziecka?

— Powiedziała mi.

— I to ci wystarczyło?

— Jak się okazało, nie.

— Nie rozumiem.

Zamknął drzwiczki lodówki i oparłszy się o nią tyłem, stał trzymając w obu rękach po szklaneczce.

— Prue, zdejmij kurtkę. Ubrana w nią sprawiasz wrażenie, jakbyś lada chwila miała odejść. Poza tym kurtka jest chyba mokra, a nie wolno ci się, przeziębici.

Co za dziwny przeskok myślowy, przemknęło mi przez głowę. Uczyniłam jednak zadość życzeniu Daniela i ściągawszy kurtkę przewiesiłam ją przez oparcie fotela. Daniel nie ruszając się z miejsca wyciągnął do mnie rękę z alkoholem. Szklaneczka była lodowato zimna.

— Nic nie rozumiem, Danielu — powtórzyłam odbierając whisky.

— Nie będziesz w stanie zrozumieć, dopóki nie poznasz prawdy o Annabelli. — Zmarszczył brwi z namysłem. — Naprawdę nigdy jej nie spotkałaś? Podczas żadnej z wizyt u Phoebe?

— Nie. Nasze drogi nie skrzyżowały się ani razu. Pewnie dlatego, że ona podobno przyjeżdżała tu zawsze na

lato, ja zaś wakacje zwykle spędzałam z ojcem w Northumberland.

— Faktycznie, mogliście się rozmijać.

— Byłeś w niej zakochany? — Staralam się nadać głosowi chłodne brzmienie, jakby ta kwestia nie miała dla mnie dużego znaczenia.

— Wcale jej nie kochałem. A kiedy się nad tym głębiej zastanawiam, dochodzę! do wniosku, że jej nawet nie lubiłem. Jednakże było w niej coś... coś fascynującego i to wystarczało, że inne uczucia stawały się bez znaczenia. Miałem wówczas dwadzieścia lat, ona dwadzieścia osiem. Była mężatką i matką. Nic z tego jednak się wtedy nie liczyło.

— A ludzie nie gadali? Phoebe i Chips pewnie wiedzieli...

— Naturalnie, wiedzieli, ale byli przekonani, że to tylko błaży flircik. Annabelle była na tyle sprytna, by się nie afiszować z naszym romansem. Ginałem w tłumie wielbicieli, którymi lubiła się otaczać.

— Musiała być zatem bardzo piękna. — Nie wiem, czy mi się udało całkowicie usunąć nutę tęsknego smutku z mego głosu, ale przecież miałam chyba prawo do odrobiny żalu, bo mnie dotychczas nikt nie nazwał „fascynującą” i wiedziałam, że i w przyszłości nie mogę tego oczekiwać.

— Skąd! Ani trochę! Była jednak wysoka, szczupła, a jej twarz przypominała trochę wdzięczny pyszczek syjamskiego kota: z małym, zgrabnym noskiem, wydatną górną wargą i zagadkowym uśmiechem. Może najlepiej określającym ją słowem będzie miano „tajemnicza”. Miała również zadziwiające oczy: duże i skośne, w bardzo ciemnym odcieniu szarości.

— Jak ją poznałeś?

— Chips i Phoebe dosłownie przywlekli mnie wtedy na owo przyjęcie. Nie chciałem iść, ale powiedzieli mi, że muszę, bo zostałem zaproszony, i że umrę z nudów, jeśli nie będę miał żadnych rozrywek. Ona tam była. Ujrzałem ją już w pierwszej chwili. Stała w odległym kącie pokoju otoczona wianuszkami cudzych mężów. Zobaczyłem jej twarz i z miej-

sca zaczęły mnie swędzieć palce, by ją namalować. Chyba wytrzeszczałem na nią oczy, bo nagle popatrzyła wprost na mnie z takim wyrazem, jakby cały czas zdawała sobie sprawę z mojej obecności. Zupełnie zapomniałem wtedy o chęci malowania, natomiast poczułem się jak ktoś, kto podczas gry w rugby dostał potężnego kopa w brzuch.

— Mnie się jakoś nigdy nic podobnego nie przydarzyło.

Miałam nadzieję, że tą moją nieśmiałą próbą wprowadzenia pewnej lekkości do rozmowy zdołam wywołać jego uśmiech, ale chyba tego nawet nie zauważył. Ze szklaneczką w rękę przemierzał pokój dużymi krokami, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby nie potrafił jednocześnie mówić i stać spokojnie.

— Do następnego spotkania doszło na plaży. Pewien znajomy podarował mi deskę surfingową przywiezioną aż z Australii. Owego dnia dał wiatr północny pędząc z dużej odległości wielkie fale. Idealna pogoda na surfing. Pływałem na desce do pory odpływu, a kiedy wyszedłem z wody siny z zimna, bo nie było mnie wówczas stać na odpowiedni kostium ochronny, zauważyłem na wydmach Annabellę. Obserwowała moje wysiłki. Nie mam pojęcia, jak długo siedziała na piasku. Miała na sobie czerwoną spódnicę, a jej czarne, luźno puszczone włosy rozwiewał wiatr. Oprócz niej nie było na plaży żywego ducha, domyśliwszy się więc, że czeka na mnie, wdrapałem się na wydnię i opadłem na piasek. Pamiętam, że paląc papierosy zatopiliśmy się w rozmowie, a rosnące wokół nas sitowie przyginał do ziemi wiatr głaszcząc je niby lśniące futro. Kiedy ramię w ramię wracaliśmy do domu, pola golfowe pachniały tymiankiem, a dwóch mijających nas graczy zerknęło najpierw na Annabellę, potem na mnie i na ich twarzach odmalowała się zazdrość. Wprawiło mnie to w znakomity nastrój. Zazdrosne spojrzenia towarzyszyły mi wszędzie, gdziekolwiek się z nią wybierałem: w pubie, na plaży, na przejażdżce samochodem. Gdy zatrzymywaliśmy się na czerwonym świetle, ludzie idący chodnikiem odwracali ku nam głowy i wlepiali w nas wzrok szczerząc zęby w uśmiechu.

— Przypuszczalnie podziwiali was jako przystojną parę.
— Chyba się raczej dziwili, dlaczego taka rewelacyjna dziewczyna zadaje się z nieopierzonym i tyczkowatym młokosem. Zazdrościli mi, ale zarazem pewnie i śmieli się ze mnie w duchu.

— Jak długo to trwało?

— Dwa miesiące. Nie, trzy. To było naprawdę skwarne lato. Ona tłumaczyła wszystkim, że jest za gorąco na powrót z synem do rozprażonego Londynu i kilkakrotnie przedłużała swój pobyt w Penmarron.

— Opowiadała o mężu?

— O Collinsie? Niewiele. Z całą pewnością nie wyrażała się o nim z wielkim afektem, a wieść gminna głosiła, że Annabelle wyszła za mąż dla pieniędzy. To, że prawie nie wspominała o Lesliem, nie tylko mi nie przeszkadzało, lecz wręcz mi było na rękę. W ten sposób mogłem uniknąć poczucia winy. Jeśli się człowiek naprawdę stara, potrafi odsunąć od siebie wyrzuty nieczystego sumienia. Ja sobie nie zdawałem sprawy, że posiadam taką umiejętność, ajednak... Wszystko stawało się prostsze. ,

— Być może w wieku dwudziestu lat jest to po prostu sposób na życie.

— Mówisz jak doświadczona życiowo kobieta. Jak Phoebe.

— Chciałabym być taka.

Wciąż biegał po pokoju niecierpliwymi, szybkimi krokami, jak uwięziony tygrys.

— Działo się to mniej więcej o tej samej porze roku, koło połowy września. Natomiast pogoda wtedy wciąż dopisywała. Nie padało tyle co teraz, dni były słoneczne i ciepłe. Kiedy więc Annabelle oznajmiła mi nagle, że wraca do Londynu, zaskoczyła mnie tym kompletnie. Tak jak podczas naszego pierwszego spotkania, znów znajdowaliśmy się na plaży. Przyszliśmy popływać. Trwał odpływ, woda zalewała nagrany słońcem piasek, morze przybrało barwę jadeitu. Siedzieliśmy rozluźnieni paląc papierosy, więc rzucona

znienacka nowina w pierwszej chwili całkowicie mnie oszłomiła. Spięty wewnętrznie czekałem na przyływ nieutulonego żalu, nic jednak takiego nie nastąpiło. Odczułem natomiast pewną ulgę. Gdzieś w podświadomości od pewnego czasu wykluwał mi się zamiar zakończenia tego związku na takim etapie, na którym oboje jeszcze czerpaliśmy z niego radość. Nie chciałem natomiast, by stracił świeżość i zwietrzał. Ponadto zacząłem sobie zdawać sprawę, że muszę wrócić do pracy. W moim życiu malowanie zawsze odgrywało najważniejszą rolę i jego brak zaczynał mi teraz dotkliwie doskwierać. Pragnąłem odwrócić się plecami do wszystkiego, skoncentrować się na malowaniu, pogrążyć w nim. Rok praktyki z Chipsem dobiegał końca, chciałem wyruszyć w świat, by się jeszcze czegoś nauczyć. Miałem zamiar wyjechać do Ameryki. Zacząłem mówić coś banalnego, ale Annabelle mi przerwała'. Wtedy właśnie powiedziała mi, że jest w ciąży. „To twoje dziecko, Danielu” — oświadczyła. Wiesz, kiedy byłem w wieku dojrzewania, odchodziłem od zmysłów, ze strachu na samą myśl o takiej sytuacji. Zrobić dziewczynie dziecko. Dziewczynie, której się nie chce poślubić. Proces o uznanie ojcostwa, wściekły rodzic, ślub pod przymusem. Koszmar. A teraz to właśnie się stało, tyle że scenariusz jeszcze się nie wyczerpał do końca. Annabelle nadal coś mówiła i stopniowo zaczęło docierać do mego sparaliżowanego szkiem mózgu, że ona nic ode mnie nie chce. Nie chce rozwodu, nie chce, żebym ją gdzieś ze sobą zabrał, wreszcie nie chce, żebym się z nią ożenił. I stanowczo nie chce żadnych pieniędzy. Obawiałem się, że może w tym tkwić jakiś haczyk. Kiedy w końcu ustał jej potok słów, zapytałem ostrożnie: „Co na to powie mąż?”. Annabelle ze śmiechem stwierdziła, że nie będzie stawiał żadnych pytań. Odparłem, że nie mogę w to uwierzyć, bo żaden facet będący przy zdrowych zmysłach, nie przyjmie ot tak sobie cudzego dzieciaka. Ona mi na to, że Leslie Collins to uczyni, aby zachować twarz i ocalić dumę. On ponad wszystko w świecie boi się wystawić na śmieszność. Bardzo dba o to, co

powiedzą i pomyślą koledzy, liczy się z ludzką opinią. Stworzył sobie opinię człowieka praktycznego, nie bawiącego się w sentymenty i nie pozwoli, aby cokolwiek zniszczyło ten wizerunek. Potem, ujrawszy wyraz mojej twarzy, aż się zaniósł od śmiechu i rzekła: „Nie martw się Danielu, naprawdę nie będzie cię ścigal bronią w rękę.” „Ale to moje dziecko”, odparłem, na co ona odrzuciła papierosa, odgarnęła włosy z czoła i oświadczyła: „Nie zawracaj sobie tym głowy. Ono będzie miało dobry dom”. Powiedziała to tak, jakby chodziło o psa.

Umilkł i zaprzestał nerwowej biegania. Stał teraz na środku pokoju i wpatrywał się w szklaneczkę z alkoholem. Na dnie pozostało jeszcze trochę whisky, szybkim ruchem ręki wlał tę resztę płynu do gardła. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie należy sobie następnej kolejki, bo już i tak sprawiał wrażenie człowieka, który topi troski w alkoholu i w nim szuka zapomnienia. Podeszedł wprawdzie do lodówki, ale tylko po to, by odstawić na jej blat pustą szklaneczkę. Potem zauważył, że już się na dworze zrobiło całkiem ciemno, więc zasunął ciężkie zasłony, odcinając jasny pokój od ponurej nocy.

Obrócił się twarzą do mnie.

— Nie odezwałaś się ani słowem.

— Nie potrafię wymyślić nic mądrego.

— Jesteś wstrząśnięta i oburzona.

— Nonsens. Nie mam prawa być ani wstrząśnięta, ani oburzona. Nie mam żadnego prawa zajmować w tej kwestii jakiegokolwiek stanowiska. Przykro mi jedynie, ze względu na ciebie, że tak się sprawy potoczyły.

— Jeszcze ci nie opowiedziałem wszystkiego. Chcesz wysłuchać reszty?

— Tak, jeżeli ci na tym zależy.

— Owszem. Ja!., od lat nie czułem tak przemożnej potrzeby mówienia. Nie wiem, czy potrafiłbym teraz przestać, nawet gdybym chciał.

<

— Czy zwierzyłeś się z tego komukolwiek?

— Tylko Chipsowi. Z początku nie mogłem się przełamać i wszystko dusiłem w sobie. Strasznie się wstydziłem. Leslie Collins nie jest jedynym, który się boi wyjść na durnia. Nigdy jednak nie byłem zbyt dobry w skrywaniu uczuć, a kiedy przez kilka dni z rzędu pętałem się po pracowni jak ogłupiały i wszystko leciało mi z rąk, Chips stracił cierpliwość i zaczął się dopytywać, co się ze mną dzieje. Wtedy mu powiedziałem. Wszyściutko. On mi nie przerywał, tylko siedział w swym wygniecionym fotelu, palił fajkę i słuchał. Skończywszy swe wynurzenia doznałem tak wielkiej ulgi, że nie mogłem się sobie nadziwić, dlaczego tak długo zwlekałem, a nie wyznałem mu wszystkiego od razu.

— Jak zareagował?

— Nie odezwał się ani słowem. Palił i wpatrywał się w przestrzeń. Rozmyślał. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, i byłem niemal pewien, że każe mi spakować manatki, wynieść się i już nigdy swą obecnością nie kalać progów Holly Cottage. Jednakże po dłuższej chwili wytrząsnął jedynie popiół z fajki i zawyrokował: „Chłopcze, zostałeś nabrany”. A potem zaczął mówić o Annabelli. Powiedział, że ona nigdy się dobrze nie prowadziła i zawsze szukała byle okazji, żeby zdradzić męża, tylko potrafiła to sprytnie ukrywać. Jej zachowanie tego lata wcale nie było wyjątkiem. A jeśli chodzi o poczęte dziecko, ciągnął, to w grę wchodzi też drugi mężczyzna, pewien farmer z pobliskiego Falmouth, żonaty, z dużą rodziną. Wszystko wskazywało na to, twierdził Chips, że to tamten jest prawdziwym ojcem tego dziecka. I ona o tym dobrze wie, dodał. Kiedy istotna treść tej informacji dotarła do mojej świadomości, poczułem się znacznie gorzej niż przedtem. Wprawdzie doznałem pewnej ulgi, lecz równocześnie uprzytomniłem sobie, że zostałem oszukany. Ucierpiała dotkliwie moja duma, a fakt, że Annabelle zdradzała mnie z jakimś farmerem, zadał cios mojej nowo zdobytej męskości. Nie brzmi to zbyt budująco, prawda?

— To zrozumiała reakcja. Jeśli jednak informacje Chipsa były prawdziwe, dlaczego ona, na miły Bóg, twierdziła, że to twoje dziecko?!

— Dokładnie to samo pytanie postawiłem Chipsowi. Odparł, że to typowy sposób postępowania Annabelli. Ona najlepiej się bawi, jeśli siejąc spustoszenie może zostawić za sobą szlak złożony z poczucia winy i wyrzutów sumienia osób, które wybrała na swoje ofiary. Wprost nie do wiary, nie sądzisz?

— Rzeczywiście, aż się nie chce wierzyć, ale skoro Chips tak twierdził, widać taka była.

— Też mu wierzyłem. Jeszcze tego samego wieczoru poszedł do White Lodge zobaczyć się z Annabelle. Odbył z nią długą rozmowę. Z początku próbowała go okłamywać obstając przy swoim, że okoliczności są jednoznaczne i dziecko musi być moje. Dopiero, kiedy przedstawił jej fakty, te same, które wcześniej wyjawiał mnie, to znaczy powiedział o farmerze i podał jego nazwisko, załamała się przyznając, że nie wie, czyje to dziecko. Po prostu wygodniej jej było myśleć, że ono jest moje, i tyle. Nie spotkałem się z nią już nigdy więcej. Kilka dni później wróciła do Londynu z synem i jego niańką. My z Chipsem zaś doszliśmy zgodnie do wniosku, że na mnie też pora. Już zbyt długo dreptałem w miejscu.

— Czy Phoebe wiedziała o wszystkim?

— Nie. Wolałem, żeby się nie dowiedziała, a i Chips przyznał, że lepiej będzie pozostawić ją w nieświadomości. Dzięki temu jej stosunki z panią Tolliver mogły pozostać niczym nie skrzępowane, a to w małej, ścisłej społeczności, jaką tworzą mieszkańcy Penmarron, było dość istotne.

— Chips był mądrym człowiekiem.

— O, tak. Mądrym i wyrozumiałym. Wprost nie potrafię ci opisać, ile mi okazał serca w owym czasie. Niczym najlepszy ojciec. Załatwił mi wyjazd i pożyczył trochę pieniędzy, żebym nie musiał klepać biedy, zanim stanę na nogi. Dał mi listy polecające do swoich przyjaciół w Nowym

Jorku. Ale najważniejsze było to, że wysłał mnie do Londynu, do Petera Chastala. Galeria Chastala istniała wówczas dopiero dwa lata, ale Peter już zdołał sobie wyrobić renomę w artystycznym świecie. Poszedłem do niego z listem rekomendacyjnym od Chipsa i wielką teką rysunkową swoich prac. On je przejrzał i niemal od razu zgodził się wystawić, a niewiele później, jeszcze zanim opuściłem Anglię, zaoferował mi swoje usługi w charakterze agenta. I jest nim do dziś.

Przypomniała mi się pełna zachwytów recenzja przeczytana w pociągu.

— Dobrze trafiłeś. On się naprawdę stara i wykonuje dla ciebie niezłą robotę.

— Tak. Miałem szczęście.

— Szczęście szczęściem, ale na swój sukces również i sam zarobiłeś. Chips zwykł mawiać, że talent nie wystarczy, liczy się także solidna praca.

— Chips zwykł mawiać wiele mądrych rzeczy.

— Czy to praca trzymała cię z dala o'd kraju przez te jedenaście lat?

— Chciałbym przytaknąć, ale nie mogę. Nie lubię myśleć, że próbowałem uciec od tego, co się wtedy stało, w istocie jednak była to chyba próba ucieczki. Wciąż dalej i dalej. Najpierw Nowy Jork, potem Arizona, wreszcie San Francisco. Właśnie tam po raz pierwszy zetknąłem się ze sztukąjapońską i zainteresowałem się nią. W San Francisco zamieszkuje duża grupa społeczności japońskiej. Przypadkowo trafiłem do tego środowiska i związałem się z kręgiem młodych malarzy. Im dłużej z nimi pracowałem, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, jak mało jeszcze umiem. Japońskie malarstwo ma wielowiekowe tradycje. Ono mnie urzekło. Wyjechałem do Japonii, a tam ponownie stałem się uczniem. Uczyłem się pod kierunkiem bardzo starego i sławnego artysty. Czas przestał się liczyć. Spędziłem w Japonii cztery lata. Kiedy Wspominam ten pobyt, wydaje mi się nieraz, że przebywałem tam tylko kilka dni, zaś kiedy indziej

mam wrażenie, że całe wieki. Ta wystawa w galerii Petera Chastalajest owocem pracy tamtych lat. Mówiłem ci już, że nie chciałem przyjeżdżać na jej otwarcie, takie imprezy naprawdę mnie odstręczają. Nie był to wszakże jedyny powód mojej niechęci do powrotu, bo poza tym ja się po prostu bałem wrócić do Anglii. Będąc na drugim końcu świata udawało mi się wyrzucić ze świadomości myśli o Annabelli i dziecku, które mogło być moje. I tak jednak niekiedy prześladowały mnie nocne koszmary, w których zwidywało mi się, żejestem na londyńskiej ulicy, a Annabelle z moim dzieckiem zbliża się do mnie z naprzeciwka.

— Bałeś się? Czy zatem przyjazdu do Kornwalii nie uznałeś za zbytne ryzyko?

— Chyba samo przeznaczenie tak chciało. Spotkanie nieznajomego w pubie ijego propozycja podwiezienia była zapewne zrzędzeniem losu. O mały włos nie zrezygnowałem, a jednak przeważało przemożne pragnienie zobaczenia Phoebe.

Wróciłam myślą do dnia wczorajszego. Z pamięci napłynął szereg luźnych obrazów: Daniel u Phoebe, spotkanie ze mną, Daniel siedzący w barze, gdy w całkowitym milczeniu słucha; jak rozprawiam o pani Tolliver i Charlocie.

— Danielu, kiedy mówiłam ci wczoraj, że Charlotta jest tu, w Penmarron, musiałeś się domyślić, że ona jest *tym* dzieckiem.

— Istotnie. Poczułem również pewność, że ją spotkam. Wiedziałem, że to nieuchronne. Wydarzenia układały się w jakiś niezwykły wzór, na kształt którego nie miałem wpływu. Kiedy przyjechaliśmy do domku Phoebe, od razu po wyjściu z samochodu ogarnęło mnie przeczucie, że Charlotta jest gdzieś w pobliżu. Byłem tego pewien, jeszcze zanim Lily powiedziała nam o jej przybyciu. Potem, gdy wyszedłem po Phoebe i małą, żeby przyprowadzić je na herbatę, idąc wzdłuż falochronu powtarzałem sobie, że po latach niepewności nareszcie poznam prawdę. Wierzyłem

w to. One, pochłonięte rysowaniem, nie zauważyły, że ktoś do nich podchodzi. Dopiero gdy się znalazłem całkiem blisko, Phoebe zauważyła mnie i wymówiła moje imię. Wówczas Charlotta podniosła głowę znad rysunku. To była buzia, którą znałem z fotografii matki. Oto nastąpiło rozstrzygnięcie moich wątpliwości... A więc Annabelle nie wiedząc na pewno kto jest ojcem dziecka, miała rację, mówiąc, że to ja.

Zatem tak wyglądała cała prawda. Miałam wrażenie, że głosu Daniela słucham już całe wieki. Wciąż stałam w tym samym miejscu, bolały mnie krzyże, czułam się pusta i wyczerpana do cna. Nie miałam pojęcia, która godzina. Z dołu, z najbardziej ruchliwej części hotelu dochodziły dźwięki i zapachy. Ludzkie głosy, brzęk talerzy, cienkie tony orkiestry grającej jakąś bezpretensjonalną melodyjkę. Zapewne kiedyś będę musiała wrócić do Holly Cottage, do Phoebe i potrawki z kurczaka, lecz jeszcze nie teraz.

— Umrę, jeśli natychmiast nie usiądę — jęknęłam.

Podeszłam do kominka i osunęłam się na poduchy jednego z foteli. Wsunęłam się w głąb miękkiego mebla wbijając wzrok w fałszywe płomienie pracowicie liżące sztuczne główne. Nie miałam siły ruszyć głową, więc tylko uchem złowiłam odgłos płynu lejącego się do szklaneczki. Daniel przyniósł sobie drugiego drinka i usadowił się po drugiej stronie kominka. Spojrzałam mu prosto w oczy, patrzyliśmy na siebie z powagą.

— No więc opowiedziałeś mi wszystko, ale wciąż nie wiem, z jakich pobudek to uczyniłeś.

— Musiałem się komuś zwierzyć, a ty jesteś jakby jednym z elementów tego układu. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Wcale nie. Nie jestem częścią tego wszystkiego... I ty też już nie jesteś — dodałam po namyśle. — To zamknięta sprawa Daniela. Zakończone, zapomniane. Było, minęło. Podejrzywałeś, iż Charlotta może być twoim dzieckiem, teraz wiesz na pewno, że tak jest. To jedyna różnica. Onajest

nadal Charlottą Collins, legalną córką Lesliego Collinsa, wnuczką pani Tolliver i małą przyjaciółeczką Phoebe. Zaakceptuj to i zapomnij o reszcie. Zapomnij, bo naprawdę nie ma innego wyjścia. Fakt, że odkryłeś prawdę, nie ma tu nic do rzeczy i niczego nie zmienia. Nie byłeś dotąd odpowiedzialny za Charlotte i nie jesteś nadal. Musisz myśleć o niej jak o dziewczynce spotkanej przy falochronie, która ma talent do rysowania i twarz podobną do oblicza twojej matki.

Nie od razu odpowiedział.

— Gdyby wszystko było takie proste, nie byłoby tak źle i mógłbym to zaakceptować, ale...

— Ale? O co ci chodzi?

— O to, co ty zaobserwowałaś w pociągu, a Lily, która jest niegłupią niewiastą, od razu nazwała po imieniu. O to, że Charlottą jest nieszczęśliwa i w oczywisty sposób zaniedbywana.

Odwrociłam spojrzenie kierując oczy na kominek. Gdyby był prawdziwy, mogłabym w tym trudnym momencie rozładować napięcie poprawiając kłodę w palenisku. Niestety, to rozwiązanie odpadało i nie miałam pojęcia jak wybrnąć z impasu. Ja wiedziałam, Phoebe wiedziała i Lily wiedziała, że słowa Daniela odpowiadają prawdzie, co do joty. Ale przyznanie mu teraz racji mogło Charlottcie nie przynieść nic dobrego, a sprawić jedynie, że dla Daniela sytuacja stałaby się jeszcze trudniejsza do przyjęcia.

Westchnęłam, gorączkowo szukając w duchu odpowiednich słów.

— Tego, co mówi Lily, nie możesz brać dosłownie. Dna zawsze miała skłonność do przesadnego dramatyzowania. Jak wiesz, trudno zrozumieć małe dziewczynki w wieku Charlotty. Stają się wtedy tajemnicze i zamknięte w sobie, a ona w dodatku jest raczej nieśmiała...

Podniósł oczy i po raz drugi spotkałam się z nim wzrokiem. Przywołałam na twarz uśmiech i zrobiłam pogodną, a zarazem rozsądną minę.

— ... cóż, spójrzmy też prawdzie w oczy. Pani Tolliver istotnie nie wygrałaby konkursu na najmilszą babcię. Oto dlaczego Charlotta tak łąnie do Phoebe. Mimo wszystko nie sądę, żeby jej się w White Lodge działa jakaś krzywda. To prawda, że nie ma się z kim bawić i nie spotyka dzieci w odpowiednim wieku, ale to' tylko dlatego, że jej rówieśnicy ze wsi wrócili po wakacjach do szkoły. I wbrew temu, co twierdzi Lily, jestem pewna, że Betty Curnow spędza z Charlotta dużo czasu i jest dla niej miła. Nie wolno ci nadmiernie wyolbrzymiać wszystkiego w swojej wyobraźni, Danielu. Poza tym jutro zabieramy ją na piknik. Nie zapomniałeś o tym, co? Obiecałeś nas poprowadzić do Penjizal i pokazać nam foki... nie możesz się wycofać.

— Nie wycofam się.

— Teraz rozumiem, dlaczego ociągałeś się z decyzją, czy jechać z nami. Ta wycieczka może nie być dla ciebie łatwa.

Pokręcił głową.

— Nie wydaje mi się, aby w taki czy inny sposób jeden dzień widziany w kontekście dwóch oddzielnych istnień wprowadził istotne zamieszanie.

Starałam się dociec sensu.

— Nie wiem, o co ci chodzi, ale jestem pewna, że masz rację.

Roześmiał się. Orkiestra na dole zaczęła grać inną melodię, poczułam jakiś smakowity zapach.

— Jedź ze mną z powrotem do Holly Cottage. Phoebe będzie zachwycona. Zjemy potrawkę, takjak planowaliśmy. Lily przygotowała jej tyle, że można by nakarmić całą armię.

Odmówił.

Spojrzałam na pustą szklaneczkę po whisky, którą postawił na podłodze pomiędzy stopami.

— Obiecuj mi, że nie będziesz tu siedział cały wieczór i zapijał się na śmierć.

Ponownie pokręcił głową.

— Jak ty niewiele o mnie wiesz. Jak mało się znamy nawzajem. Nigdy nie piję w ten sposób i nigdy w życiu tego nie robiłem.

— Zjedz coś. Pójdiesz na kolację?

— Tak. Później. Zejdę na dół do restauracji.

— No cóż, jeśli naprawdę nie chcesz ze mną pojechać, będę musiała wracać sama. I już się muszę zbierać, bo inaczej Phoebe pomyśli, że o niej zapomniałam albo że miałam wypadek, lub uroi sobie jakieś jeszcze gorsze okropieństwa.

Podniosłam się z fotela, Daniel także. Staliśmy naprzeciw siebie jak ludzie na oficjalnym przyjęciu, gdy nadeszła pora zakończenia imprezy.

— Dobranoc, Danielu.

Położył mi ręce na barkach i schylił się całując mnie w policzek. Długą chwilę wpatrywałam mu się w oczy. Potem objęłam go za szyję, przyciągnęłam jego głowę i pocałowałam w usta. Ramiona Daniela zamknęły się wokół mnie, w uścisku tak ciasnym, że przez gruby, wełniany sweter mogłam wyczuć bicie serca.

— Och, Prue.

Przytuliłam mu policzek do ramienia i poczułam, jak w słodkiej pieśczoce dotyka wargami moich włosów. Jego uścisk był czuły, bez pasji, bez wyraźnego zmysłowego przesłania, dlaczego zatem ogarnął mnie raptem płomień niemal bolesnego pożądania, dlaczego nogi miałam jak z waty, a w oczach piekły niemądre, nie wypłakane łzy? Czy miłość może spaść na człowieka tak nagle? Na kształt rakiety odpalonej w ciemne niebo, która eksplodując w bezkres kosmosu znaczy za sobą lśniący szlak wielobarwnych gwiazd?

Staliśmy bez słowa obejmując się wzajemnie jak dzieci, które trzymając się kurczowo czerpią pociechę z własnej bliskości. Cisza była słodka i kojąca. W końcu Daniel przerwał milczenie.

— Jeśli chodzi o ten dom w Grecji... chcę, żebyś wiedziała, że mówiłem poważnie, kiedy cię zapraszałem.

— Czy w ten sposób prosisz mnie, żebym z tobą pojechała teraz?

— Nie.

Odsunęłam się nieco i spojrzałam mu w twarz.

— Odkładałam wyjazd. Na razie — odparł na nieme pytanie malujące się w moich oczach. — Nie mogę stale uciekać od siebie. Ale któregoś dnia...

Znów mnie pocałował, tym razem szybko i energicznie, jakby przywołując się do rozsądku.

— Musisz już iść — rzekł zerkając na zegarek. — Potrawka się spali na węgiel, a Phoebe znacznie podejrzewać, że ci zrobiłem jakąś krzywdę. — Troskliwie pomagał mi włożyć kurtkę, a kiedy wsunęłam ręce do rękawów obrócił mnie przodem do siebie i własnoręcznie zapiał mi wszystkie guziki.

— Zejdę z tobą.

Ramię w ramię przemierzaliśmy długi korytarz mijając szereg zamkniętych drzwi, za którymi nie znani nam ludzie odpoczywali, kochali się, spędzali miodowy miesiąc, śmiali się, kłócili i godzili.

W holu panowało niemal świąteczne ożywienie. Kręciło się tu dziś wielu hotelowych gości, wchodzili i wychodzili z baru, kierowali się do restauracji lub siadali przy koktajlowych stoliczkach, na których stały miseczki z orzeszkami. Mieszanina głosów, podniesionych z konieczności przekrzyczenia orkiestry, napełniała gwarem całe wnętrze. Mężczyźni ubranbyli na ogół w aksamitne marynarki i muszki, a panie miały na sobie suknie wieczorowe lub długie spódnice i obszyte cekinami bolerka.

Nasze nagłe pojawienie się wśród tego wytwornego grona wywołało pewne poruszenie. Milkły rozmowy, a brwi unosiły się do góry w wyrazie lekkiego zdziwienia, kiedy szliśmy przez hol do wyjścia. Drzwi obrotowe wypchnęły nas w ciemność nocy. Nareszcie przestało padać, ale wiatr nadal hulał i zawodził w konarach drzew.

Daniel rzucił okiem na niebo.

— Zanosi się chyba na zmianę pogody.

— Tak. Jutro może być ładnie. Ten wiatr z pewnością rozgoni deszczowe chmury.

Otworzył mi drzwiczki samochodu.

— O której się spotkamy?

— Koło jedenastej. Przyjadę po ciebie, jeśli chcesz.

— Nie trzeba. Zabiorę się na łebka albo złapię autobus do Penmarron. Jakoś sobie poradzę i zjawię się na pewno. Nie odjeżdżajcie beze mnie.

— Musimy czekać na ciebie, bo przecież masz być naszym przewodnikiem.

Usadowiłam się za kierownicą.

— Przepraszam za ten wieczór.

— Cieszę się, że opowiedziałeś mi to wszystko.

— Ja też jestem zadowolony, że się na to zdobyłem.

Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

— Dobranoc, Danielu.

— Dobranoc.

Zapуściłam silnik i krętym podjazdem odjechałam w mrok rozcinany wiązką samochodowych świateł. Nie wiem, jak długo jeszcze Daniel stał na parkingu po moim odjeździe.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tego wieczora gawędziłam z Phoebe, aż do późnej nocy. Obie oddałyśmy się z zapałem przywoływaniu wspomnień. Wróciłyśmy pamięcią do dni, kiedy żył Chips, potem cofnęłyśmy się w czasie jeszcze bardziej, sięgając do dzieciństwa Phoebe spędzonego na farmie w Wichrowym Pustkowiu, gdzie mogła biegać do woli i kłusować na swym włochatym kucyku po plażach północnego, zimnego morza. Mówiłyśmy o moim ojcu i szczęściu, jakie znalazł ze swą drugą żoną, a Phoebe odgrzebywała w pamięci lata dziecięcych wypraw z bratem do Dunstanbrugh i Bambrugh. Snując barwne wspomnienia z sezonu zimowych polowań opowiadała mi o myśliwych w różowych, jaskrawych niczym jagody kurtekach i o wyłtach śmigających ławą przez wypełnione śniegiem bruzdy zagonów.

Rozmawiałyśmy o Paryżu, gdzie Phoebe kończyła studia, i małym domku w Dordogne, który wraz z Chipsem kupili pewnego roku, kiedy wysokie dochody ze sprzedaży prac pozwoliły im na taki luksus.

Ja rozprawiałam potem dłuższą chwilę o Marcusie Bernsteinie, mojej pracy i małym mieszkanku w Islington.

— Następnym razem, kiedy przyjadę do Londynu, zatrzymam się u ciebie — obiecała Phoebe.

— Świetnie, tylko nie mam, niestety, pokoju gościnnego.

— Nie szkodzi, mogę spać na podłodze.

Powiedziała mi następnie o nowym, niedawno utworzonym w Porthkerris Kole Miłośników Sztuki, którego była założycielką, opisała dom pewnego sławnego, starego ceramika, który wrócił do Porthkerris, gdzie osiemdziesiąt lat temu przyszedł na świat w rybackiej rodzinie, a teraz chciał spędzić ostatnie lata życia w otoczeniu rojnych i wąskich uliczek swojego dzieciństwa.

Mówiliśmy o Lewisie Falconie.

Żadna z nas jednak nie napomknęła słowem o Danielu. Jakby za obopólną milczącą umową ani ja, ani Phoebe nie wymieniliśmy jego imienia.

Było już dobrze po północy, kiedy Phoebe zdecydowała się w końcu pójść do łóżka. Wspięłam się za nią po schodach, by jej pomóc przygotować poślanie i ściągnąć co kłopotliwsze części ubrania. Wsunęłam pod koce gorący termofor, a kiedy wychodziłam, mościła się wygodnie w ciepłutkiej pościeli i zabierała do czytania książki.

Wprawdzie powiedziałyśmy sobie „dobranoc”, lecz ja jeszcze nie zamierzałam udać się na spoczynek. Mój umysł był tak trzeźwy i czujny, jakbym zaaplikowała sobie silnie pobudzający środek. Nie chciałam w łóżku przeżywać mąk oczekiwania na sen, który — wiedziałam — na pewno nie przyjdzie. Zeszłam zatem do kuchni, zrobiłam sobie kawy i postanowiłam posiedzieć przy kominku. Ogień przygasł, a głównie zamieniły się w kupkę szarego popiołu, dorzuciłam dREW i obserwowałam, jak się tła, potem buchają płomieniem. Zwinęłam się w kłębek w starym fotelu Chipsa, sfatygowane wewnątrz przepastnego mebla było wygodne i nieodparcie kojarzyło mi się z jego dawnym właścicielem. Zatęskniłam za obecnością Chipsa, zrodził się we mnie bunt, że ten wspaniały człowiek już nie żyje. Chciałam, żeby był ze mną tutaj, w tym pokoju, bo ja go teraz potrzebowałam. Potrzebna mi była jego pomoc i rada.

Niczym najlepszy ojciec. Pomyślałam o Chipsie i fajce, którą trzymał w zębach, słuchając, kiedy młody Daniel opowiadał mu o Annabelli Tolliver i dziecku. O Annabelli, z jej ciemnymi włosami, twarzą o kocim wyrazie, szarych oczach i zagadkowym uśmiechu.

To twoje dziecko, Danielu.

Słyszałam w myślach również i inne głosy.

Jak pani Tolliver nie chce sama opiekować się dzieckiem, to niech kogoś najmie, kto by za pieniądze ją w tym zastąpił. Lily Tonkins. Lily, której głos aż się zmienił z oburzenia. Lily, wyładowująca swój gniew na misce naleśnikowego ciasta.

I głos mojej matki, głos pełen irytacji, boja nie chciałam dopasować się do szablonu, który ona układała dla mnie przez całe życie.

Doprawdy, nie wiem, czego ty szukasz, Prue!

Odparłam jej wówczas, że niczego nie szukam. Nie szukałam, niemniej znalazłam.

Czytałam kiedyś, że zdarzają się takie sytuacje, w których człowiek tylko przez czysty przypadek dokonuje szczęśliwego odkrycia. Ja właśnie dokonałam takiego odkrycia. Moim szczęśliwym odkryciem był Daniel. Patrzyłam wczoraj, jak idąc wzdłuż starego falochronu zbliża się do mnie coraz bardziej, jak wkracza w moje życie. Dziś powiedział: „Tak mało się znamy”. To prawda, lecz tylko w pewnym sensie. Dzień. Dwa dni. Cóż za różnica? Za krótko, ktoś mógłby rzec: Za krótko na coś innego, oprócz powierzchownej znajomości.

Ale nie w moim przypadku. Dla mnie czas i ciąg zdarzeń jakimś cudownym sposobem zostały zamknięte w jednej małej pigułce, jakbym w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin przeżyła z Danielem całe życie. Trudno uwierzyć, że nie znałam go od zawsze, zdawać się mogło, że nasze dwa oddzielne istnienia już zostały połączone na wzór pasm splecionych w jednym motku przędzy.

Pragnęłam, aby tak pozostało. Byłam gotowa zostawić mu swobodę, postępować jak Phoebe, która bez zbędnych

pytań pozwoliła mu odejść. Chciałam go mieć dla siebie, bałam się go stracić. Wiedziałam, że okoliczności nie są dla mnie sprzyjające. Częściowo dlatego, że Daniel nie jest zwykłym mężczyzną — to artysta, niespokojny duch, poszukiwacz nowych wrażeń. Taki człowiek zawsze pragnie być wolny. Jednak nieskończenie większym zagrożeniem było wspomnienie o Annabelli, istnienie Charlotty.

Charlotta. Któż mógł wiedzieć, jakich urazów doznała, narzucona mężczyźnie, który nie był jej ojcem i doskonale o tym wiedział. Widziałam go bardzo krótko, lecz patrząc na jego zniecierpliwienie w stosunku do dziewczynki, kompletny brak uczucia, kiedy jej wciskał dziesięciofuntowy banknot z miną, jakby spłacał jakiś uciążliwy dług, powzięłam do niego odruchową niechęć.

Annabelle. Sprawczyni tylu zgryzot i niedoli. *Ona najlepiej się bawi, jeśli siejąc spustoszenie może zostawić za sobą szlak złożony z poczucia winy i wyrzutów sumienia osób, które wybrała na swoje ofiary.* I tak się stało. Uczyniła to swą samowolną namiętnością, niszczącą jak huragan. Ten huragan znowu się zerwał. Ogromnie się przełękałam, bo czułam, iż jego siła na zawsze rozdziela mnie z Danielem.

Nie mogę stale uciekać od siebie.

Pomyślałam o domku w Grecji, domku w kształcie kostki cukru, z bielonym tarasem i pelargoniami o kwiatkach w jaskrawych kolorach. W pamięci, na kształt zjawy, mignął mi strzęp jakiegoś poematu na poły zapomnianego.

*O, moja miłości, moja ukochana,
nie będziemy już więcej odwiedzać
naszej letniej krainy za morzami.*

Stojący na gzymsie kominka zegar wybił jedną srebrną nutę. Godzina pierwsza. Odstawiłam pusty kubek i z pewnym wysiłkiem dźwignęłam się z fotela. Wciąż nie odczuwając senności podeszłam do radia i kręcąc gałką starałam się złapać jakąś stację nadającą muzykę. Po chwili

z odbiornika popłynęła melodia i słowa, w których rozpoznałam utwór znany mi jeszcze z lat dojrzwania.

*Niech Bóg cię pobłogosławi radością
Gorącą jak słońce na niebie,
Bo mnie już okazał Swą łaskę
Dając mi ciebie.*

Karuzela nadal stała na stoliku, w tym samym miejscu, w którym ją zostawiła Charlotta. Nikt zabawki nie schował, więc zrobiłam to teraz, w obawie, żeby do mechanizmu nie dostał się kurz, który mógłby spowodować zatarcie, i karuzela na dobre mogłaby przestać działać. Nie mogłam znieść nawet myśli, że zepsuta zabawka może zostać odstawiona w kącie i nikt nigdy więcej nie będzie się nią bawił.

Nie potrafię się zdecydować, które ze zwierzątek podoba mi się najbardziej.

Zakręciłam korbką i delikatnie zwolniłam dźwignię. Powoli, statecznie, kolorowe zwierzątka zaczęły się kręcić w koło, ich świecące fałszywym blaskiem cugle załśniły w ogniu jak błyskotki na choince.

*Bez ciebie, bez ciebie
Życiu sensu brak,
Jest piosenką bez melodii, gwizdaną nie w takt.*

Ależ było jeszcze jutro. Nie mogłam się jednak zdecydować, czy boję się tego dnia, czy go wyglądam. Wydawał się nieść ze sobą spore ryzyko. Na pewno wiedziałam jedynie tyle, że we troje pojedziemy do Penjizal oglądać foki. Co będzie potem, nie potrafiłam sobie wyobrazić. Mogłam mieć tylko nadzieję, że z naszego wspólnego wyjazdu wyniknie coś dobrego. Pragnęłam tego ze względu na Daniela, ze względu na Charlotte i — choć było to egoistyczne — ze względu na siebie.

Mechanizm stanął i karuzela stopniowo zwalniając zatrzymała się wreszcie. Wsunęłam ją w czeluść komody, zamknęłam drzwiczki, przekręciłam kluczyk. Ustawiłam ekranik ochronny przed kominkiem, wyłączyłam radio i zgasiłam światło. W całkowitej ciemności ruszyłam na górę po schodach.

Obudziłam się stosunkowo wcześnie, na krzyk dużej, starej mewy witającej wrzaskliwie dzień z dachu pracowni Chipsa, Była dopiero siódma. Moje nie od końca zaciągnięte zasłony ujmowały w ramy wycinek nieba o najbledszym odcieniu błękitu, zasnutego przezrzystą mgiełką. Takie niebo przywodziło na myśl wspomnienie najgorętszych dni lata. Nie było wiatru, a w przezroczystym powietrzu niósł się jedynie wrzask mewy i szept przypływu napełniającego powoli wyżłobienia i dołki w piasku zatoczki. Od okna ciągnęło chłodem, jakby temperatura w nocy mocno spadała. W zimnym tchnieniu czuło się woń wodorostów, zapach poplamionych smołą lin i czystą słońcą świeżej wody, która napłynęła z oceanu. Wymarzony dzień na piknik.

Ubrałam się, zeszłam na dół, zrobiłam sobie kawę i śniadanie dla Phoebe. Kiedy wkroczyłam do niej z tacą, już nie spała. Siedziała oparta o poduszki i wpatrując się w okno obserwowała z wyraźną przyjemnością, jak ciepło jesienno-ego słońca wypala resztki mgiełki.

Położyłam jej tacę na kolanach.

— Są takie poranki — rzuciła bez wstępu — które się pamięta do późnej starości. To jeden z nich. Dzień dobry, moja droga. — Pocałowałyśmy się. — Świetny dzień na piknik.

— Jedź z nami Phoebe.

Wydawało się, że da się skusić.

— Zależy dokąd się wybieracie.

— Daniel chce nam pokazać drogę do Penjizal. Wspominał coś o zalanych wodą basenach, gdzie przypływają foki.

— O, to piękne miejsce! Będziecie zachwycone. Cóż, ja chyba lepiej zrobię zostając w domu. Zejście z klifu jest zbyt strome dla kogoś, kto ma sprawną tylko jedną rękę. Mogłabym ci narobić za dużo kłopotu tracąc równowagę i sfruwając ze skały do morza. — Na samą myśl o tym wybuchnęła swym zwykłym, gromkim śmiechem. — Trzeba jednak przyznać, że trasa wiodąca w dół od domku na górze

jest naprawdę urzekająca. Dokoła rośnie pełno dzikich fuksji, a latem dolina aż brzęczy od ważek. Co chcecie wziąć do jedzenia? Kanapki z szynką? Mamy szynkę? Szkoda, że nie można zrobić kanapek z zimną potrawką, tyle jej zostało z wczorajszej kolacji! Ciekawe, czy Daniel skontaktował się z Falconem. Słyszałam, że jest on właścicielem najpiękniejszego dzikiego ogrodu w Lanyon...

Ciągnęła poranną pogawędkę w sposób typowy dla siebie, wciąż przerzucając się z jednego tematu na drugi. Kusiło mnie, by się zatracić w przytulnej atmosferze pokoju Phoebe i dając sobie spokój z planowaną wycieczką, resztę przedpołudnia spędzić na rozmowie siedząc w nogach mięciutkiego łóżka ciotki. Ale dzbanek na kawę był już pusty, słoneczne promienie padające ukośnie przez otwarte okno grzały coraz mocniej, a z dołu dobiegło trzaśnięcie kuchennych drzwi, co oznaczało na pewno, że przybyła Lily Tonkins.

Rzuciłam okiem na zegar.

— Wielkie nieba! Już po dziewiątej! Będę się zbierać.
— Z ociąganiem wstałam z posłania i zaczęłam układać na tacy filiżanki i talerze.

— Ja też już muszę wstawać.

— Nie, ty nie musisz. Zostań w łóżkujeszczce z godzinkę. Lily lubi, jak rano dłużej sobie poleżysz. Może wówczas spokojnie sprzątać, bo płaczesz jej się pod nogami:

— Zobaczę — odparła Phoebe, ale wychodząc z pokoju zauważyłam, że sięga po tomik C.P. Snowa. Teraz już byłam pewna, że ciotka nie pokaże się na dole przed wybicciem południa.

W kuchni zastałam Lily zawiązującą paski od fartucha.

— Jak się masz dzisiejszego ranka, Prue? Jest piękny, nieprawdaż? Już wczoraj wieczór Ernest mówił mi, że tak będzie. Przepowiedział, że wiatr przegna tę parszywą pogodę. To jego własne słowa. A jak jechałam na moim rowerze drogą za kościołem, to pomyślałam, że jest ciepło jak w czerwcu. Tak tam mocno przygrzewa pod osłoną

stoku. Chodziło mi nawet po głowie, żeby dziś nie przyjechać do pracy, tylko skręcić na plażę i pomoczyć nogi w wodzie.

W holu zadzwonił telefon.

— Coś takiego! Któż to może być?! — zawołała Lily, dokładnie tak samo jak zawsze przy takich okazjach.

— Ja odbiorę — zaofiarowałam się.

Wyszłam do holu i przycupnęłam na krawędzi starej rzeźbionej skrzyni, na której stał aparat telefoniczny.

— Halo — rzuciłam do słuchawki.

— Phoebe? — To był kobiecy głos.

— Nie. Prue.

— A, Prue. Tu Margaret Tolliver. Czy mogę mówić z Phoebe?

— Niestety nie. Jest jeszcze w łóżku.

Spodziewałam się, że przeprosi i powie, że zadzwoni później, tymczasem ona ciągnęła nagłym tonem: — Muszę z nią porozmawiać. Naprawdę nie może podejść? — W jej głosie brzmiała natarczywość, ale i niepewność, co mnie napełniło nieokreślonym lękiem.

— Czy coś się stało?

— Nie. Tak. Prue, ja muszę z nią pomówić.

— Zawołam ciotkę. — Odłożyłam słuchawkę na bok i poszłam na pięterko. Kiedy wsunęłam głowę przez drzwi, Phoebe podniosła znad książki spokojny wzrok.

— Dzwoni pani Tolliver. Chce z tobą koniecznie rozmawiać. Jest dziwnie zdenerwowana.

Phoebe zmarszczyła brwi.

— O co jej chodzi? — Odłożyła książkę.

— Nie wiem. Może ma to coś wspólnego z Charlottą — dodałam puszczając wodze wyobraźni.

Nie zastanawiając się dłużej Phoebe odrzuciła kocę i wstała. Pomogłam jej ubrać szlafrok, zdrowe ramię włożyła do rękawa, resztą okrycia owinęłam ją jak peleryną. Podałam jej pantofle. Gruby warkocz wciąż miała przerzucony na jedno ramię, okulary zsunęły jej się na czubek nosa. Zeszła do holu i podjęła słuchawkę.

— Halo?

Bezspornie rozmowa była ważna, a mogła być również i osobista. Chciałam się więc usunąć do kuchni, poza zasięg głosu, ale Phoebe rzuciła mi błagalne spojrzenie z niemą prośbą o pozostanie pod ręką, jakby się spodziewała, że potrzebnej będzie moralne wsparcie. Przysiadłam zatem w połowie schodów i spomiędzy prętów spoglądałam z góry na ciotkę.

— Phoebe? — Głos pani Tolliver całkiem wyraźnie docierał do miejsca, gdzie się ulokowałam. — Przepraszam, że cię wyciągnęłam z łóżka, ale musiałam z tobą pomówić.

— Słucham.

— Muszę się z tobą zobaczyć.

— Co się... coś pilnego? — Phoebe sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Tak. Teraz. Proszę cię. Chyba... chyba będzie mi potrzebna twoja rada.

— Mam nadzieję, że Charlotta dobrze się czuje.

— Tak. Ona czuje się dobrze, ale przyjdź proszę. Ja... naprawdę chcę z tobą pomówić. To pilne.

— Muszę się ubrać.

— Przyjedź możliwie najszybciej. Czekam na ciebie. — Zanim Phoebe mogła wysunąć jakieś zastrzeżenia, połączenie zostało przerwane.

Ciotka jeszcze chwilę siedziała nieruchomo trzymając przy uchu głuchą, brzęczącą słuchawkę. Patrzyłyśmy na siebie z zakłopotaniem i lękiem, a sądząc z wyrazu twarzy odczuwała obawy podobne do moich.

— Wszystko słyszałaś?

— Tak.

Z zamyśloną miną odłożyła słuchawkę, brzęczenie ustało.

— Cóż tam się mogło stać, na litość boską?! Mówiła jak obłąkana!

Z kuchni dobiegały dźwięki świadczące o tym, że Lily doprowadza do porządku podłogę. Wyśpiewywała przy tym

jakiś psalm, a piskliwe pienia były dobitnym dowodem jej doskonałego humoru.

— Chroń nas, o wszechpotężny Je-ho-wo... Chroń nas, o Pa-a-a-a-nie...

Phoebe wstała.

— No to trzeba się zacząć wybierać.

— Zawiozę cię.

— Najpierw mi pomóż się ubrać.

W sypialni wyjęła z szaf i szuflad komplet ubrań tworzący zestaw nawet bardziej szokujący niż zwykle. Ubrała się z moją pomocą, a potem usadowiła przy toalecie, powierzając się mym wątpliwym talentom fryzjerskim. Rozplotłam jej warkocz i zwinęłam włosy na karku w ciasny węzeł, spięty staromodnymi szyldkretowymi szpilekami.

Przyklękając zawiązałam jej sznurówki u butów.

— Idź i wyprowadź auto — poleciała. — Za moment będę na dole.

Włożyłam kurtkę i wyszłam z domu. Otoczył mnie blask perłowego, ślicznego poranka. Otworzyłam drzwi garażu i, głównie metodą perswazji, skłoniłam stary cioteczny gruchot do wyjazdu. Ustawiłam samochód przed frontowymi drzwiami cierpliwie czekając na wyjście Phoebe. Zjawiła się na progu w jednym z największych i najbardziej fantastycznych kapeluszy oraz w narzuconym na ramiona jaskrawym ponczo, bez wątpienia rodem ze Środkowego Wschodu. Okulary znów jej zjechały na czubek nosa, a fryzura, choć dopiero co wyszła spod moich rąk, już wyglądała tak, jakby się lada chwila miała rozlecieć. Nie sądziłam, iż cokolwiek w wyglądzie ciotki zdoła mnie jeszcze zaskoczyć, ale nieledwie ze wstrząsem stwierdziłam, że po raz pierwszy w życiu oglądam jej twarz pozbawioną typowej radości i pogody ducha. Samo to wystarczyło, żeby wzięła mnie złość na panią Tolliver.

— Wstrętne babsko — mruknęłam, wrzucając bieg.

— Jednego nie mogę zrozumieć — zastanawiała się głośno Phoebe, moszcząc się wygodnie w samochodowym

fotelu i klepnięciem osadzając mocniej kapelusz na głowie. — Dlaczego ja? Nie jestem przecież jakąś jej szczególną przyjaciółką. Daleko bardziej zażyłe stosunki łączą ją z tymi damulkami, z którymi grywa w brydża. Może jednak faktycznie chodzi o Charlotte? Pani Tolliver wie, jak lubię tę małą. Tak, to może być to. — Przerwała raptownie. — Prue, dlaczego tak się wlecemy? Wciąż jedziesz na drugim biegu. Musimy się spieszyć.

Przerzuciłam na trójkę i przyspieszyłam, ale tylko odrobinę.

— Celowo zwalniam, bo chcę ci coś wyjawić, a chciałybym zdążyć wyjaśnić wszystko do końca, zanim dotrzemy do White Lodge.

— O co chodzi?

— Wprawdzie nie wiem, o czym ona zamierza z tobą rozmawiać, lecz mam niejasne przeczucie, że ma to coś wspólnego z tym, co chcę ci powiedzieć. Nie wiem, czy powinnam ci to mówić, ale tak czy siak uczynię to.

— Nie mogłabyś się wyrażać jaśniej? To ma związek z Charlottą, prawda? — westchnęła Phoebe.

— Tak. Daniel jest jej ojcem.

Złożone na podołku ręce Phoebe pozostały spokojne i nieruchome.

— On ci to powiedział? — spytała.

— Wczoraj.

— Mogłaś coś wspomnieć wieczorem.

— Nie prosił mnie o to.

— Więc jednak mieli romans. On i Annabelle.

— Owszem. Widzisz, że nie był to wcale taki błały flirtik. Z końcem owego lata Annabelle poinformowała Daniela, że oczekuje jego dziecka. Daniel zwierzył się Chipsowi. Chips jednak udowodnił, że to niekoniecznie dziecko Daniela. Z powodzeniem mogło być innego mężczyzny, z którym ona romansowała w tym samym czasie. Również i Annabelle po rozmowie z Chipsem przyznała w końcu, że sama nie wie, kto jest ojcem dziecka.

— Zawsze zachodziłam w głowę, czemu Daniel wyjechał tak nagle, jakby go ktoś gonił. Wiedziałam oczywiście, że planował wyjazd, bo napomykał o tym całe lato, ale potem wszystko się tak szybko potoczyło. Raz, dwa i już go nie było.

— I nie wracał przez jedenaście lat.

— Kiedy się przekonał, że to jego córka?

— Gdy ją zobaczył przy falochronie, jak na deszczu kończyła swój rysunek.

— Ale skąd miał pewność?

— Ponoć Charlotta jest żywym wizerunkiem jego matki, gdy była w wieku tej małej.

— No to nie ma wątpliwości.

— W mniemaniu Daniela, absolutnie żadnych.

'Phoebe umilkła. Po chwili wydała jednak długie, będące wyrazem troski westchnienie.

— O, mój Boże!

— Przykro mi, że musiałaś się tego dowiedzieć w taki sposób, Phoebe.

— Wyobraź sobie, że ta wiadomość wcale nie spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Może to osobliwe, ale ja się właściwie spodziewałam takiego obrotu spraw. Z Charlottą zawsze miałam bliski kontakt, niemal tak samo jak z tobą czy Danielem. A pewne drobiazgi... jej maniera w stylu rysowania, sposób trzymania ołówka... były mi dziwnie znajome. Ona ścisnęła ołówek wszystkimi palcami, dokładnie tak samo jak Daniel.

— Chips ci nigdy nie powiedział?

— Ani słowa.

— Może ja też nie powinnam, ale nie chciałam, żeby pani Tolliver zaskoczyła cię nieoczekiwaną informacją i lepiej, żebyś znała nieco faktów, by mieć ewentualnie jakieś argumenty pod ręką.

— Co za sytuacja! Niczym z powieści! Choć możliwe, że chodzi jedynie o herbatkę w Stowarzyszeniu Kobiet — dodała bez cienia nadziei w głosie. — Wówczas twoja bomba okazałaby się niewypałem.

— Przecież ta „bomba” nie jest tylko wymysłem mojej wyobraźni. Jak nie ja, to Daniel opowiedziałby ci o wszystkim wcześniej czy później. Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że tu na pewno nie chodzi o damską herbatkę.

Na dalszą wymianę poglądów nie starczyło czasu. Nawet poruszając się w narzuconym przeze mnie iście ślimaczym tempie już pokonałyśmy odległość od Holly Cottage do White Lodge i oto mijałyśmy bramę posiadłości. Wyżwirowanym pojazdem dotarłyśmy na placyk przed głównym wejściem. Kiedy tylko nasz samochód zatrzymał się u stóp schodów, w stojących dziś otworem drzwiach frontowych pojawiła się pani Tolliver i z wyraźną niecierpliwością zbiegła ku nam po kamiennych stopniach.

W jej powierzchowności nie dostrzegało się śladu zaniedbania. Miała na sobie leżącą jak ulał spódnicę, prostą, elegancką bluzkę, ciemnokoralowy żakiet, sznur ładnych pereł na szyi i kolczyki z perełkami w uszach. Ani jeden włoszek z jej starannie ułożonej fryzury nie wystawał poza swoje miejsce.

Lecz było aż nadto widoczne, że targa nią wewnętrzna burza uczuć. Sprawiała wrażenie wytraconej z równowagi, a twarz pokrywały czerwone plamy, jakby po niedawnym płaczu.

Ciotka otworzyła drzwi samochodu.

— Phoebe, to naprawdę uprzejmie z twojej strony, że przyjechałaś. — Pochyliwszy się, by pomóc Phoebe przy wysiadaniu, zahaczyła wzrokiem o mnie. Uśmiechnęła się blado.

— Musiałam prosić Prue, żeby mnie przywiozła. Nie będziesz miała nic przeciw temu, jeśli i ona wejdzie? — spytała Phoebe.

— Och... — Taka perspektywa wyraźnie nie zachwyciła pani Tolliver, ale tylko w tym jednym słowie zawarła swoje obiekcje. — Nie, naturalnie, że nie — dokończyła pospiesznie.

Nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić do domu. Po przeżyciach ostatnich dwóch dni miałam Tolliverów po

dziurki w nosie, ale ponieważ Phoebe w oczywisty sposób chciała mnie mieć przy sobie, także wysiadłam z auta. Próbując zrobić obojętną minę powlokłam się za starszymi paniami po schodkach.

Podłoga holu wyłożona była kamiennymi płytami i zasłana kilkoma perskimi dywanami wyglądającymi na antyki. Gustowna klatka schodowa o poręczy z kutego żelaza wiodła na pierwsze piętro. Pani Tolliver wprowadziła nas do saloniku położonego po drugiej stronie holu. Poczekwała aż znajdziemy się w środku i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi. Jakby chciała się upewnić, że nikt nie podsłucha naszej rozmowy.

Salonik był dużym, raczej oficjalnie umeblowanym pomieszczeniem z wysokimi, wychodzącymi na ogród oknami. Promienie porannego słońca jeszcze tu nie dotarły i w pokoju panował chłód. Panią Tolliver wstrząsnął dreszcz.

— Brrr, ale ziąb! Mam nadzieję, że nie zmarzniecie. — Po chwili obudził się w niej instynkt gospodyni i spytała:

— Może rozpałić ogień w kominku?

— To byłyby chyba zbyt ciężki kłopot, nie jest aż tak zimno — stanowczo stwierdziła Phoebe. Wybrała sobie fotel i energicznie usiadła, wyprostowana, w królewskiej pozycji, ze skrzyżowanymi w kolanach nogami. — No więc, moja droga, o co chodzi?

Pani Tolliver podeszła do wygasłego kominka i oparła się ręką o krawędź gzymsu.

— Ja... doprawdy nie wiem, od czego zacząć...

— Spróbuj od początku.

— No cóż... — Wzięła głęboki oddech. — Znacie przyczyny, dla których Charlotta pozostaje obecnie ze mną?

— Owszem. W jej szkole eksplodował kocioł.

— Tak, oczywiście. Ale zasadniczym powodem jest fakt, że jej matka... Annabelle... przebywa na Majorce. Dlatego matką nie miał się kto zająć. Wczoraj wieczorem, koło wpół do dziewiątej, odbyłam pewną rozmowę telefoniczną...

Zdjęła rękę z kominka i wyciągnęła z rękawa malutką chusteczkę obrębianą dokoła koronką. W trakcie dalszej rozmowy miętosła cienką szmatkę z takim zapamiętaniem, jakby miała zamiar podrzeć ją na strzępy.

— Dzwonił mój zięć, Leslie Collins. Annabelle odeszła od niego na dobre. Związała się teraz z innym mężczyzną, z jakimś instruktorem nauki jazdy konnej. Ten człowiek pochodzi z Afryki Południowej, a ona zamierza z nim wyjechać.

Okropność tej informacji poraziła nas niczym piorun i na chwilę odebrała nam mowę. Podziękowałam w duchu Bogu, że ja nie muszę w tej strasznej chwili wygłaszać swojej opinii, lecz wyczekująco spojrzałam na Phoebe. Ona jednak siedziała nieruchomo w kompletnym milczeniu, a wyraz jej twarzy skrywało przed naszym wzrokiem szerokie rondo kapelusza.

— Tak mi przykro — odezwała się w końcu z niekłamanym współczuciem w głosie.

— Ale to jeszcze nie wszystko... Ja... naprawdę nie wiem, jak mam wam to powiedzieć...

— Sądzę — wpadł jej w słowo Phoebe — że to ma jakiś związek z Charlottą.

— Leslie oświadczył, że ona nie jest jego dzieckiem. Najwyraźniej wiedział o tym od dawna, ale akceptował ją ze względu na Michaela, bo chciał utrzymać rodzinę w całości. Córkę nigdy nie lubił. Ja też już od pewnego czasu obserwowałam, że on ją gorzej traktuje niż syna, ale wydawało mi się, że to dlatego, iż z chłopakiem miał lepszy kontakt. A do niej mu zawsze brakowało cierpliwości i nic, co zrobiła, nie zyskiwało uznania w jego oczach.

— Stałaś w jej obronie?

— Nie chciałam się wtrącać.

— Ona zawsze sprawiała wrażenie samotnej.

— Istotnie. Jest samotnym dzieckiem. Nie pasowała do naszej rodziny. Nie jest ładna ani miła i zupełnie niepodobna do Annabelli. Ale nie chcę, żebyście myślały, że Leslie był dla

niej jakoś szczególnie niedobry. To nie tak. Po prostu całe swoje uczucie przelał na Michaela i jemu poświęcał swój wolny czas, a dla Charlotty nie pozostało już nic.

— A matka?

Na twarzy pani Tolliver wykwitł pobłażliwy uśmiech.

— Obawiam się, że Annabelle nigdy nie miała instynktu macierzyńskiego. Jest w tym podobna do mnie, tyle że kiedy ona był malutka, mieliśmy łatwiejsze życie. Mój mążjeszcze żył i mogliśmy sobie pozwolić na niańkę i służącą do wszystkiego. Wtedy wychowanie dzieci było prostsze.

— Czy twój zięć wiedział, że Annabelle ma romans z tym facetem... tym instruktorem?

Pani Tolliver zrobiła na poły zakłopotaną, na poły oburzoną minę, jakby sądziła, że Phoebe celowo chce ją obrazić. Odwróciła wzrok i biorąc w rękę stojącą na kominku porcelanową pasterkę zaczęła się nią bawić z roz-targnieniem.

— Nie spytałam go o to. Ale... znasz przecież Annabelle, Phoebe. Ona zawsze była...

Przerwała, a ja nastawiłam uszu pełna ciekawości, w jaki sposób dokończy rozpoczęte zdanie i jak, jako matka, określi własną córkę, która według wszelkich oznak jest nimfomanką.

— ... była atrakcyjna. Pełna życia. A Leslie cały czas siedzi w Londynie, więc niewiele się widywali.

— No to, być może, nie wiedział, ale z pewnością coś podejrzewał — wypaliła Phoebe nie bawiąc się w subtelności.

— Tak. Możliwe.

— Co się zatem stanie z Charlottą? — spytała Phoebe wracając do tematu.

Pani Tolliver odłożyła na gzyms kominka trzymaną w dłoniach figurkę i skrupulatnie ustawiła ją w poprzednim położeniu. Potem dopiero na powrót skierowała spojrzenie na Phoebe. Zauważyłam, że ustajej drżą, lecz nie byłam w stanie odgadnąć czy na skutek powstrzymywania łez, czy irytacji.

— Leslie nie zgadza się, żeby Charlotta wróciła do domu. Twierdzi, że ona nie jest jego córką, że nigdy nie miał dla niej ojcowskich uczuć, a teraz, kiedy Annabelle go porzuciła, zamierza umyć ręce od odpowiedzialności za to dziecko.

— To niesłychane! On tak nie może postąpić! — oburzyła się Phoebe.

— Może czy nie może, nie mam pojęcia. Tracę głowę i nie wiem, co robić.

— Odeślij ją do matki. Niech ją Annabelle zabierze ze sobą do Afryki.

— Ja... wydaje mi się... wiem, że Annabelle jej nie chce.

Ośłupiałyśmy ze zgrozy. Dłuższą chwilę wlepiłyśmy w panią Tolliver pełen niedowierzania wzrok, czekając, że może doda jakieś sensowne wyjaśnienie, ale ona milczała, tylko czerwona łuna rumieńca wpełzła jej na szyję i zalała policzki.

W końcu Phoebe nie wytrzymała.

— Chcesz powiedzieć, że Charlotta zawadza swojej własnej matce? — palnęła prosto z mostu.

— Ja... nie wiem. Annabelle... — Byłam niemal pewna, że przyzna, iż jej córka nie żywi więcej uczuć do Charlotty aniżeli Leslie, ale pani Tolliver nie pozwoliła prawdzie wypłynąć z ust. — O Boże, naprawdę nie wiem, co chcę powiedzieć. Jestem w rozterce. Żal mi małej, ale zrozum, Phoebe, ja po prostu nie mogę jej wziąć do siebie. To nie na moje lata, a i ten dom nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka. Tu nie ma nawet dzieciennego pokoju ani żadnych zabawek. Co się stało z lalkami po Annabelli, nie pamiętam, a wszystkie książeczki z bajkami dawno oddałam do szpitala. — Nic dziwnego, że Charlotta tak lubi bawić się karuzelą, pomyślałam. — No i mam własne życie. Własne sprawy, swoich znajomych. Ona tu nie jest szczęśliwa. Płacze mi się pod nogami cały czas, o nic nie pyta, nic nie mówi i niczym się nie zajmie. Przyznaję, że jej obecność jest dla mnie szalenie krępująca. Betty Curnow przychodzi tylko przed-

południem. Ma swoje obowiązki i nie jest mi wielką pomocą przy dziecku. Ja... nie wiem, co począć. Znalazłam się w kropce.

Podczas całej rozmowy była na krawędzi płaczu. Teraz doszła do granic wytrzymałości, hamulce puściły. Może wstydząc się łez lub chcąc oszczędzić nam zakłopotania, podeszła do okna i stanęła tyłem do salonu, w pozie, jakby podziwiała własny ogród. Do naszych uszu dobiegł dźwięk tłumionego, bolesnego łkania. W tej chwili z dotkliwą wyrazistością poczułam się intruzem i zapragnęłam uciec z tego pełnego skrępowania pomieszczenia. Rzuciłam błagalne spojrzenie w stronę Phoebe. Zareagowała natychmiast.

— Myślę, że dobrze by nam teraz zrobiła mocna, gorąca kawa — powiedziała.

Pani Tolliver nie odwracając się od okna odparła zdławionym i rwącym się głosem:

— Nie ma kto... przygotować... Betty Curnow wysłałam z Charlottą do wsi... Charlotta chciała kupić trochę coca-coli... bo u nas coli zabrakło... Uznałam to za dobry pretekst, żeby się małej pozbyć z domu na czas waszej wizyty... Nie chciałam, żeby tu była podczas rozmowy z tobą... z wami.

— Ja mogę zaparzyć kawę — podsunęłam skwapliwie.

Pani Tolliver wydmuchała nos i to jej chyba trochę pomogło. Jakby nieco spokojniejsza, popatrzyła na mnie przez ramię. Twarz miała zaczerwienioną i obrzmiałą.

— Nie wiesz, gdzie co leży. Niczego nie znajdziesz.

— Poradzę sobie. Jeśli tylko pozwoli mi pani porządzić się w kuchni...

— Naturalnie. To uprzejmie z twojej...

Zostawiłam je same. Wyszłam po cichutku i zamknąwszy za sobą drzwi salonu oparłam się o nie plecami tak, jak to czasem widywałam na filmach. Mogłam nie żywić sympatii do pani Tolliver, ale również nie mogłam się oprzeć zalewającej mnie fali ogromnego współczucia. Dobrze zor-

ganizowane życie zaczynało walić jej się na głowę. Jedyna córka zniszczyła swoje małżeństwo i wyjeżdżała z kochankiem na drugi koniec świata, porzucając dwójkę dzieci i beztrzesko lekceważąc obowiązki.

W głębi duszy uważałam jednak, że najdotkliwszy cios wymierzyła dumie pani Tolliver skandaliczna wiadomość, iż Charlotta nie jest dzieckiem Collinsa, a niefortunnym owocem jednej z licznych pozamałżeńskich przygód córki.

Nurtowała mnie ciekawość, czy ona wie, jaki to był związek i z kim. Ze względu na nas wszystkich miałam nadzieję, że się nawet nie domyśla.

Charlotta. Nie mogłam teraz oddać się rozważaniom o Charlocie. Oderwawszy się od drzwi ruszyłam szukać kuchni.

Metodą prób i błędów, otwierając drzwiczki szafek i wyciągając na chybił trafił rozmaite szuflady, znalazłam tacę, filiżanki i spodki, cukiernicę i łyżeczki. Napełniłam wodą czajnik elektryczny i otworzyłam puszkę kawy rozpuszczalnej. Doszłam do wniosku, że bez ciasteczek możemy się obejść. Rozlałam kawę do filiżanek i zaniiosłam na tacy do salonu.

W czasie mej nieobecności pani Tolliver trochę przyszła do siebie, przestała płakać i ulokowała się w fotelu naprzeciwko Phoebe.

— ... może — mówiła właśnie ciotka — twój zięć zmieni zdanie i zgodzi się zatrzymać Charlotte. Mimo wszystko jest ona siostrą Michaela, a przecież wiadomo, że nie należy rozdzielać rodzeństwa.

— Michael jest od niej dużo starszy, bardziej dojrzały i nie wierzę, żeby się czuł blisko związany z siostrą...

Kiedy spostrzegła mnie w drzwiach salonu, natychmiast przywołała na twarz uprzejmy uśmiech światowej damy, której przestrzeganie form towarzyskiej grzeczności przychodzi automatycznie, nawet w stanie dużego stresu.

— Dziękuję, Prue. Jesteś taka zaradna. — Postawiłam tacę na niskim stolyczku. — O... — niewielka zmar-

szczka pojawiła jej się na czole. — Wybrałaś najlepsze filiżanki.

— Przepraszam. Wzięłam pierwsze, jakie nawinęły mi się pod rękę.

— Och, nie szkodzi. Nic im się nie stanie.

Podawałam filiżankę z kawą ciotce i usiadłam obok niej na fotelu. Przez chwilę panowało milczenie zakłócone jedynie brzękiem łyżeczek dzwoniących o porcelanę.

Phoebe pierwsza przerwała ciszę.

— Moim zdaniem — zaczęła — na razie nie może być mowy o powrocie Charlotty do domu. Przynajmniej do czasu, dopóki sprawy jakoś się nie ułożą i twój zięć nie dojdzie do siebie po szoku, jakim niewątpliwie był dla niego postępek Annabelli.

— A szkoła?

— Nie odsyłaj tam wnuczki. Ta awaria kotła nie najlepiej świadczy o porządkach panujących w tej szkole. Takie niedopatrzenie to skandal! Poza tym Charlotta jest za mała na samotny pobyt w internacie, szczególnie teraz, gdy wymaga specjalnej troski, bo jej życie rodzinne legło w gruzach. To dostateczna przyczyna, by u każdego dziecka spowodować załamanie nerwowe. — Obrzuciła panią Tolliver długim, surowym spojrzeniem. — Musisz postępować bardzo ostrożnie. Nie chcesz brać na siebie stałej odpowiedzialności za wnuczkę, zgoda, potrafię to zrozumieć. Ale w obecnym stanie rzeczy ta odpowiedzialność i tak spoczywa na tobie. Trzymasz w swych rękach ludzkie życie. Los młodej, wrażliwej istoty. Ona i tak będzie cierpiała dotkliwie, kiedy się dowie prawdy o matce. Obserwuj, czyjej przeżycia nie wykraczają ponad to, czego się nie da uniknąć w takich okolicznościach, a w razie czego daj nam znać.

Pani Tolliver chciała coś powiedzieć, lecz Phoebe ze swą zwykłą bezceremonialnością nie dopuściła jej do głosu.

— Przecież mówię, że rozumiem twoją sytuację. Wygląda na to, że sprawy się skomplikują. Z tego powodu, jak sądzę, byłoby dużo lepiej, żebyś została sama, bez Charlotty

kręcącej się po domu, słuchającej, co mówisz, a możliwe, że nawet podsłuchującej rozmowy telefoniczne nie przeznaczone dla jej uszu. To inteligentna dziewczynka i instynktownie będzie wiedziała, że coś się święci niedobrego. Radzę ci zatem powiedzieć jej po prostu, żeby na jakiś czas pomieszkała ze mną.

Kochana Phoebe, niech ją Bóg błogosławi!

— Wiem, że teraz ze mnie stara niezdara i półkaleka, ale Prue zostaje jeszcze dziesięć dni, a w nagłej potrzebie zawsze dostępna jest Lily Tonkins.

— Ależ, Phoebe, to zbyt wiele. Tyle nie mogę od ciebie oczekiwać.

— Bardzo lubię Charlotte. Będziemy się obie doskonale zgadzać.

— Wiem. Wiem również, że ona przepada za tobą, ale... Och, nie myśl, że jestem niewdzięczna... ale to będzie wyglądało tak dziwnie w oczach innych ludzi. Zostawi mnie, swoją babkę, a zamieszka z tobą. Co ludzie pomyślą? Zaczną się plotki. To malutka wioska, a wiesz dobrze, że ani Lily Tonkins, ani Betty Curnow nie dadzą sobie zamknąć ust na kłódkę.

— Owszem, będzie gadanie. Ludzie zawsze gadają jak najęci. Ale lepiej znieść całe gadanie świata niż pozwolić, by dziecko cierpiało jeszcze bardziej. A poza tym — dodała Phoebe odstawiając pustą filiżankę — obie mamy dostatecznie grubą skórę i — zachichotała — co tu ukrywać, po tyle latek na karku, żeby sobie byle plotką nie zawracać głowy. No więc jak?

Pani Tolliver w końcu uległa z wyraźną ulgą.

— Nie waham się przyznać, że to mi niesłychanie ułatwi wiele spraw.

— Czy będziesz jeszcze kontaktować się z zięciem?

— Tak. Obiecałam mu, że zadzwonię dziś wieczór. Wczoraj oboje byliśmy zbyt zdenerwowani, by przedłużyć rozmowę. Myślę nawet, że on chyba za dużo wypił. Nie winię go za to, ale nasza wymiana zdań nie miała wielkiego sensu.

— Wobec tego powiedz mu, że Charlotta zamieszka na jakiś czas w Holly Cottage. Możesz mu także przekazać, że nie wróci do dawnej szkoły. A może byśmy ją tak zapisały do lokalnej szkółki? Omów to z nim.

— Słusznie, tak zrobię.

• — No to załatwione. — Phoebe podniosła się z fotela. — Charlotta i tak ma przyjść do nas dziś przed południem. Umówiła się z Prue na piknik. Spakuj jej rzeczy i niech je przyniesie ze sobą. I nie mów jej nic o matce.

— Ależ, Phoebe, ona musi się przecież dowiedzieć.

— Jajec powiem. Ty jesteś za bardzo emocjonalnie z tym wszystkim związana. — Sądziłam przez moment, że pani Tolliver ma zamiar się sprzeciwić. Nabrała tchu, otworzyła usta, ale napotkawszy wzrok Phoebe powiedziała tylko:

— Zgoda.

— Tak będzie lepiej. Dla nas wszystkich.

W tym samym co poprzednio ślimaczym tempie wlokłyśmy się do domu znajomą trasą. Przez bramę White Lodge, obok dębowego zagajnika, koło kościoła, a kiedy droga zaczęła opadać w dół, naszym oczom ukazał się widok na zalaną falami przyływu zatoczkę. Woda skrzyła się w słonecznym blasku.

— Prue, zatrzymaj auto.

Zjechałam na pobocze i wyłączyłam silnik.

Przez chwilę, niczym dwie turystki wędrujące po okolicy bez żadnego celu, wlepiałyśmy wzrok w swojski widoczek, jakbyśmy oglądały go po raz pierwszy w życiu. Na brzegu, po drugiej stronie zatoczki łagodne pagórki pocięte szachownicą poletek drzemały sobie w ciepłe poranka. Czerwony traktor, zmniejszony przez odległość do rozmiaru zabawki, orał pługiem ziemię, ciągnąc swoim śladem stadko rozwrzeszczanych, białych mew.

Na końcu tej drogi czekał na nas Holly Cottage zasłonięty jeszcze szczytem wzgórza, pogrążony we śnie w za-

ciszynym, nagrzanym słońcem miejscu. Tutaj, na wierzchołku, gdzie zawsze wiała morska bryza, lekki powiew głąaskał łodygi traw i zielsk rosnących w przydrożnych rowach i zdmuchiwał liście z górnych gałęzi drzew okalających stary cmentarz przy kościele.

— Tak tu spokojnie — westchnęła Phoebe, jakby dając wyraz jakiejś tęsknej zadumie. — Człowiek ma wrażenie, że na tym końcu świata będzie bezpieczny. Tak sądziłam, gdy przyjechałam tutaj zamieszkać z Chipsem. Wydawało mi się, że uciekam od wszystkiego. Jednak niesposób naprawdę uciec od rzeczywistości. Od okrucieństwa, obojętności, samolubstwa...

— Wszystko to cechy ludzkie, a ludzie są wszędzie — wtrąciłam.

— ... od destrukcji i burzenia spokoju. — Zamyśliła się, a potem dodała zmienionym głosem: — Biedna kobieta.

— Pani Tolliver? Owszem. Też mi jej żal. Ciekawe jednak, dlaczego właśnie ciebie wybrała na powierniczkę?

— Akurat to, moja droga, jest oczywiste. Ona wie, że ze mnie stara grzesznica. Nigdy mi tego nie zapomni, że żyłam z Chipsem w grzesznym szczęściu przez całe lata. Może mi się zwierzyć z tego, czego by nigdy nie powiedziała innym swoim znajomym. Na przykład żona pułkownika Danby albo wdowa po dyrektorze banku w Porthkerris byłyby zgorszone i przerażone. A wtedy by jej duma ucierpiała najbardziej.

— Rzeczywiście. Ale ty zachowałeś się cudownie. Zawsze jesteś cudowna, ale dziś przeszłaś samą siebie.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Mam tylko nadzieję, że pochopnie nie wzięłaś za dużo na swoje barki. Przypuśćmy, że Leslie Collins zdecydowanie odmówi zajmowania się Charlottą, wtedy zostaniesz z nią uziemiona na dobre.

— Uziemiona? Nie szkodzi.

— Ależ, Phoebe... — urwałam, bo jak można powiedzieć komuś, kogo się bardzo kocha, że jest na coś za stary, nawet jeśli to prawda?

— Sądzisz, że jestem na to za stara. — Ciotka wypowiedziała na głos moje myśli.

— Między innymi. Masz także różne własne sprawy, podobnie jak pani Tolliver. Dlaczego zatem właśnie ty masz rezygnować ze swego trybu życia? I, jakkolwiek by na to spojrzeć, wszyscy się starzejemy. Dla mnie też czas się nie cofa.

— Mam sześćdziesiąt trzy lata. Jeśli uda mi się pożyć jeszcze dziesięć, będę miała dopiero siedemdziesiąt trzy. Wcale nie tak dużo, gdy porównać to z wiekiem Picassa czy Artura Rubinsteina.

— A cóż oni mają z tym wspólnego?!

— Do tego czasu Charlotta dojdzie do dwudziestki i spokojnie da sobie sama radę. Nie widzę więc większego problemu.

Przednia szyba volkswagena była zabrudzona od środka. Znalazłam w schowku jakąś szmatę i chaotycznymi ruchami próbowałam usunąć brud.

— Czy kiedy byłam w kuchni, ona uczyniła jakąś wzmiankę o Danielu? — spytałam.

— Najmniejszej.

— A ty jej coś o nim powiedziałaś?

— Uchowaj Boże!

Moje usiłowania tylko rozmazały brud na szybie. Wyglądała teraz jeszcze gorzej. Wcisnęłam szmatę do schowka.

— On tu dziś przyjedzie, wybiera się z nami na piknik. Chciałam pojechać po niego samochodem, ale powiedział, że dotrze tutaj na własną rękę.

— Też dobrze.

— Zamierzasz powiedzieć Danielowi o tym, co dziś zaszło? — spojrzałam na nią bacznie.

— Pewnie, że powiem. Powiem mu o wszystkim. Co trzy głowy to nie jedna, a mam już serdecznie dość sekretów między nami. Może gdyby nie te tajemnice, nie doszłoby do tego, co się teraz zdarzyło.

— Oj, Phoebe, raczej trudno w to uwierzyć.

— Może i masz rację, ale zacznijmy być ze sobą całkowicie szczerzy i prawdomówni, wówczas będziemy wiedzieć, na czym stoimy. <

— Jak sądzisz, co on zrobi?

— Zrobi? — Phoebe wlepiła we mnie zdumiony wzrok.

— A czemużby miał cokolwiek robić?

— Jest przecież ojcem Charlotty.

— To Collins jest jej ojcem.

Dokładnie to samo powiedziałam Danielowi podczas rozmowy w hotelowym pokoju, kiedy to starałam się wymyślić rozsądne i logiczne argumenty, które by go mogły uspokoić. Teraz jednak z całą pewnością sprawy przybrały zupełnie inny obrót.

— W świetle prawa on może nie być uznawany za ojca Charlotty, ale faktycznie się nim czuje — powiedziałam z naciskiem.

— Więc jak postąpi w twoim mniemaniu?

— Nie wiem.

— No to ja ci powiem. Nic nie robi, bo w tej sytuacji nic nie może zrobić. A nawet gdyby istniała jakaś możliwość, i tak by palcem nie kiwnął.

— Skąd wiesz?

— Bo znam Danieja.

— Ja też go znam.

— Oj, chciałabym, żeby tak naprawdę było.

— Co mi dajesz do zrozumienia?

— Nic — westchnęła Phoebe. — Nic. Po prostu mam obawy, że się w nim zakochałaś. — Jej głos jak zwykle brzmiał niefrasobliwie, jakby mówiła o czymś nieistotnym. Zaskoczyła mnie.

— Nie sądzę, żebym wiedziała, co naprawdę znaczy zakochać się. Dla mnie zawsze było to jakoś mało klarowne. Mniej więcej takie, jak niejasna interpretacja słowa przebaczyć. Nigdy nie wiedziałam do końca, co się za tym kryje. Nie przebaczysz, oznacza, że jesteś podła lub lubisz chować

urazy, a przebaczysz, popadasz w samozadowolenie i świętoszkowość.

Phoebe jednak nie dała się wciągnąć w dyskusję o zawłości słów i ich znaczeń. Nie dała się też zbić z tropu.

— Zatem — kochasz. Może to łatwiejsze do zdefiniowania.

— Jeśli mamy się ściśle trzymać definicji moich uczuć, to czuję się tak, jakbym go znała zawsze. Czuję się tak, jakbyśmy wspólnie przeżyli minione lata. I czuję, że nie chcę go stracić, bo potrzebujemy siebie nawzajem.

— Czy czułaś to samo, zanim roztoczył przed tobą chwytającą za serce sagę o Annabelli?

— Chyba tak. Na pewno. Widzisz więc, że to nie litość.

— A niby dlaczego miałybyś się nad nim litować? On ma wszystko... młodość, wspaniały talent, a teraz nawet sławę i pieniądze.

— Jak możesz pomniejszać wagę tego, co zaszło pomiędzy Danielem i Annabelle! On przez jedenaście lat czuł się winny, bo nawet nie wiedział, czy to jego dziecko. Nie wykrzeszesz z siebie iskry żalu dla człowieka, który dźwigał brzemień winy przez jedenaście długich lat?

— No cóż, ta sytuacja nie powstała przecież bez jego udziału. Czuł się winny, dobrze, ale czy nie maczał we wszystkim palców? I przecież nikt mu nie kazał uciekać.

— On wyjechał, bo posłuchał rady Chipsa, który uznał to za jedyne rozsądne wyjście.

— Mówił ci o tym?

— Owszem. I poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Grecji. Do Spetsai. Poprosił, jeszcze zanim mi opowiedział o Annabelli i'Charlottcie. Później znów rozmawialiśmy o tym i wtedy stwierdził, że wyjazd niczego by nie rozwiązał, bo nie można stale uciekać od siebie.

— Pojechałabyś? Do tej Grecji?

— Tak.

, — A co potem?

— Nie wiem.

— To nie dla ciebie, Prue.

— Mówisz jak moja matka.

— Zatem zaryzykuję raz jeszcze, że mnie porównasz do matki, która, nawiasem mówiąc, nie jest ani naiwna, ani głupia... i powtórzę: nie znasz Daniela. To prawdziwy artysta: niestały, niespokojny duch, niepraktyczny.

— Wiem, że jest niepraktyczny — uśmiechnęłam się.

— Uraczył mnie kiedyś opowiadką ze swego życia rozwodząc się nad tym, że miał samochód, ale po trzech latach nauczył się tylko włączać ogrzewanie.

Phoebe zignorowała tę próbę wprowadzenia do rozmowy pewnej dozy humoru i ciągnęła wytrwale:

— Na nim nie można polegać, zawsze poddaje się swoim nastrojom twórczym. To go kwalifikuje raczej negatywnie. I niekiedy potrafi być prawdziwie irytujący.

— Och, przestań, Phoebe, wiesz, że go uwielbiasz.

— Owszem, uwielbiam, ale gdybym musiała go postawić wobec spraw i obowiązków dnia codziennego, nie potrafiłabym przewidzieć jego reakcji.

— Czy to ocena pod kątem jego przydatności na męża?

— Nie sięgam aż tak daleko.

— Znałaś go jako dwudziestolatka. Nie możesz budować osądu w oparciu o cechy młodzieńca, jakim był jedenaście lat temu. Teraz jest już mężczyzną.

— Wiem o tym. Ludzie dojrzewają, oczywiście, ale czy ich osobowość zmienia się aż tak bardzo? Jesteś dla mnie szczególną osobą, Prue, nie chciałabym, żebyś cierpiała, kiedy ktoś cię skrzywdzi. A Daniel jest w stanie cię zranić. Nie rozmyślnie, ale przez grzech zaniedbania. Jemu praca wypełnia życie i nie wiem, ile miejsca zostaje dla spraw osobistych, takich jak miłość, przebywanie z ukochanymi osobami, zapewnienie im opieki.

— Może ja mogłabym zadbać o niego.

— Istotnie, może byś mogła... przez jakiś czas. Sądzę jednak, że nie potrafiłabyś ciągnąć tego w nieskończoność. Nie wiem doprawdy, jak można związać się na dobre

z mężczyzną, o którym wiadomo, że boi się stałego zajęcia, trwałych związków emocjonalnych i lęka się być złapanym w matrymonialny potrzask.

Nie było sensu spierać się z Phoebe. Siedziałam bez słowa, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w zakurzoną szybę. Zabawne, ale obie byłyśmy przecież po tej samej stronie. Położyła mi rękę na dłoni. Palce miała ciepłe, lecz jednocześnie czułam chłodny, mocny nacisk jej dużych, staromodnych pierścionków.

— Nie snuj mrzonek o Danielu, Prue. Przypuszczalnie nigdy się nie spełnią. A jeśli niczego się po nim nie będziesz spodziewać, przynajmniej się nie rozczarujesz.

Pomyślałam o Charlottcie.

— Nie wierzę, żeby teraz uciekał od odpowiedzialności.

— A ja wiem, że on nie ma wyboru. Może i ty powinnaś uciec. Wyjechać do Londynu, przywrócić życiu właściwe proporcje, zadzwonić do tego miłego faceta, co to ci przyniósł te zwiędłe chryzantemy.

— Ależ, Phoebe, on... — nawet przywoływanie w pamięci faktu istnienia Nigela wymagało pewnego wysiłku — ... wcale nie były zwiędłe, kiedy mi je dawał.

— Gdy go znowu zobaczysz, może twoje uczucia do niego będą całkiem inne?

— Nie. Ja się już nie zmienię. A poza tym on nie potrafi mnie rozbawić. — Wiedziałam, że już chyba nigdy nie pojedę do Szkocji.

— Cóż, sama musisz podjąć decyzję. — Poklepała mnie po dłoni i składając ręce na podołku wsunęła się w głąb fotela. — Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. Wtrąciłam się w twoje sprawy. Oczyszczałam nieczyste sumienie. A teraz jedźmy już do domu oznajmić Lily Tonkins nowinę, że Charlotta zostaje z nami. Jeśli cokolwiek jest w stanie przerwać jej pienie: „Chroń nas, o wielki Jehowo”, to chyba tylko ta wiadomość. Chociaż patrząc na to z drugiej strony, można mieć nadzieję, że całkiem dobrze tę wiadomość zniesie, przecież uwielbia dramaty. No, jedźmy już, bo

Charlotta może się zjawić w każdej chwili, a musimy jeszcze przygotować jedzenie na ten wasz piknik. Boże, jeszcze i piknik, tak jakbyśmy nie miały i bez niego dostatecznie dużo kłopotów na głowie!

— No, nie wiem — burknęła Lily, kiedy się dowiedziała, że Charlotta będzie z nami mieszkać. — Zostawia babkę, a zatrzyma się tutaj? W tym jest coś dziwnego. — Powiodła wzrokiem od twarzy Phoebe, na której malowała się sama niewinność, do mojej. Pospiesznie przywołałam na usta promienny uśmiech.

— Widzi mi się, że jednak nie jest to wcale takie zaskakujące. Ten dzieciak zamiast siedzieć z babką i tak tu spędza większość czasu. No to przygotuję łóżko i załatwione.

— Jakaś ty dobra, Lily — pochwalałają, Phoebe z wyraźnie słyszalną dla mnie nutą ulgi w głosie. — Mam nadzieję, że obecność dziewczynki nie przysporzy ci wiele pracy. Wiem, że teraz naprawdę masz dużo obowiązków, ale kiedy moje kości się zrosną i lekarz mi zdejmie ten obrzydły gips...

— Panno Shackleton, niech się pani nie martwi, damy sobie świetnie radę. Ona nam nie będzie zawadzać. Nie jest kłopotliwa, cichutka jak myszka, a je tyle co nic. — Po raz drugi powiodła wzrokiem od twarzy Phoebe do mojej. — Ale nic się złego nie stało, prawda?

Zapadła cisza.

— Nie, nic szczególnego — przemówiła w końcu Phoebe. — Tyle tylko, że pani Tolliver uznała za... kłopotliwe to, że Charlotta mieszka w White Lodge. Chyba niezbyt dobrze im się układało wspólne życie. Nie najlepiej znosiły swoją obecność. Obie z jej babką doszłyśmy do wniosku, że będzie korzystniej, jeśli przeniesie się do nas na jakiś czas.

— Tu na pewno będzie jej weselej — zgodziła się Lily. — Betty Curnow, mimo że jest dość sympatyczna, nie ma w sobie wiele życia i radości. W szkole, do której chodziliśmy razem, dzieci przezywały ją „malowaną lalą”, taka

była sztywna i poważna już wtedy. Potem wyszła za inspektora sanitarnego, co się niestety nie przyczyniło do tego, żeby się stała miłsza czy przystępniejsza.,

— Rzeczywiście. Ale przecież Joshua Curnow nie należy być może do ludzi wesołych, za to jest doskonałym mężem dla Betty — rzekła Phoebe łagodzącym tonem i przeszła do głównego wątku rozmowy: — Jak sądzisz, gdzie możemy ulokować Charlotte?

— W pokoju, który panu Armitage'owi służył za garderobę. Łóżko jest posłane, porządki zrobione, wystarczy odrobinę przewietrzyć. Idę otworzyć okno.

— Nie zapomnij o pikniku. Oni wybierają się na wycieczkę.

— Pamiętam o tym. Przygotowałam kanapki z szynką i trochę sałatki w plastikowym pojemniku. Zapakowałam też ciasto czekoladowe z pomarańczowym lukrem.

— Mniam... brzmi wspaniale. Szkoda, że z nimi nie jadę... moje ulubione smakołyki.., będą mieć udany piknik.

— Mówiąc to Phoebe wspinała się po schodach, aby u siebie w pokoju zdjąć ponczo i zmienić buty. Po chwili usłyszałyśmy jej kroki dudniące po deskach podłogi na górze.

— Jesteś naszą ostoją, Lily — powiedziałam. — Phoebe zawsze to powtarza.

— Żarty sobie ze mnie stroisz. Daj mi spokój. Idź sobie — gderała Lily, ale w jej głosie pobrzmiwały wyraźne nuty zadowolenia.

— Nigdzie nie pójde. Chcę ci pomóc, tylko mi powiedz, co mam robić.

— Możesz oczyścić z włókien fasolkę szparagową, bo nie cierpię tej czynności. Mogę obierać marchewkę albo rzepę, proszę bardzo. Z największą przyjemnością. Ale tej dłubaniny przy fasoli wprost nie znoszę!

Przybycie Charlotty zastało mnie w ogrodzie. Siedziałam w pełnym słońcu na jednym ze starych, rozklekotanych

krzesłek ogrodowych i pracowicie obdzierałam łyko fasoli. Na dźwięk zajeżdżającego samochodu odłożyłam koszyk i nóż i pospieszyłam przed dom, gdzie stały już Lily i Phoebe, które zdążyły tu dotrzeć przede mną. Charlotte przywiozła Betty Curnow autem pani Tolliver. Dziewczynka już wysiadła, a Lily właśnie wyciągała walizkę z otwartego bagażnika. Charlottą miała na sobie znaną mi już z pociągu szarą kurteczkę z flaneli i tak samo jak wówczas przewiesiła przezjedno ramię swoją czerwoną torebkę. Jej strój podróżny, pomyślałam. Zastanawiałam się, co czuła ta biedna, mała istotka ponownie zakładając na siebie ten strój do kolejnej podróży, do kolejnego domu, traktowana jak przestawiany z kąta w kąt niepotrzebny sprzęt.

— Cześć, Charlotte

Odwracając główkę zobaczyła, że się zbliżam.

— Dzień dobry.

Była bardzo blada, nienaturalnie poważna, a okulary tkwiące na malutkim nosku przekrzywiły jej się w jedną stronę. Tłuste włosy pilnie potrzebowały porządnego umycia. Ktoś — prawdopodobnie sama Charlottą — rozdzielił je nierówno, a pasmo zwisające z przodu przypiął jakąś brzydką, plastikową wsuwką.

— Świetnie, że już jesteś. Chcesz pójść na górę zobaczyć swoją sypialnię?

— Dobrze.

Lily i Phoebe wdały się w rozmowę z Betty Curnow, wobec tego sama wzięłam walizkę i obie z Charlottą skierowałyśmy się ku drzwiom f.rontowym. Uszłyśmy zaledwie kilka kroków, gdy dziewczynka zatrzymała się raptownie przypomniawszy sobie, jak się okazało, o zasadach dobrego wychowania.

— Dziękuję za podwiezienie, pani Curnow — wybąkała.

— W porządku, malutka. Zostań tutaj i bądź grzeczna.

Weszłyśmy do domu i wspięłyśmy się na piętro. Mały pokój, który miała zająć Charlottą, mieścił się tuż obok mojego. Lily widać solidnie przyłożyła się do sprzątanania, bo

całe wnętrze mocno pachniało pastą do podłogi i czystą, wykrochmaloną pościelą. Toaletkę przystrajał bukiet kwiatów ułożonych zapewne ręką Phoebe. Z okna roztaczał się widok taki sam, jaki codziennie oglądałam ze swego pokoju: na ogród, żywopłot z eskalonii i na zatoczkę u stóp wzgórza.

Pokoik był nieduży, ale tak wdzięczny i tak idealnie odpowiedni dla małej dziewczynki, że spodziewałam się wyraźnych przejawów entuzjazmu ze strony Charlotty. Tymczasem ona wydawała się nie dostrzegać niczego wokół siebie; obojętna buzia nie zdradzała żadnych uczuć.

Postawiłam walizkę na podłodze.

— Rozpakujesz się teraz czy później?

— Chciałabym tylko wyjąć misia.

Pluszowy, trochę spłaszczony miś leżał na wierzchu, tuż pod pokrywą walizki. Dziewczynka posadziła go na poduszce.

— A reszta ubrań?

— Wyciągnę je później.

— Wiesz co, zdejmij kurtkę i zejdź ze mną do ogrodu.

Co ty na to? Czyścisz tam fasolkę i bardzo przydałaby mi się pomocna dłoń.

Odłożyła torebkę na nocny stoliczek, potem rozpięła guziki kurtki, którą ja następnie odwiesiłam do szafy. Pod spodem miała niebieski bawełniany podkoszulek i spraną spódniczkę z cienkiej dzianiny.

— Może założysz sweterek?

— Nie jest mi zimno.

Po raz drugi pokonałyśmy schody, tym razem na dół. W szafce stojącej w holu znalazłam stary gumowy dywanik samochodowy, z kuchni wzięłam nóż. W ogrodzie obie zasiadłyśmy na dywaniku ustawiając pomiędzy sobą koszyk z fasolką i jeden z największych rondli Lily.

— Nóż jest bardzo ostry. Będiesz na tyle ostrożna, żeby się nie skaleczyć?

— Czyściłam fasolkę mnóstwo razy.

Cisza.

— Śliczny dzień, prawda? Nie zapomniałaś o pikniku?

— Nie.

— Daniel przyjedzie na pewno. Zjawi się tu lada chwila. Powiedział, że złapie okazję z Porthkerris.

Cisza.

— Chciałam, żeby Phoebe pojechała z nami do Penjizal, ale ona boi się, że wiatr ją zdmuchnie z krawędzi klifu. Tak przynajmniej twierdzi. Pamiętałaś o przyniesieniu coca-coli?

— Tak. Widziałam, jak Lily odbierała butelki coli od pani Curnow.

— Lily zrobiła kanapki z szynką, takie jak chciałaś. I ciasto czekoladowe...

— Wcale nie musisz zabawiać mnie rozmową — rzekła Charlotta spoglądając na mnie dojrzałym wzrokiem dorosłego człowieka.

Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie.

— Przepraszam.

Ona bez słowa powróciła do obierania fasoli.

— Charlotte, nie masz ochoty mieszkać z Phoebe?

— Mam ale nie o to chodzi. Ja nigdy dotąd nie zatrzymywałam się tutaj. W tym jest coś dziwnego.

— Dziwnego? Co przez to rozumiesz?

— Że coś się musiało stać, a nikt mi nic nie mówi.

Ogarnął mnie lęk.

— Dlaczego tak sądzisz?

Nie odpowiedziała, tylko utkwiała spojrzenie w przestrzeni za moimi plecami, jakby jakieś interesujące poruszenie przyciągnęło jej uwagę. Odwróciłam się. W drzwiach ogrodowych pojawiła się Phoebe. Wciąż miała na głowie kapelusz, ale zrzuciła jaskrawe ponczo i zawiązany na supeł szaliczek furkotał teraz na wietrze jak miniaturowa flaga, a w złotych łańcuszkach, jakie zdobiły jej szyję, odbijało się słońce. W zdrowej ręce taszczyła krzeselko. Odebrałam je od niej i ustawiłam obok naszego dywanika.

Nie było sensu uciekać się do dwuznaczników i próbować ukryć prawdę o istocie rozmowy z Charlottą.

— Gawędziłyśmy sobie — powiedziałam spojrzawszy znacząco w oczy ciotki. — Charlotta zastanawia się, dlaczego jest tutaj. — Wzrok Phoebe był spokojny. Wiedziałam, że rozumie.

— Głównie dlatego, że bardzo chcemy być z tobą — zwróciła się z wyjaśnieniem do dziewczynki.

— Mama nie wróci z Majorki, prawda?

— Dlaczego tak myślisz?

— Ona nie wróci, prawda? — powtórzyła pytanie Charlotta.

— Istotnie, nie wróci — przyznała Phoebe.

Wyciągnęłam z koszyka strąk fasoli i zajęłam się nim z przesadną gorliwością.

— Wiedziałam — rzekła dziewczynka.

— Skąd wiedziałaś? Możesz nam powiedzieć?

— To przez tego jej przyjaciela. On się nazywa Desmond. Przychodził ją odwiedzać do naszego domu. Niedaleko nas miał szkółkę jeździecką w Sunnigdale. Najpierw razem jeździli na koniach, a potem on przychodził na drinka, czy coś takiego. Mówiła do niego Desmond. Wiem, że to z nim pojechała na Majorkę.

— Jak się dowiedziałaś? Kiedy?

— Pewnej nocy pod koniec wakacji. Tata był w Brukseli na delegacji. Ja musiałam wstać w środku nocy do ubikacji. Potem poczułam, że mi się chce pić, i pomyślałam, że zejdę na dół wziąć sobie colę z lodówki. Wiem, że nie powinnam tego robić w nocy, ale czasem mi się zdarza. Kiedy byłam w połowie schodów, usłyszałam głosy. Jakiś mężczyzna coś mówił i mama coś mówiła, a ja pomyślałam, że to włamywacz, który zamierza zastrzelić mamę. Ale zaraz poznałam głos Desmonda. Siadłam więc na stopniach i słuchałam. Rozmawiali o Majorce. Ona rano powiedziała tatusiowi, że wybiera się na Majorkę z koleżanką szkolną, a przecież wiedziała, że wyjeżdża z Desmondem.

— Wspomniałaś o tym ojcu?

— Nie. Tata i tak nigdy nie słuchał, co mówię, a poza tym bałam się.

— Ojca?

— Nie. Bałam się tak w ogóle. Bałam się, że jak powiem o tym na głos, to ona pojedzie i nie wróci.

— Wiedziałaś, że twój ojciec dzwonił do babci wczoraj wieczór?

— Nie mogłam zasnąć i usłyszałam, że dzwoni telefon. Salonik babci jest tuż pod moją sypialnią. Słysząc, jak ktoś tam mówi, choć nie można rozróżnić wszystkich słów. Ale wczoraj zrozumiałam jedno słowo: Leslie. To imię mojego taty i już wiedziałam, że babcia rozmawia właśnie z nim. Pomyślałam sobie, że on zadzwonił, żeby zapytać, jak ja się czuję. Dziś rano jednak wszystko było jakieś dziwne i okropne i domyśliłam się, że nie o to mu chodziło. Babcia była strasznie opryskliwa i zaraz wysłała mnie z Betty do wsi po coca-colę. Czułam, że coś się złego dzieje, bo zawsze dotąd mogłam chodzić do wsi sama.

— Wydaje mi się, że babcia po prostu nie chciała, żeby ci coś niepotrzebnego w ucho wpadło, żebyś się nie zamartwiała.

— A kiedy wróciliśmy, to znaczy, pani Curnow i ja, babcia mi oznajmiła, że będę mieszkać z wami.

— Mam nadzieję, że się ucieszyłaś.

Charlotta podczas całej rozmowy siedziała ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w strąk fasoli, łamiąc go powoli na coraz mniejsze kawałki. Teraz spojrzała na Phoebe oczami, w których malował się niepokój, ale nie było łez. Trzymała się naprawdę dzielnie.

— Ona już nigdy nie wróci, prawda?

— Nie wróci. Wyjeżdża do Afryki Południowej.

— To co się z nami stanie? Z Michaelem i ze mną? Tatus nie ma czasu się nami opiekować. Chociaż Michaelem to się chyba zajmie. Oni zawsze robią razem różne rzeczy. Chodzą na strzelnicę, oglądają w telewizji mecze i takie tam. O mnie to się raczej nie zechce zatroszczyć.

— On może nie — przerwała jej Phoebe — aleja, tak. Właśnie dlatego poprosiłam twoją babcia, żeby ci pozwoliła zamieszkać ze mną.

— Na zawsze?

— Nic nigdy nie jest „na zawsze”.

— Będę mogła znów zobaczyć się z Michaelem i tatą?

— Oczywiście. Przecież Michael to twój brat.

Charlotta zmarszczyła nosek.

— On nie zawsze bywa dla mnie miły. I ja go wcale tak bardzo nie lubię.

— Mimo wszystko jesteś moim bratem. Może w przyszłe wakacje mógłby przyjechać tutaj i też zatrzymać się u mnie, choć, zdaje mi się, że twoja babcia chciałaby go raczej gościć u siebie.

— A mnie nie chciała — powiedziała dziewczynka z goryczą. *I*

— Nie wolno ci tak myśleć. Ona po prostu doszła do wniosku, że niełatwo jej przychodzi zajmować się dzieckiem w twoim wieku. W takiej sytuacji zwykle się mawia, że dana osoba nie ma daru do dzieci. Takich ludzi jest wiele.

— Ty masz ten dar — zawyrokowała Charlotta.

— Bo ja dzieci lubię — uśmiechnęła się Phoebe. — Zwłaszcza ciebie. I dlatego chcę, żebyś tu została. Choćby tymczasowo.

— A moja szkoła? — Charlotta wciąż jeszcze była nieufna. — Muszę przecież tam wrócić pod koniec tygodnia.

— Rozmawiałam z twoją babcia również i na ten temat. Lubisz tę swoją szkołę?

— Nie znoszę jej. Nienawidzę być cały czas z dala od domu. A w internacie jestem najmłodsza, wszystkie pozostałe dziewczynki są ode mnie starsze. W szkole mamy też uczennice dochodzące, ale one trzymają się razem i nie chcą mnie dopuścić do towarzystwa. Ja wolałabym być taką dochodzącą, ale mama powiedziała, że lepiej mieszkać w internacie. Wcale nie wiem, dlaczego to ma być lepsze, bo według mnie jest dużo, dużo gorsze.

— Zatem nie żał by ci było szkoły, gdybyś nie musiała do niej wrócić?

Charlotta rozważała pytanie z ostrożnym namysłem. Po raz pierwszy coś na kształt promyczka nadziei zaświeciło jej w oczach.

— A dlaczego? Naprawdę nie muszę?

— Nie sądzę, żeby twój powrót do tamtej szkoły był rzeczą bezwzględnie konieczną. Mieszkając ze mną wygodniej ci będzie chodzić do szkoły na miejscu. Tu nie ma internatu. No cię powinno ucieszyć.

— Niezbyt dobrze się uczę.

— Nikt nie potrafi wszystkiego robić dobrze. Ładnie rysujesz, a jeśli lubisz muzykę, to tutejsza szkoła ma dobrego nauczyciela tego przedmiotu i jest nawet szkolna orkiestra, która daje koncerty. Znam jednego chłopca w twoim wieku, który gra w niej na klawirze.

— Będę mogła pójść do tej szkoły?

— Jeśli tylko zechcesz. Sądzę, że da się to załatwić od ręki.

— No to ja chcę.

— A więc zostaniesz ze mną?

— Czy to znaczy, że nigdy nie wrócę do ojca?

— Owszem — odparła cicho Phoebe — tak to może znaczyć.

— Ale... przed chwilą powiedziałaś, że nic nie jest na zawsze. Jeśli ojciec mnie nie chce, to co ja zrobię? — Oczy jej się wypełniły łzami i doprawdy trudno było na nią patrzeć bez bólu. — Nie mogę przecież zostać z tobą...

— Ależ możesz, tak długo, jak ci się żywnie spodoba. Widzisz więc, że choć stało się najgorsze, świat się jeszcze nie zawalił. Ze mną i z Prue możesz porozmawiać, o czym tylko zapragniesz. Wszystko nam możesz powiedzieć. Cokolwiek cię gnębi, nie duś tego w sobie. Nie staraj się dłużej być dzielną. Płacz, to ci przyniesie ulgę.

Wtedy puściła tamą łez. Buzia Charlotty wygięła się w podkówkę typowo po dziecinnemu, afc\ łkanie, które

rozdarło jej szczuplutką "piers", bardziej przypominało bolesną żalność dorosłego człowieka.

— Charlotta... — Phoebe pochyliwszy się ku niej wyciągnęła ramiona ruchem wyrażającym miłość i współczucie. W innych okolicznościach ten pełen patosu gest mógłby się wydać śmieszny, ale teraz nie było w nim nic zabawnego. — ... chodź do mnie, moja droga.

Dziewczynka porwała się na nogi i rzuciła w objęcia Phoebe strącając jej przy tym kapelusz, przycisnęła do niej spleknaną twarz, a chudziutkimi rączkami mocno objęła ją za szyję.

Podniosłam garnek z oczyszczoną fasolką i weszłam do domu. Czułam, że muszę zostawić je same, w tej ich własnej, intymnej chwili, ponadto miałam obawy, że się także rozpłaczę.

W kuchni nie było nikogo. Przez drzwi otwarte na podwórze zobaczyłam Lily wieszającą na sznurku do bielizny szereg śnieżnobiałych obrusów. Wyśpiewywała przy tym kolejny psalm:

*Nie grzesz gniewnym słowem,
Ni niecnym uczynkiem...*

Położyłam garnek na wyszorowanym do białości blacie stołu zbitego z sosnowych- desek i udałam się na górę do swojej sypialni. Rano zasłałam łóżko, ale potem Lily widocznie musiała reszty „doglądnać” — jak to sama określała — bo w pokoju unosił się ostry zapach świeżej pasty do podłogi, a drobiazgi na toalecie stały jak pod sznurek. Osunęłam się na krawędź łóżka kompletnie wyzuta z sił. Wprawdzie powstrzymałam się od łez, ale byłam wyczerpana i oszołomiona, jakbym minione trzy godziny spędziła w ciemnym wnętrzu kina na oglądaniu jakiegoś szalenie emocjonującego filmu, a teraz znalazłszy się znów na ulicy oślepiona światłem musiała szukać po omacku drogi wzdłuż nieznanych chodników.

Mama już nie wróci z Majorki, prawda? Tata nigdy nie słucha, co mówię. Nie zechce się o mnie zatroszczyć. Wolałabym być dochodząca, ale mama powiedziała, że lepiej mieszkać w internacie. Babcia mnie nie chce.

Panie Przenajświętszy! Jacyż my, dorośli, jesteśmy okropni dla naszych dzieci!

Przez otwarte okno wpadała ciepła bryza wprawiając zasłony w lekkie falowanie. Wstałam z łóżka i opierając łokcie na parapecie wychyliłam się dość mocno na zewnątrz. Podo mną siedziały na trawie Phoebe i Charlotta. Łzy dziecku chyba już przestały płynąć, bo teraz do mych uszu dobiegał jedynie cichy szmer rozmowy. Charlotta opuściwszy objęcia Phoebe z powrotem wróciła na dywanik, na którym siedziała ze skrzyżowanymi po turecku nogami, pochłonięta splataniem wianuszka ze stokrotek. Patrzyłam z góry na jej pochyloną główkę i wzruszająco bezbronny karczek. Pamiętam siebie w jej wieku. Co prawda moi rodzice byli rozwiedzeni i mieszkałam tylko z matką, lecz nigdy nie czułam się nie kochana, nie chciana, nigdy też nie odesłano mnie do internatu. Wciąż stoją mi w pamięci jak żywe wrażenia z wielokrotnych podróży do Northumberland, gdy w miarę jak pociąg zbliżał się do celu, coraz bardziej pragnęłam, by koła toczyły się jeszcze szybciej, bo nie mogłam się wprost doczekać spotkania z ojcem. On wychodził po mnie na stację w Newcastle i pamiętam swój szaleńczy bieg po peronie, by jak najprędzej znaleźć się w jego pachnącym tweedem uścisku.

Wywołałam w pamięci obraz niewielkiego domu mojej matki w Londynie z sypialnią urządzoną dokładnie według moich wskazówek. Pamiętam, że ubrania, które kupowała mi matka, mogłam sobie wybierać sama. Wspominałam rozrywki i przyjemności organizowane dla mnie: lekcje tańca w zimie, przyjęcia bożonarodzeniowe, pantomimy w Palladium i spektakl *Śpiącej Królowny* w Covent Garden. Letnie przejażdżki statkiem po Tamizie i pełne podniecenia oczekiwanie na zwiedzanie Tower. Pamiętam też zakupy

u Harroda, kiedy nudę" kupowania szkolnych mundurków osładzał mi zawsze czekoladowy koktajl wypijany przy bufecie.

No i Kornwalia, i Penmarron i Pboebe.

O, moja droga, jak dobrze cię znowu zobaczyć.

Phoebe. Poczulałam nagle nieokreślony lęk. Zaczęłam się o nią bać. Taki poważny obowiązek wzięła na siebie impulsywnie i z pełnym oddaniem! Czy temu podołała? Ma sześćdziesiąt trzy lata i nie jest już tak sprawna jak dawniej. Przecież parę dni temu spadła z fotela i złamała rękę. A jeśli zamiast ręki uszkodziłaby sobie biodro lub, nie daj Boże, skręciła kark? Albo przypuśćmy, że uderzyłaby się w głowę i leżała na podłodze pracowni ze wstrząsem mózgu, a nikt by nawet o tym nie wiedział i nie przyszedł się nią zająć. W tym miejscu moja rozbujana wyobraźnia wywinęła koziołka i natychmiast podsunęła mi szereg jeszcze gorszych możliwości.

Oczywiście duszy ujrzałam ciotkę za kierownicą jej wysłużonego gruchota. Nigdy nie prowadziła auta z należytą koncentracją, bo jej uwagę odrywało od szosy głównie to, co działo się obok. Często też jeździła nieprawidłową stroną, wierząc, że jeśli będzie bez przerwy naciskać klakson, to nic jej się złego nie stanie.

A jak dostanie ataku serca i umrze? Przecież to, co spotyka innych, może się zdarzyć i Phoebe. Przypuśćmy, że pewnego letniego dzionka pójdzie popływać przy starym falochronie, jak to ma we zwyczaju. Przypuśćmy, że zanurkuje i nigdy już nie wypłynie na powierzchnię. Przypuśćmy... Zda się nie było końca możliwym fatalnym wypadkom. A jeśli cokolwiek przydarzyłoby się ciotce, kto by się wówczas zajął Charlottą? Raz jeszcze mój umysł rozpedził się w poszukiwaniu rozwiązań teoretycznych kłopotów.

Kto by miał zabrać do siebie Charlotte? Ja? Do maleńkiego mieszkanka w suterenie? Moja matka? A może mój ojciec? Tak, on był człowiekiem wielkiego serca. Człowiekiem, który by nie opuścił w potrzebie nawet kulawego psa.

Usiłowałam sobie wyobrazić Charlotte w Wichrowym Pustkowiu, ale coś mi w tym obrazie nie pasowało. Wprawdzie moja macocha z radością powitałaby u siebie każde dziecko, lubiące jazdę konną, sprzątanie stajni, polowania, ale na pewno nie znalazłaby wspólnego języka z dziewczynką, która chce tylko grać na klarncie i rysować.

Te posępne myśli mogłyby mnie jeszcze długo dręczyć, gdyby nie turkot dochodzący z kolejowego wykopu za domem. Łoskot kolejki jadącej z Porthkerris przywrócił mnie do realnego świata. Kolejka, która wyglądała jak nakręcana kluczykiem zabawka, pojawiła się teraz na zakręcie wytrącając szybkość, aż do zatrzymania. Przez krótką chwilę stała na malutkiej stacyjce, potem ktoś zagwizdał, uniósł zieloną chorągiewkę i na ten sygnał pociąg ruszył pozostawiając za sobą na pustym peronie jedną, samotną postać.

Daniel. Przyjechał na piknik.

Przeszedł przez tory, przeskoczył płotek i zmierzał wzdłuż linii kolejowej mijając po drodze niedużą przystań, gdzie podczas wysokiego przypływu mogły przybijać żaglówki. Tuż za przystanią wdrapał się na wierzch starego falochronu. Miał na sobie niebieskie dżinsy, błękitny sweter i białą, płócienną bluzę.

Przyłgnęłam do niego spojrzeniem, kiedy się zbliżał spokojnym krokiem, długonogi, z rękami w kieszeniach. Z całej duszy pragnęłam, aby był takim człowiekiem, do którego mogłabym się uciec ze swoimi problemami, u którego mogłabym znaleźć ciepło i bezpieczeństwo, jak w ramionach ojca na peronie w Newcastle. Chciałam być obejmowana, pocieszana, kochana. Chciałam mu opowiedzieć o wszystkim, co zaszło dzisiajszego przedpołudnia, i dowiedzieć się z ulgą, że to nic takiego, że jiiie muszę się martwić, bo on się tym zajmie...

Ale Phoebe, która go kochała, była przecież mądrzejsza niż ja.

Gdybym go musiała postawić wobec spraw i obowiązków dnia codziennego, nie potrafiłabym przewidzieć jego reakcji.

Buntowałam się w duchu, nie chciałam go uważać za człowieka takiego pokroju. Pragnęłam, by się okazał osobą ze wszech miar odpowiedzialną. Patrzyłam, jak się zbliża, i doświadczyłam uczucia, że gdyby to, co nas spotyka, mogło być jedynie wymyśloną przeze mnie historyjką, chwila obecna byłaby początkiem szczęśliwego zakończenia. Najbliższą przyszłość wyobraziłam sobie niczym film o zwolnionej akcji i miękkim, nieco rozmytym rysunku obrazu: Daniel przekracza furtkę w żywopłocie i lekkimi krokami pokonuje stromiznę stoku, Daniel w objęciach Phoebe, Daniel porywa w ramiona swoje dziecko i unosi je w górę, ja w oknie, Daniel wzywa mnie do zejścia na dół, żebyśmy zaplanowali naszą wspólną przyszłość, dźwięki skrzypiec, na ekranie pojawia się napis „KONIEC”. Wyświetlają się nazwiska aktorów i realizatorów, a my żyjemy długo i szczęśliwie.

Nie snuj mrzonek o Danielu, Prue. Przypuszczalnie się nie spełnią.

Zamiast urojeń — rzeczywistość. Phoebe odciągnie go na bok i zda mu dokładną relację z wydarzeń dzisiejszego dnia. Dość już sekretów, Danielu, powie zapewne. Annabelle zwinęła manatki, a nikt inny nie chce Charlotty. Nikt nie chce twojej córki.

A jak on postąpi? Wolałam o tym nie myśleć. Nie chciałam wiedzieć, co się dalej stanie.

Daniel zniknął mi z pola widzenia, kiedy się znalazł za pochyłością zbrocza i ścianą żywopłotu. Odwróciłam się twarzą do wnętrza pokoju. W lustrze wiszącym nad toaletką ujrzałam swoje odbicie; wyglądałam tak okropnie, że następne pięć minut musiałam poświęcić na doprowadzenie się do porządku. Przetarłam twarz ręcznikiem zmoczonym bardzo gorącą wodą, wyczyściłam paznokcie, wymyłam ręce ulubionym mydłem lawendowym Phoebe, wyszczotkowałam i uczesałam włosy. Wyjęłam z szafy świeżą bawełnianą bluzkę, zmieniłam buty, pomalowałam tuszem rzęsy i skropiłam się perfumami.

— Prue! — To był głos Charlotty.

— Tu jestem, w sypialni.

— Mogę wejść? — Drzwi się uchyliły i w powstałej szczelinie mignęła twarzyczka dziewczynki. — Jest Daniel.

— Widziałam, jak wysiadał z pociągu.

— Phoebe zabrała go do pracowni. Powiedziała, że chce mu pokazać coś specjalnego, co należało do Chipsa. Mają wrócić za dziesięć minut. Ale fajny zapach!

— To perfumy Diora. Zawsze ich używam. Chcesz się popryskać?

— Mogę?

— Tylko nie wylej na siebie całego pojemniczka.

Charlotta rozpyliła wonną mgiełkę i z zachwyconą miną wdychała niezwykły zapach. Wyjęłam grzebień i poprawiłam jej fryzurę wyrównując przedziałek i wpinając wsuwkę w bardziej twarzowym miejscu.

— Może powinniśmy zejść do kuchni i zacząć pakować piknikowy koszyk — zaproponowałam. — Dobrze byłoby, żebyś wyciągnęła z walizki pelerynę i kalosze.

— Przecież nie pada.

— To Kornwalia... tu się nigdy nie wie, jaka pogoda będzie za chwilę.

Byłyśmy w kuchni, kiedy w końcu pojawiła się Phoebe. Obserwowałam przez kuchenne okno, jak zbliża się powoli krokiem starej, steranej życiem osoby. Szła ceglana ścieżką od strony ogrodu warzywnego i pracowni. Sama. Czekaliśmy na nią przy drzwiach ogrodowych. Powiedziała, że Daniel wyszedł, odszedł. Mimo wszystko nie mógł jechać z nami na piknik i prosił, żeby przekazać, iż mu bardzo przykro.

— Ale on nam obiecał... obiecał... — powtarzała Charlotta bliska łez. — Powiedział, że *na pewno* pojedzie.

•«

Phoebe unikała jej wzroku.

Nie pojechałyśmy do Penjizal; jakoś żadna z nas potem nie miała już ochoty na wycieczkę. Smakołyki przygotowane na piknik zjadłyśmy w naszym ogrodzie. Nie zobaczyłyśmy fok.

Dopiero głębokim popołudniem nadarzyła mi się okazja pomówić z Phoebe w cztery oczy. Charlotte pochłonęła całkowicie telewizja, a ja zdybałam ciotkę przy kuchennym zlewie.

- Czemu odszedł?
- Ostrzegałam cię — odparła.
- Dokąd się udał?
- Nie mam pojęcia. Chyba wrócił do Porthkerris.
- Wezmę samochód i pojedę się z nim zobaczyć.
- Nie rób tego.
- Niby dlaczego nie? Nie możesz mnie powstrzymać!
- Jeśli już musisz, najpierw zadzwoń. Porozmawiaj z nim. Upewnij się, że zechce cię widzieć.

Ruszyłam prosto do telefonu. Byłam pewna, że Daniel będzie chciał się ze mną zobaczyć. Wykręciłam numer hotelu, a kiedy zgłosiła się recepcjonistka, poprosiłam o połączenie z pokojem Daniela Cassensa. Uzyskałam informację, że pan Cassens się wymeldował, wyjechał i nie zostawił nowego adresu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Umyłam Charlottcie głowę i dużymi, krawieckimi nożyczkami ciotki wyrównałam końce fryzurki. Po wymyciu włosy dziewczynki nabrały ciemnokasztanowej barwy z przebłyskami koloru miedzi.

Phoebe umówiwszy się telefonicznie z dyrektorem miejscowej szkoły pojechała z Charlottą na rozmowę wstępną. Dziewczynka wróciła do domu w stanie wielkiego podniecenia. Opowieściom nie było końca: a to, że będzie miała nowy niebiesko-biały mundurek, a to, że w szkolnej pracowni jest koło garncarskie, że będzie się uczyła gry na klarncie, i znów od początku.

Pewnego dnia obie z Charlottą obejrzałyśmy w telewizji audycję, w której sympatyczna kobieta uczyła, jak z kartonowych pudeł zbudować domek dla lalek. Od razu wybrałyśmy się do Porthkerris i u tamtejszego handlarza win wycygańczyłyśmy cztery mocne skrzynki po szkockiej whisky. Kupiłyśmy specjalny nóż do cięcia kartonu, kilka słoików farb i parę pędzli. Nabyłyśmy również trochę odpowiedniego kleju. Po powrocie do Holly Cottage rzuciłyśmy się do odmierzania i zaznaczania na ściankach pudeł drzwi i okien lalczego domku. Kuchnia wkrótce tonęła w ścinkach kartonu i zwojach arkuszy papieru.

Na wieczornym niebie świecił nów. Wisiał na wschodzie niczym srebrzysta rzęsa, a jego blade odbicie zanurzało się w ciemnych wodach zatoczki kąpiąc się w drżących odbłyśkach światła.

^ — Prue. »

— Słucham.

— Dokąd odszedł Daniel?

— Nie wiem.

— Dlaczego odszedł?

— Tego też nie wiem.

— Wróci?

— Sądzę, że tak. Pewnego dnia wróci.

— Ludzie zawsze odchodzą. Ci, których lubię. Kiedy Michael pierwszy raz poszedł do szkoły, dom był taki dziwny bez niego. Cichy i pusty. Miałam kiedyś nianię, jak byłam malutka. Bardzo ją lubiłam. Ona też musiała odejść, bo jej chora matka potrzebowała opieki. A teraz odszedł Daniel.

— Przecież ty go prawie nie znasz.

— Tak, ale dużo o nim słyszałam. Phoebe mi zawsze o nim opowiadała. Pokazywała mi artykuły o jego wystawach, czytała, co o nim pisały gazety, kiedy był w Ameryce. Naprawdę często o nim rozmawiałyśmy.

— Wierzę, lecz to nie zmienia faktu, że go prawie nie znasz. Spotkałaś go dopiero wczoraj.

— Chcę, żeby tu był. Nie chodzi mi o piknik ani o to, że nie zobaczyłam fok, to przecież można nadrobić innym razem...

— Zatem o co ci chodzi?

— Chciałam mu powiedzieć różne rzeczy, tyle pokazać. Chciałam, żeby obejrzał mój domek dla lalek. Chciałam go zapytać o różne sprawy. Tatuś, kiedy go o coś pytałam, nigdy nie miał czasu, żeby mi odpowiedzieć. A Daniel nie rozmawia ze mną jak z dzieckiem, ale jakbym była dorosłą osobą. On by mi nigdy nie powiedział, że go nudzę albo że jestem głupia.

— Cóż... może macie ze sobą coś wspólnego. Na przykład podobne zainteresowania. Pewnie dlatego czujesz się z nim tak swobodnie.

— Chciałabym, żeby wrócił.

— On jest bardzo zajęty. To ważny człowiek. I sławny. Ma wiele spraw do załatwienia. To artysta... różniący się od zwykłych śmiertelników. On musi czuć się wolny. Ludziom jego pokroju trudno zapuszczać korzenie i nie lubią przebywać w jednym miejscu ani obracać się wśród zawsze tych samych osób.

— Phoebe też jest artystką, a mieszka stale w jednym miejscu.

— Z Phoebe to całkiem inna sprawa. On jest szczególnym przypadkiem.

— Wiem. Dlatego ją kocham. Ale Daniela także kocham.

— Nie wolno ci go kochać za bardzo Charlotte

— Dlaczego?

— Bo, miłość do ludzi, których można już nigdy nie oglądać, nie przynosi nic dobrego... och, nie płacz. Proszę cię nie płacz. Taka niestety jest prawda i nie możemy udawać, że jej nie dostrzegamy.

Drzwi domku dla lalek pomalowałyśmy na czerwono, a framugi okienne na czarno. Lily znalazła stare pudełko po wieczorowej sukni i z jego pokrywy wycięłyśmy prostokąt, a wyznaczwszy na środku rysę zgięłyśmy tak, że powstał dwuspadowy dach. Namalowałyśmy na nim dachówki.

Pewnego dnia mimo wietrznej i dżdżystej pogody wybrałyśmy się z Charlottą na spacer. Przez pola golfowe zeszyłyśmy na plażę. Wiatr sypał piachem w oczy, a grzywiaste fale biły z hukiem o brzeg. Nadbrzeżne sitowie rosnące kępami wśród wydym pod wpływem porywów wiatru gięło się

aż do ziemi. Rybitwy, mieszkanki wybrzeża, odleciały w głąb łądu szybować z wrzaskiem ponad zagonami świeżo oranej roli.

Charlotta nie dostała żadnego fistu, żadna' widokówka nie przyszła do niej z Afryki Południowej. Z ust Lily Tonkins, która była w stałym kontakcie z Betty Curnow, dowiedziałyśmy się, że pani Tolliver wyjechała na kilka dni do znajomych mieszkających w Helford.

Z pustych pudełek po zapałkach zrobiłyśmy mebelki dla lalek, ścianki domku wykleiłyśmy tapetą, a ze starej szmacianej torby Phoebe wycięłyśmy niewielkie prostokąty. Wyciętym szmatkom wystrzępiłyśmy brzegi uzyskując elegancjki dywaniki. Wszystko jak prawdziwe, orzekła Charlotta, gdy przysuwając buzię do jednego z okienek podziwiała bezpieczny, miniaturowy światek.

Aż mi się serce kraje, gdy patrzę na twoją nieszczęśliwą minę — powiedziała Phoebe pewnego wieczoru. Udałam, że nie słyszę, bo nie chciałam rozmawiać o Danielu.

Odszedł. Do swego cygańskiego, pełnego nieustających poszukiwań, niespokojnego życia. Wrócił do malowania, wystaw, Petera Chastala. Być może do tego czasu zdążył już nawet wrócić do Ameryki. Później, kiedy poczuje się lepiej, przyśle mi jakąś widokówkę; znajdę ją w skrzynce na listy w moich drzwiach wejściowych w Islington. Kolorowy wizerunek Statui Wolności albo Złote Wrota z San Francisco, może widoczek Fudżijamy.

Świetnie się bawię, szkoda, że cię tu nie ma. Daniel.

Ale istniała także przyszłość. Moja przyszłość. Praca, mieszkanie, przyjaciele i znajomi. Wrócę do Londynu i podejmę przerwany wątek. Sama.

Znów miałam ten sam sen o pływaniu, dokładnie tak jak poprzednio. — Woda — najpierw płytką, potem głęboką

i ciepła. Silny prąd. Uczucie unoszenia, odpływania i akceptacji. To nie umieranie — napomniałam samą siebie pod koniec sennego widziadła. Nie śmierć, a miłość. Zatem dlaczego obudziłam się ze śladami łez na policzkach?

Mijające dni utraciły dla mnie swe imiona, ja zaś straciłam poczucie mijania czasu. Kiedy się ocknęłam, był wtorek, i stwierdziłam, że muszę zacząć znów być praktyczna. Poprzedniego wieczora Phoebe postanowiła, że odwiezie ją i Charlotte do Penzance, gdzie kupimy dziewczynce nowy szkolny mundur. Potem miałyśmy zjeść lunch w restauracji, może także przejść się na przystań i obejrzeć parostatek Saily Islands.

Plany te jednak spaliły na panewce, bo nazajutrz wczesnym rankiem zadzwoniła Lily, oznajmiając, że jej mąż, Ernest, niezbyt dobrze się czuje. Telefon odebrała Phoebe, a my z Charlottą stojąc obok wsłuchiwałyśmy się w rozdergany z emocji głos płynący ze słuchawki.

— Całą noc byłam na nogach — żaliła się Lily.

— O, mój Boże! — zawołała Phoebe.

Lily wdała się w szczegółty. Twarz ciotki wyrażała zgrozę.

— O, mój Boże! — powtórzyła Phoebe.

Po wysłuchaniu drobiazgowej relacji ciotka zgodziła się, aby Lily pod żadnym pozorem nie odstępowała męża na krok, aż do nadejścia lekarza. Odłożyła słuchawkę. Lily dziś nie przychodziła do pracy.

Musiałyśmy zmienić nasze zamierzenia i na kolanie ustalić wszystko od nowa. Ja miałam zostać w Holly Cottage, posprzątać i przygotować lunch, a pan Thomas i jego wierna taksówka mieli zawieźć do Penzance Phoebe i Charlotte, a potem dostarczyć je z powrotem.

Mała dała wyraz swemu rozczarowaniu.

— Myślałam, że zjemy lunch w restauracji.

— Bez Prue nie byłoby nam wcale przyjemnie — orzekła Phoebe kategoriycznym tonem. — Tę frajdę zafundujemy

sobie innym razem, kiedy będę musiała pojechać do banku albo do fryzjera.

W stosownej porze został wezwany pan Thomas; zjawił się po dziesięciu minutach w zakładanym specjalnie na takie okazje szoferskim kapeluszu. Koła jego samochodu nosiły ślady zaschniętego świńskiego nawożenia. Phoebe i Charlotta wgramolili się do środka. Pomachałam im na pożegnanie i wróciłam do domu do swych nowych, narzuconych sytuacją zajęć.

Obowiązki te nie okazały się jednak zbyt ciężkie. Lily sprzątała codziennie bardzo skrupulatnie, kiedy więc posłałam łóżka, umyłam wannę i wybrałam popiół z kominka w salonie, wszystko doszło mniej więcej do stanu takiego jak zwykle. W kuchni zaparzyłam sobie filiżankę kawy, a potem zabrałam się do obierania ziemniaków. Dzień był pochmurny, szary, w powietrzu pachniało deszczem. Kiedy uznałam, że ziemniaków wystarczy, nałożyłam parę gumowych butów i poszłam do warzywnika uciąć kalafiora. Wracając do domu złowiłam uchem odgłos silnika jakiegoś zbliżającego się drogą samochodu. Zerknęłam na zegarek. Minęła dopiero godzina od odjazdu Phoebe i Charlotty, było więc absolutnie niemożliwe, żeby wyprawa na zakupy zakończyła się tak szybko. Samochód przejechał wiadukt i wówczas zyskałam pewność, że kieruje się do Holly Cottage. Nasz dom jako jedyny stał na końcu ślepej ulicy ograniczonej zamkniętą na kłódkę bramą starej stoczni.

Pospiesznie przeszłam przez ogród. W kuchni na deseczkę obok zlewu odłożyłam nóż i kalafior, a potem, wciąż odziana w fartuch Lily, wyszłam przed drzwi frontowe.

Na naszym podjeździe stał jakieś nieznane mi auto. Było to wóz alfa-romeo, podłużny i lśniący, ciemnozielony i zakurzony jak po długiej podróży. Drzwi od strony kierowcy stały już otworem, a za kierownicą siedział Daniel. Spojrzenie utkwiał w mojej twarzy.

W bezwietrzny, mglisty poranek niewiele dźwięków niesło się w powietrzu, jedynie znad zatoczki dolatywały

krzyki mewy szybującej nad pustymi piaskami. Daniel bez pośpiechu wysiadł z samochodu i wyprostował się ostrożnie, jakby swobodę ruchów krępowała mu pewna sztywność mięśni. Wygiął grzbiet i ręką pomasaował kark. Miał na sobie zwykły, nietypowy zestaw ubrań, a policzki pokrywał mu cień nie ogolonego zarostu. Z solidnym trzaskiem zamknął drzwiczki auta i wymówił moje imię.

A więc był tu naprawdę. Nie w Londynie, nie w Nowym Jorku ani w San Francisco. Był tutaj, z powrotem w domu.

— Co ty wyrabiasz?! — zawołałam.

— Jak to, co wyrabiam?

— Czyj to samochód?

— Mój. — Nieco sztywnym krokiem ruszył w moją stronę.

— Przecież nie znosisz aut.

— Rzeczywiście, lecz to nie zmienia faktu, że ten akurat wózek jest naprawdę mój. Kupiłem go wczoraj.

Podszedł i kładąc mi dłonie na barkach pocałował mnie w policzek. Poczułam na skórze jego szorstką, drapiącą brodę. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia, ale w oczach lśniły mu iskierki tłumionej wesołości.

— Masz na sobie fartuch Lily.

— Ona nie przyszła, bo Ernest zachorował. Nie ogoliłeś się.

i

— Nie miałem czasu. Wyruszyłem z Londynu o trzeciej nad ranem. Gdzie Phoebe?

— Wyjechała z Charlottą na zakupy.

— Nie zaprosisz mnie do środka?

— Och... naturalnie. Przepraszam. Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałam się zobaczyć, i to mnie wytrąciło z równowagi. Wejdz, proszę. Zrobię ci kawę i jajka na bekonie, jeśli masz ochotę coś przegryźć.

— Wystarczy kawa.

Znaleźliśmy się pod dachem. Po wilgotnym, chłodnym powietrzu poranka wewnątrz domu zdawało się promieniować ciepłem. Weszłam pierwsza, słysząc za sobą kroki

Daniela i odgłos zamykanych drzwi. Tak byłam oszołomiona nieoczekiwanym obrotem wydarzeń, że ujrawszy w kuchni kalafior i nóż obok zlewu potrzebowałam dobrej chwili, żeby sobie przypomnieć, po co tam leżą.

Nastawiłam wodę na kawę. Daniel tymczasem wyciągnął krzesło i usiadł przy krótszym boku długiego, sosnowego stołu. Łokcie oparł na blacie i dłońmi przecierał oczy, jakby chciał z nich zetrzeć znużenie.

— Chyba jeszcze nigdy w życiu nie prowadziłem tak szybko — powiedział i opuszczając ręce spojrzął na mnie.

Utonęłam wzrokiem w jego oczach przypominając sobie ich blask i wygląd — tęczówki ciemne i okrągłe jak czarne oliwki. Daniel nadal sprawiał wrażenie wyczerpanego, lecz przez warstewkę zmęczenia przezierała jakby jakaś skrywana radość, której nie potrafiłam do końca zrozumieć, bo nigdy przedtem u niego jej nie widziałam.

— Co ci strzeliło do głowy, żeby kupować auto?

— Chciałem jak najszybciej do was wrócić, a zakup własnego pojazdu wydawał mi się ku temu najlepszym sposobem.

— Nauczyłeś się włączać ogrzewanie?

Właściwie nie zabrzmiało to całkiem jak żart, ale pomogło rozładować napięcie.

— Jeszcze nie — uśmiechnął się Daniel w odpowiedzi.

— Jak ci mówiłem, ten samochód mam dopiero dzień.

— Skrzyżował ramiona na blacie stołu. — Phoebe powiedziała mi o Annabelli, Collinsie i pani Tolliver.

— Wiem.

— I o Charlottcie.

— Wiem.

— Czy mała bardzo była rozczarowana, że nie pojechałem z wami na piknik?

— Tak.

— Nie mogłem zostać, Prue. Naprawdę nie mogłem. Musiałem odejść. Sam. Czy to rozumiesz?

— Dokąd poszedłeś?

— Wróciłem do Porthkerris, pieszo przez wydmy, potem ścieżką na klifie. Po powrocie do hotelu wprawdzie spakowałem walizki, ale nie miałem żadnego planu dalszego działania. W pewnej chwili przypomniałem sobie o Lewisie Falconie. Chciałem się z nim skontaktować zaraz po przyjeździe do Kornwalii, ale tak się jakoś wciąż składało, że do tego nie doszło. Zadzwoiłem do niego. Wspaniale mnie potraktował. Kiedy się przedstawiłem, mówiąc, że jeszcze się nie znamy, odparł, iż doskonale wie, kim jestem, bo słyszał o mnie od Petera Chastala. Zapytał, czy nie mógłbym odwiedzić go w Lanyon. Zgodziłem się, wspominając przy okazji, że potrzebuję dachu nad głową i łóżka na kilka dni. Z miejsca zaproponował mi gościnę u siebie. Wymeldowałem się więc z hotelu i taksówką pojechałem do Lanyon. Falcon to naprawdę świetny facet, niesłychanie przystępny i życzliwy. Stwierdziłem, że przy nim potrafię kompletnie odciąć się od niedawnych wydarzeń, jakbym spuścił maszyną, stalową kurtynę pomiędzy sobą a wszystkim, czego się dowiedziałem od Phoebe. Siódma żona, używając określenia z dziedziny psychoanalizy. Falcon pokazał mi pracownię, swoje prace i godzinami potrafiliśmy namiętnie dyskutować na temat szczegółów technicznych, jakby nie istniało dla nas nic innego. Taki tryb życia zadowalał mnie tylko parę dni, później odczułem potrzebę powrotu do Londynu. Lewis podrzucił mnie na stację, złapałem poranny pociąg do stolicy i pozostawiłem za sobą Kornwalię i moje problemy. Tak mi się wtedy wydawało. Kiedy dotarłem na miejsce, poszedłem do galerii zobaczyć się z Chastalem. Wciąż byłem w niezwykłym stanie umysłu... jakby w oderwaniu od rzeczywistości. Niby wiedziałem, że za psychiczną kurtyną kryją się sprawy związane z Annabelle i Charlottą, ale moja świadomość nie chciała na razie ich uznać i usiłowałem zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Nie wspomniałem zatem Peterowi o niczym. Siedzieliśmy w jego biurze pogryzając kanapki i popijając je piwem, odgradzeni od galerii przeszklonymi drzwiami. Wystawa nadal była

czynna, a galeria pełna zwiedzających. Kiedy przez tafłę szklaną patrzyłem na ludzi przechodzących od obrazu do obrazu, nasuwało mi się nieodparte skojarzenie ze złotymi rybkami w akwarium. Nie potrafiłem identyfikować się ani z wiszącymi za ścianą własnymi dziełami, ani też odczuć związku emocjonalnego z tymi, którzy oglądali moje prace. To wszystko wydawało się nie mieć nic wspólnego ze mną. Zostawiłem Petera, wyszedłem na ulicę i ruszyłem przed siebie bez celu. Było piękne popołudnie. Całe mile szedłem bulwarem Tamizy, zanim się w końcu zorientowałem, że dotarłem aż do Tatę Gallery. Znasz tę galerię?

— Owszem.

— Odwiedzasz ją?

— Często.

— A kolekcję Chantreya widziałaś?

— Nie.

— Wszedłem do środka po schodach. Skierowałem się do sali, gdzie prezentowanajest właśnie kolekcja Chantreya. Wisi tam pewien obraz. Olej, spore płótno pędzla Johna Singera Sargenta. Przedstawił na nim dwie małe dziewczynki zapalające wieczorem w ogrodzie japońskie latarnie. Dzieci ubrane są w białe sukienki z sutymi kryzkami. Wokół rosną lilie i róże. Obraz zatytułowany jest *Różowa lilia, liliowa róża*. Jedna z dziewczynek ma krótkie, ciemne włosy i bardzo szczupłą, delikatną szyjkę przypominającą łodygę kwiatu. Jest podobna do Charlotty. Nie wiem, jak długo tam stałem, ale po pewnym czasie bardzo wolno zaczęło docierać do mojej świadomości, że kurtyna bezpieczeństwa się unosi. Jęły mnie zalewać uczucia, o posiadanie których nawet się nie podejrzewałem: czułość, opiekuńczość, duma, wreszcie gniew. Ogarnęła mnie złość. Na wszystkich... na Annabelle, jej matkę i męża. Najbardziej jednak byłem zły na siebie. Zadałem sobie pytanie, do jasnej cholery, co też ja wyprawiam? Przecież to moje dziecko, jestem jej ojcem, do pioruna! Dlaczego tak się parszywie zachowuję spychając na barki Phoebe odpowiedzialność, która powinna spoczywać

na mnie?! Odpowiedź była boleśnie prosta: bo sterczę tutaj nic nie robiąc, a głównym moim zajęciem od trzech dni jest właśnie brak działania. W szkole nazywaliśmy to drep-taniem w miejscu, spieszeniem donikąd, osiaganiem kompletnego zera. Oderwałem wzrok od obrazu, zszedłem na dół i odszukałem telefon. Zadzwoiłem najpierw na informację, by się dowiedzieć o numer pani Tolliver, a potem połączyłem się z White Lodge. Pani Tolliver nie zastałem w domu...

— Pojechała do Helford — pospieszyłam z wyjaśnieniem, lecz równie dobrze mogłam nie otwierać ust, bo Daniel nawet nie zauważył, że coś powiedziałam.

— ... telefon odebrała gospodyni, której oświadczyłem, że jestem znajomym Collinsa i chcę się z nim skontaktować. Ta kobieta podała mi nazwę i adres firmy, w której on pracuje.

Zagotowała się woda, ale żadne z nas nie miało w tej chwili ochoty na kawę. Wyłączyłam czajnik i usiadłam u drugiego końca stołu. Teraz oboje z Danielem patrzyliśmy sobie w oczy ponad długim, wyszorowanym blatem.

— Wkrótce potem odbyłem drugą rozmowę. Zadzwoiłem do Collinsa i zażądałem spotkania. Chciał się wykręcić, utrzymując, że nie ma czasu i jest bardzo zajęty, ale naciskałem mocno, więc w końcu zgodził się poświęcić mi około piętnastu minut, pod warunkiem, że się zaraz zjawię. Opuściłem pospiesznie galerię, złapałem taksówkę i pojechałem prosto do jego biura. On pracuje w City. Wiesz, nie sądziłem, że ta dzielnica robi na mnie takie wrażenie. Zapomniałem już, jaka jest urodziwa ze swymi ciężkawymi domami, wąskimi uliczkami, z których znienacka człowiek może dojrzeć przelotnie fragment Kościoła Świętego Pawła. Kiedyś muszę tam wrócić i porobić trochę szkiców...

Urwał, bo stracił główny wątek.

— Mówiłeś o Collinsie — powiedziałam.

— A, rzeczywiście. — Przeczesał pacami włosy i zachichotał. — Była to najbardziej absurdalna rozmowa pod słońcem. Po pierwsze, chyba go poraził mój niedbały

wygląd. Na brodzie miałem jednodniowy zarost, na grzbiecie nieświeżą koszulę, tę samą co do podróży, a na nogach parę płóciennych butów z dziurami na palcach. On zaś zaprezentował pełną świetność służbowego stroju: wykrochmalony kołnierzyk, ciemny garnitur w prążki. Tworzyliśmy komicznie kontrastową parę. Dla mnie jednak takie względy nie mają większego znaczenia, przysiadłem się więc do niego i rozpocząłem rozmowę. Jednak na pierwszą wzmiankę o pani Tolliver i Charlottcie on natychmiast powziął podejrzenie, że przyszedłem go szantażować, porwał się na nogi z wrzaskiem, grożąc mi wezwaniem policji. Nie pozostałem mu dłużny i także, zacząłem wrzeszczeć, po prostu dlatego, żeby go przekrzyczeć. Na chwilę zapanowało istne pandemium: obrzucaliśmy się oskarżeniami, wzajemnymi pretensjami, przypisywaliśmy sobie różne prawa, odmawialiśmy tych praw i zgodnie obwinialiśmy Annabelle. Kiedy byłem już niemal przeświadczony, że zaraz go skosi atak serca, i ja, na domiar złego, będę miał jeszcze jego śmierć na sumieniu, dotarło do niego nareszcie, że niejestem nikczemnikiem, który przyszedł utoczyć mu krwi. Od tej chwili sprawa przybrała inny obrót. Obaj z powrotem zajęliśmy swoje miejsca, on zapalił papierosa i zaczęliśmy wszystko od początku.

— Odpychający facet, prawda?

— Dlaczego? Istotnie takim ci się wydał?

— Kiedy go zobaczyłam w pociągu, od razu zrobił na mnie okropne wrażenie.

— Nie jest i taki zły.

— No wiesz, już samo jego oświadczenie, że nie chce mieć nic wspólnego z Charlottą... — zabrakło mi słów z oburzenia.

— Rzeczywiście. Paskudne stwierdzenie, aleja go rozumiem, w pewnym sensie. To ambitny gość. Całe życie ręce sobie urabiał po łokcie, żeby zdobyć jak najwięcej pieniędzy i zaspokoić swoje ambicje. Poza tym wydaje mi się, że darzył żonę prawdziwym, gorącym uczuciem. A chyba musiał

wiedzieć, że ona go zdradza. Mimo wszystko trwał przy niej, dawał jej, czego pragnęła, kupił dom w Sunningdale, żeby syn mógł się wychowywać w zdrowym, wiejskim otoczeniu. Ona miała własny samochód, pokojówkę, ogrodnika, a urlopy spędzała w Hiszpanii. Leslie zostawiał jej całkowitą swobodę. W czasie naszej rozmowy wielokrotnie powtarzał: „Wszystko jej dawałem, dałem tej babie naprawdę wszystko, do cholery!”

— Czy wiedział od początku, że Charlotta nie jest jego dzieckiem?

— Naturalnie. Annabelle nie próbowała tego wcale przed nim ukryć. Nie widzieli się wtedy trzy miesiące, a kiedy ona wróciła z Kornwalii, po prostu mu oznajmiła, że jest w ciąży. Wiadomość o takim dziecku to cios w czułe miejsce dla każdego ambitnego faceta.

— Dlaczego zatem godził się na to i dalej ciągnął ten związek?

— Pragnął utrzymać rodzinę w całości. Jest bardzo oddany synowi, a poza tym nie chciał stracić twarzy wobec znajomych.

— Ale podobno nigdy nie lubił Charlotty.

— Trudno go za to winić.

— Przyznał, że jej nie lubił?

— Niby tak, choć nie całkiem wprost. Wyraził się o niej, że jest przebiegła i kłamie.

— Nawet jeśli tak było, to jego wina.

— Dokładnie tak samo odpowiedziałem.

— To mu chyba w pięty poszło, ale dobrze mu tak.

— Nie, nawet się nie oburzył. Na tym etapie rozmowy już osiągnęliśmy stadium, kiedy wszystkie karty były odkryte, i mogliśmy uchybiać sobie do woli, nie biorąc tego do serca. Nawiazała się między nami niemal nic przyjaźni.

Trudno mi było sobie to wyobrazić.

— A o czym naprawdę toczyła się rozmowa?

— O wszystkim. Kiedy opowiedziałem mu, że Charlotta ma zamieszkać z Phoebe, to nawet w końcu wyraził wdzięcz-

ność. Sprawiał także wrażenie całkiem zadowolonego, że mała nie wróci do starej szkoły. Przy wyborze szkoły upierała się tylko Annabelle, bo jego zdaniem zakład ten absolutnie nie był wart wygórowanego czesnego, które rodzice musieli bulić za każdy semestr. Spytałem o Michaela, a Collins zdawał się przekonany, że z chłopcem nie powinno być żadnego problemu. Jego syn ma piętnaście lat, jest już prawie dorosły, potrafi się o siebie zatroszczyć i zająć własnymi sprawami. Collins uważa, że chłopak już wyrósł z okresu, w którym dziecko musi się trzymać matczynej spódnicy, a zważywszy na sposób prowadzenia się Annabelli, nawet lepiej się stało, iż Michael już teraz wyrwie się spod jej wpływu. Leslie zamierza sprzedać dom na wsi, a wynajmie jakiś inny w Londynie i zamieszka w nim razem z synem.

— Żal mi Michaela.

— Ja mu też współczuję. Żal mi wszystkich, którzy wpadli w wir tego piekielnego zamieszania. Wierzę jednak, że chłopakowi nic nie będzie. Ojciec świata poza nim nie widzi i obaj chyba są najlepszymi przyjaciółmi.

— A co z Annabelle?

— Leslie rozmawiał już z adwokatem i zostały wszczęte pierwsze kroki rozwodowe. Collins nie należy do ludzi, którzy zbytnio ociągają się w działaniu.

Czekałam myśląc, że jeszcze coś doda, ale wyraźnie nie miał ochoty rozwijać tego tematu.

— No to wróciliśmy do punktu wyjścia — zauważyłam. — Co się stanie z Charlottą? A może wcale nie rozmawialiście o tym?

— Jakżeby nie? Przecież ona była powodem całej sprawy... tego spotkania, rozmowy i w ogóle.

— Czy Leslie Collins wie, że jesteś jej ojcem?

— Jasne, zaraz na początku mu to wykrzyczałem. On jej nie chce.

— A Annabelle? Jaki jest jej stosunek do córki?

— Również nie chce Charlotty, a nawet gdyby było inaczej, Leslie i tak nie pozwoliłby jej zabrać dziewczynki.

Może działa na zasadzie psa ogrodnika, lecz dla małej to najlepsze wyjście.

— Jak to?

— Ponieważ, moja droga Prue, jeśli oni oboje jej nie chcą, ja mam wolną rękę. Ich postawa stwarza dla mnie możliwość zaadoptowania Charlotty.

Przez chwilę siedziałam w kamiennym milczeniu wytrzeszczając na niego oczy z niedowierzania.

— Nie będziesz mógł tego uczynić.

— A niby dlaczego nie?

— Nie jesteś żonaty.

— Przepisy już się zmieniły. Teraz osobom samotnym wolno adoptować dzieci. Oczywiście formalności trwają dłużej, sąd musi roztrząsać wiele niemądrych i opóźniających wyrok przepisów, ale uzyskanie pomyślnego rezultatu jest całkiem możliwe. Będę musiał uzyskać zgodę Annabelli, lecz nie sądzę, żebym z tym miał jakieś problemy.

— Słuchaj, przecież ty nawet nie masz swojego dachu nad głową.

— Mam, a właściwie będę miał niebawem. Za parę dni Falcon wyjeżdża na dwa lata na południe Francji i obiecał zostawić mi dom i pracownię, jeśli tylko zechcę. Wiem, że zanim proces o adopcję nie dobiegnie końca, nie będę mógł zabrać do siebie Charlotty, ale mam nadzieję, iż Phoebe zechce do tego czasu pełnić rolę jej przybranej matki. A ja zamieszkać w pobliżu. W Lanyon.

— Och, Danielu, to zbyt piękne, aby było prawdziwe.

— Wiem. Mówiłem ci już, że pod koniec rozmowy uważaliśmy się z Leslie prawie za przyjaciół. Poszliśmy nawet razem na lunch do pewnej knajpy, którą on wybrał chyba w obawie, żeby go ktoś ze znajomych nie zobaczył z takim obwiesiem jak ja. A po zjedzeniu posiłku odegraliśmy śmieszny pantomimę z wrywaniem sobie rachunku. Żaden z nas nie chciał niczego drugiemu zawdzięczać. Ostatecznie jednak podzieliliśmy koszty na pół i każdy zapłacił swoją część. Po wyjściu z restauracji obiecałem, że

będę z nim w kontakcie. On wrócił do swojego biura, ja złapałem taksówkę, którą udałem się z powrotem do galerii Gastala. Wiedziałem, że muszę wynająć dobrego adwokata, ale nie miałem zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać, bo nigdy w życiu nie korzystałem z porad żadnego, nawet najgorszego prawnika, jako że Peter zawsze wszystko za mnie załatwiał. Zajmował się moimi sprawami od pierwszego dnia, kiedy to przyszedłem do niego przysłany przez Chipsa, młody i niedoświadczony. Również i teraz stanął na wysokości zadania. Umówił mnie ze swoim adwokatem, a ten na początek sprawdził moje konto w banku. Kiedy się okazało, że odłożyłem dziesięciokrotnie więcej aniżeli sądziłem, prawnik poradził mi, żebym od razu zaczął budować mój nowy wizerunek poważnego, godnego obarczenia rodziną człowieka. Polecił mi, abym w ramach tego procesu, przewyciężając swoją awersję do wszystkiego co mechaniczne, kupił sobie auto. Poszedłem za jego radą i nabyłem samochód. Zjadłem z Peterem kolację, a potem podjąłem decyzję powrotu do Kornwalii. Chciałem się z wami zobaczyć jak najszybciej. Wsiadłem więc do mojego nowego pojazdu i z możliwie największą prędkością popędziłem do Penmarron.

— Tymczasem okazało się, że ani Phoebe ani Charlotty nie zastałeś w domu — rzekłam ze współczuciem.

— Nie szkodzi — odparł bez żalu. — Jest mi to nawet na rękę, bo najważniejsze z tego, co mam do powiedzenia, dotyczy ciebie. Zresztą chodzi nie tyle o powiedzenie, co o zaproszenie. Zdecydowałem się jednak wyjechać do Grecji na urlop. Zamierzam wyruszyć w któryś z najbliższych dziesięciu dni. Opowiadałem ci o domku na Spetsai i już cię prosiłem o wyjazd ze mną. Teraz ponawiam zaproszenie. Zarezerwowałem wstępnie dwa miejsca na przelot do Aten. Jeśli Lily i Phoebe poradzą sobie z Charlottą, czy pojedziesz ze mną? Zgódź się, Prue. Proszę.

Domek w kształcie kostki cukru, o którym myślałam, że już go nigdy nie zobaczę, bielony taras ozdobiony pelar-

goniami, łódka z żaglem jak skrzydło mewy. Mój umysł zaczął gorączkowo pracować. Tyle zostało do zrobienia! Musiałam przygotować rzeczy do wyjazdu, zawiadomić matkę, Marcusa Bernsteina. I chyba powinnam napisać list do tego biedaka, Nigela Gordona.

— Dobrze, Danielu.

Ponad płaszczyzną stołu spotkały się nasze spojrzenia i zatoneły w sobie. Nagle on się uśmiechnął.

— Jak niewiele o sobie wiemy. Kto to powiedział, ty czyja?

— 'y-.

— Po dwóch tygodniach pobytu w Grecji będziemy się znali o niebo lepiej.

— Masz rację... chyba tak.

— A potem... po powrocie do kraju może pomyślimy o zamieszkaniu w Lanyon... razem. Musimy się oczywiście najpierw pobrać, ale nie będziemy o tym decydować teraz. Było nie było, żadne z nas nie chce się angażować, prawda? — spytał z figlarnym błyskiem w oku.

Wiedziałam, że niczego bardziej nie pragnę, niż się zaangażować, zaangażować po uszy, a ze sposobu, w jaki Daniel na mnie patrzył, jasno wynikało, że z całego serca podziela to moje pragnienie.

— Oczywiście, że nie —. zaprzeczyłam z wymownym uśmiechem. — Nie chcemy się angażować.

Kiedy taksówka pana Thomasa przywiozła Phoebe, Charlotte i ich zakupy, nadal znajdowaliśmy się w kuchni. Jednakże nie dzieliła nas już teraz długość stołu, staliśmy blisko siebie, bliźiutko, najbliżej. Na odgłos zajeżdżającego ze zgrzytem starego samochodu razem wyszliśmy przed dom powitać przybyłych.

Pan Thomas, który z impetem zajechał swoją landarą na podjazd Holly Cottage, zaskoczony obecnością obcego samochodu zaparkował tak, że nie miał miejsca do zawrócenia. Phoebe już wysiadła i dawała mu pomocne wskazówki.

— Trochę w lewo i w dół, panie Thomas. Nie, nie w lewo, chciałam powiedzieć w prawo.

— Phoebe — odezwał się Danie.

Odwróciła się raptownie.

— Daniel!!

Pan Thomas i jego kłopoty zostały zapomniane. Oburzony szofer zgasił silnik i siedział w milczeniu obmyślając strategię wydobycia się z potrzasku. Na razie utknął na dobre. Przednim zderzakiem prawie dotykał auta Daniela, a tylnymi kołami dobijał do wysokiego ceglanego krawężnika okalającego podjazd.

Daniel spotkał ją w pół drogi. Objęli się gorącym uściskiem, podczas którego kapelusz Phoebe zjechał na jedno ucho.

— Paskudny łobuzie! — z udaną złością walnęła go w ramię pięścią zdrowej ręki. — Gdzie się podziewałeś?

Nie dała mu jednak czasu na odpowiedź, bo spoglądając ponad jego barkiem równocześnie spostrzegła mnie, stojącą w fartuchu Lily ze szczęśliwym uśmiechem na ustach. Puściła od razu Daniela i podeszła do mnie, a choć nie miała pojęcia, co się stało, co się dzieje i co będzie się działo, ujrzałam, że moje szczęście odbija się w jej twarzy jak w lustrze. Padłyśmy sobie w ramiona, przytuliły do siebie, nasze śmiechy mieszały się razem, wyrażając wspólną radość i ulgę, że oto wrócił Daniel i naraz wszystko stało się zwyczajne i proste.

Charlotte. O Charlottcie przypomnialiśmy sobie równocześnie i jak na komendę skierowałyśmy wzrok w stronę taksówki. Odwrócona do nas tyłem dziewczynka, objuczona naręczem pudełek i owiniętych w papier paczek, gramoliła się ostrożnie z wnętrza wysłużonego pojazdu. Byłam pewna, że obserwowała nas z uwagą, mówiąc sobie, że nie ma dla niej miejsca w tych scenach radosnego powitania. Lekkim ruchem stopy zamknęła za sobą drzwi samochodu. Kiedy przyciskając brodą stertę pakunków odwróciła się wreszcie od taksówki, stanęła twarzą w twarz z Danielem. Powoli

podniosła buzię, by spojrzeć mu w oczy. Własne, okrągłe ze zdumienia i nieruchome za szklami sowych okularów, wlepiła w niego poprzez pełną napięcia chwilę ciszy. Patrzyli na siebie z powagą. Potem Daniel uśmiechnął się.

— Witaj, kochanie. Wróciłem.

Rozłożyła szeroko ramionka. Nie potrzebowała lepszej zachęty.

Zawiniątka zaczęły wyslizgiwać jej się z rąk. Upuściła je na ziemię rzucając się w jego objęcia. Złapał ją, podniósł wysoko okręcając jak na karuzeli dokoła, dokoła, dokoła. A rozsypane w nieładzie pakunki poszły w zapomnienie i leżały porzucone na wysypanym żwirem placyku.